

ISSN 0023-5148

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 10/421**

**1982**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

J.J. LIPSKI : **PROCES O PODPALENIE PRL**

St. BARAŃCZAK : **SAMOBÓJSTWO SANDAUERYZMU**

Zb. BYRSKI :

**RUROCIĄG SYBERYJSKI A PRZYSZŁOŚĆ NATO**

K. POMIAN :

**ZBRODNIARZE W MUNDURACH I W W CYWILU**

M. BRÓŃSKI : **LISY, JEŻE I LEMINGI**

## SPIS RZECZY

J. J. Lipski — G. Herling-Grudziński:	<i>Proces o podpalenie PRL</i> .....	3
—	<i>Konkurs na pamiętnik</i> .....	12
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i> .....	13
Stanisław Barańczak:	<i>Samobójstwo sandauryzmu (1)</i> ....	29
Sławomir Mrożek:	<i>Pogadanki z historii najnowszej</i> ....	39

### WIERSZE

—	<i>Kobiety internowane</i> .....	46
Jan Napomucen Rzecki:	<i>Poemat z epoki kamiennej</i> .....	48
Adam Zagajewski:	<i>Wiersze o Polsce. — Późny Beethoven</i> .....	54

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Byrski:	<i>Rurociąg syberyjski a przyszłość NATO</i> .....	57
Kamila Chylińska:	<i>Pokój, pokój über alles</i> .....	63
Jakub Świącicki:	<i>Marsz pokoju Sztokholm-Mińsk</i> ....	75
Dominik Morawski:	<i>Skandal finansowy w Watykanie</i> ....	82

### K R A J

Wojciech Gruszecki:	<i>Czy porozumienie jest możliwe?</i> ....	85
Krzysztof Pomian:	<i>Zbrodniarze w mundurach i w cywilu</i> .....	89
Tomasz Mianowicz:	<i>Jeszcze raz o Polsce</i> .....	94
—	<i>Relacja z Nowej Huty</i> .....	103
—	<i>List gończy</i> .....	106
—	<i>Masakra w obozie w Kwidzynie</i> ....	106

### SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	108
Vera Rich:	<i>Jak dr Melamed utracił tytuł doktora</i> .....	115
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i> .....	120

### SPRAWY I TROSKI

—	<i>Nobel dla Wałęsy</i> .....	125
---	-------------------------------	-----

### KRONIKA KULTURALNA

M. Broński:	<i>Lisy, jeże i lemingi</i> .....	128
-------------	-----------------------------------	-----

### K S I A Ż K I

Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Horoskop</i> .....	136
Janina Katz Hewetson:	<i>Kronika stanu obłężenia</i> .....	142
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> ....	146



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i> .....	148
--------------	----------------------------	-----



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	150
---	----------------------------------	-----



R. Daszkiewicz, St. Korboński, T. Venclova, W. Wirpsza, K. Zamorski, A. Zięba:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	154
--	--------------------------------	-----

### DOKUMENTY

Anka Kowalska:	<i>W sprawie Tez...</i> .....	159
Redakcja:	<i>Sprostowanie</i> .....	160

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ** Październik - Octobre 1982

**INSTYTUT**



**LITERACKI**

## WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) — pamięci Zygmunta Herta w 3-cią rocznicę jego śmierci — \$ 100,00 .....	F. 700,00
Aleksander Bragiński, Pittsburgh, Pa (USA) — zamiast kwia- tów na grób śp. Jadwigi Różańskiej, zmarłej w Warszawie 25 maja 1982 r. — \$ 100,00 .....	F. 700,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN), po raz 11-ty — DM 100,00 (gotówką) .....	F. 280,00
Albin Kac, Bat Yam (Izrael) .....	F. 139,88
Karol J. Krótki, Edmonton, Alta (Kanada), po raz 8-my — \$ c. 92,50 .....	F. 507,00
B. T. Łaszewski, New York, po raz 16-ty — \$ 60,00 .....	F. 420,00
Barbara Sule, Los Angeles, Cal. (USA) — \$ 16,50 .....	F. 115,50
Eugenia Szabelska, Paryż, po raz 2-gi .....	F. 100,00
Tadeusz Szubski, Scarborough, Ont. (Kanada) — \$ c. 10,00 ..	F. 56,00
Barbara Toruńczyk, Paryż — zamiast kwiatów na grób Ozjasza Szechtera .....	F. 150,00
Bezimiennie z Kanady, po raz 6-ty .....	F. 300,00
Bezimiennie z New Yorku — \$ 8,00 .....	F. 56,00
Bezimiennie z Paryża, po raz 19-ty .....	F. 100,00
Bezimiennie z USA, po raz 20-ty .....	F. 2.430,50

DZIĘKUJEMY!

## WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ

Bezimiennie z Kanady, po raz 6-ty .....	F. 250,00
Stefan Cichoradzki, Caen (Francja) .....	F. 115,00
Agnieszka Grudzińska i Seweryn Blumsztajn, Paryż — dla uczczenia pamięci Ozjasza Szechtera, zamiast kwiatów na jego grób .....	F. 100,00
Grupa Działania na rzecz NSZZ Solidarność w Montrealu na potrzeby Polski Walczącej (nadesłała A. Więckowska — se- kretarz) — \$ c. 3.500,00 .....	F. 19.600,00
Jan Jaworowski, Bloomington, IN (USA) — on behalf of a group of mathematicians and friends from Munich — \$ 110,00 .....	F. 770,00
L. L. Kejna, Launceston, Tas. (Australia) .....	F. 6.676,63
Józef i Maria Kunc i Przemysław Hauderowicz, Long Beach, CA (USA) — na Fundusz Samopomocy Społecznej po raz 8-my i 9-ty à \$ 50,00 — \$ 100,00 .....	F. 700,00
Jacek K. Machniewicz, Paryż — kwotę zebraną przez kolegów i koleżanki z Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w intencji ofiarowania mu upominku w związku z jego odej- ciem na przedwczesną emeryturę — DM 610,00 .....	F. 1.708,00
Lidia Moszczyc, Estevan, Sask. (Kanada) — dla walczącego Podziemia — gotówką \$ c. 30,00 .....	F. 168,00
Andrzej W. Nowicki, Minneapolis, Min. (USA) — na Ruch Oporu w Kraju — \$ 50,00 .....	F. 350,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — \$ US 100,00 .....	F. 700,00
Dr Zygmunt Stankiewicz, Stockholm — KS 100,00 .....	F. 104,00
Marek Tokar, Bloomfield, N.J. (USA) — \$ 36,00 .....	F. 252,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 158)



P.9786 Chr. Arch.

## Proces o podpalenie PRL

ROZMOWA Z J. J. LIPSKIM

Jan Józef Lipski, urodzony w roku 1926 w Warszawie, krytyk, historyk literatury, dr hab. Żołnierz AK w latach 1942-1944 (najpierw w „Szarych Szeregach”, uczestnik akcji małego sabotażu, następnie w pułku „Baszta”), uczestnik Powstania Warszawskiego, ranny i kontuzjowany, odznaczony Krzyżem Walecznych. Absolwent polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Autor nieukończonej dotąd (dwa tomy) monografii „Twórczość Jana Kasprowicza”, dwutomowej pracy o dziejach felietonistyki warszawskiej, ponad 200 prac dotyczących współczesnej literatury, głównie liryki polskiej, literatury okresu modernizmu i międzywojennego, ekspresjonizmu niemieckiego i polskiego itd. Członek Związku Literatów Polskich i Polskiego PEN-Klubu.

W latach 1953-1960 był redaktorem i kierownikiem redakcji klasyki polskiej w Państwowym Instytucie Wydawniczym, usunięty karnie za prelekcje o historii ONR „Falangi” i Bolesława Piaseckiego. Od 1956 współpracownik, a w 1957 kierownik działu kulturalnego tygodnika *Po prostu*. Od 1956 członek, w latach 1957-58 prezes, do 1962 członek zarządu Klubu Krzywego Koła, odpowiedzialny za program i organizację zebrań czwartkowych Klubu. W 1964 współorganizator Listu 34, represjonowany za trzymaniem na 48 godzin i ponad rocznym zakazem druku. W 1967 ponownie zatrzymany i ukarany rocznym zakazem druku za udział w akcji obrony studentów, represjonowanych po odczytaniu prof. Leszka Kołakowskiego na UW. W 1968 ukarany znowu zakazem druku za zorganizowanie wraz z Pawłem Jasienicą listu grupy pisarzy w obronie studentów represjonowanych za demonstrację przeciw zakazowi wystawiania „Dziadów” w Teatrze Narodowym, oraz współorganizowanie zebrania nadzwyczajnego Związku Literatów Polskich w tej sprawie. Po raz czwarty zakaz druku po podpisaniu protestu przeciw zmianom konstytucji PRL,

w roku 1975. W 1976 współtwórca KOR, wielokrotnie zatrzymywany. W 1977 przez 3 tygodnie w więzieniu mokotowskim, zwolniony na skutek stanu zdrowia. Skarbnik Funduszu Samoobrony Społecznej KSS KOR.

Od początku istnienia Solidarności jej działacz. Przedstawiciel Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” do negocjacji z rządem oraz komisjami sejmowymi w sprawie ustawy o cenzurze, członek zarządu Regionu „Mazowsze” NSZZ „Solidarność”, delegat na I Zjazd Związku, autor tekstu uchwał o kulturze narodowej i o mniejszościach narodowych.

Aresztowany 15 grudnia 1981 po złamaniu strajku w Ursusie przez oddziały ZOMO i MO, oskarżony wraz z działaczami „Solidarności” w Ursusie o zorganizowanie i kierowanie strajkiem w Ursusie, wyłączony do osobnego sądenia na skutek stanu zdrowia. W maju 1982 zwolniony z aresztu otrzymał zezwolenie na wyjazd do Anglii (gdzie w roku 1978 przeszedł operację serca) w celu poddania się badaniom pooperacyjnym. 15 września 1982 powrócił do PRL na wiadomość o przygotowaniach do procesu KOR i sformułowaniu zarzutów prokuratorskich również przeciw niemu.

*Gustaw Herling-Grudziński: — Został pan włączony do przygotowywanego procesu KOR-u. Wymieniono najpierw czterech oskarżonych: Kuronia, Michnika, Lityńskiego i Wujca; dołączono potem do tej czwórki Pana i Chojeckiego. Wiadomość zastała Pana na leczeniu w Londynie. Słyszysz, że zamierza Pan za kilka dni wrócić do Warszawy, być może prosto do więzienia, a stamtąd na ławę oskarżonych. Dlaczego?*

*Jan Józef Lipski: — Zarzuty uważam za absurdalne. Chciałem podobno obalać siłą ustrój. Jaką siłą? Chyba siłą mięśni? Ale nie mam jej zbyt wiele. Uważam więc, że nie ma powodu, bym zmieniał swą wcześniejszą decyzję powrotu, z którą przyjeżdżałem w maju do Londynu. Co prawda można powiedzieć, że jeśli ktoś stawia absurdalne zarzuty, to zapewne ma nie po kolei w głowie i lepiej komuś takiemu nie pchać się w ręce. To prawda. Ale jako współtwórca KOR-u sądzę, że przydam się na ławie oskarżonych, by wraz z przyjaciółmi wykazać nonsens merytoryczny oskarżenia, które jest po prostu aktem zemsty.*

*G. H.-G.: — Jak Pan myśli, co stoi za decyzją wytoczenia przez jurę Jaruzelskiego procesu sześciu działaczom KOR-u?*

*J. J. L.: — Jeszcze raz muszę powtórzyć: zemsta. KOR odegrał ogromną rolę w wydarzeniach lat 1976-1981, stąd to brzydkie raczej uczucie, które żywią dla jego działaczy władze PRL. Trzeba jednak zrozumieć, że są one sfrustrowane w bardzo poważnym*

stopniu. Sytuacji ekonomicznej i społecznej poprawić nie umiemy i nie mogą, bo nie stan wojenny jest drogą do tego, więc robią to, co rzeczywiście jest łatwiejsze: represjonują. Tylko, że niczego w ten sposób nie załatwiają.

*G. H.-G.: — Nasuwa się pytanie, dlaczego wytypowano tę właśnie szóstkę, pomijając innych członków KOR-u?*

*J. J. L.: — Nie sposób odpowiedzieć na to pytanie! Może rzucano kostką? Oczywiście przy Kuroniu i Michniku obyło się zapewne bez tej procedury prawnej, bo ich od dawna darzyły władze szczególną nienawiścią; ich nazwiska znalazłyby się w każdej kombinacji.*

*G. H.-G.: — Chciałbym usłyszeć Pana zdanie o wstępnym (według prasy) sformułowaniu aktu oskarżenia: miały to być proces wytoczony „elementom trockistowsko-terrorystycznym”.*

*J. J. L.: — No właśnie, im szczegółowiej wnikać w to, co już wiadomo o przygotowywanym procesie, tym bardziej jest to absurdalne. Jackowi już podczas jego pierwszego procesu, w 1965, wmawiano trockizm — bez sensu, ale co dostał wyrok, to dostał. Robienie z Kuronia czy z Michnika, czy z któregośkolwiek z nas, trockisty jest może obliczone na analfabetyzm polityczny społeczeństwa, chyba przeceniany jednak przez prokuraturę. Oskarżeni — przepraszam, formalnie rzecz biorąc dopiero „podejrzani” — prezentowali raczej poglądy socjaldemokratyczne, wywodzące się z tradycji PPS, partii nie tylko socjalistycznej, lecz również demokratycznej, antytotalitarnej i niepodległościowej. *Nota bene* trockiści nie głoszą programu terroru indywidualnego, trudno więc ich nazywać terrorystami, ale kogo to obchodzi? Na pewno nie prokuratora. Jedna bzdura więcej, jedna mniej — jaka różnica? Chciałbym zresztą zwrócić Pana uwagę, że w ostatnich latach w publicystyce PRL używa się terminu „trockista” w tym samym sensie, co słowa „syjonista” w roku 1968. Może to o to chodzi? Doprawdy, problem przekracza moje możliwości rozumienia.*

KOR z uporem głosił przez całe pięć lat swego istnienia hasła wyrzeczenia się użycia siły przez ruch społeczny, który tworzyliśmy. Nie jesteśmy w Polsce aż tak nieznanymi, by uwierzono w nasz terrorizm.

Ale wszystko to są refleksje człowieka przywykłego myśleć kategoriami racjonalnymi — tu zaś chodzi o co innego: nie o sens, i nie o prawdę, lecz o skutek. Nie sądzę jednak, by ten skutek mógł być dla naszych oskarżycieli korzystny.

G. H.-G.: — 2 września Adam Michnik przemycił z obozu w Białolecie „Apel do społeczności międzynarodowej”. Michnik napisał ten apel na wiadomość o postawieniu w stan oskarżenia Kuronia, ale nie wiedział jeszcze, że do Kuronia dołączeni zostaną inni, wśród nich on sam. W apelu Michnika, ogłoszonym w Le Monde z 10 września, nowa impreza junty porównana jest z procesem o podpalenie Reichstagu. Warszawski „Proces o podpalenie PRL” (jeśli się tak można wyrazić) zdaje się wskazywać, że junta uważa KOR za swoisty „zapłon” Solidarności. Czy sądzi Pan podobnie? Jeśli tak, to czym Pan tłumaczy fakt dość nieufnego stosunku mas Solidarności do KOR-u, jakby o tym mógł świadczyć przykry incydent z Panem na zjeździe w Gdańsku? A może uchodził w grę nieufny czy niechętny stosunek robotników do inteligencji w ogóle, na co mógłby wskazywać równie przykry incydent z J. J. Szczepańskim na tymże zjeździe?

J. J. L.: — Wydaje mi się, że jest Pan w błędzie. Nie było nieufnego stosunku mas Solidarności do KOR-u. Nie znam wypadku, by kandydujący do władz dowolnego szczebla członek lub współpracownik KOR-u przepadł w wyborach, to był zawsze atut — i kandydat, jeśli rozkolportował choćby pięć numerów Robotnika, czynił z tego zawsze podstawowy element swojej akcji wyborczej, zawsze dobrze na tym wychodząc. Nie znaczy to, by wszyscy w Solidarności nas kochali i wszyscy nam ufali. Szyła nam buty i bezpieka swą szeptaną propagandą — i ci wszyscy, którzy w korowcach widzieli konkurentów, osobistych bądź ideologicznych. Ale to co innego. Życie nie jest bezkonfliktowe. Incydent, o którym Pan mówi, stwarzał może pozory, że jest inaczej. Próba uniemożliwienia podjęcia przez Zjazd uchwały, dziękującej KOR-owi za jego pracę, wyszła od nie bardzo licznej grupy działaczy „Mazowsza” (którzy przegrali tę sprawę najpierw w delegacji „Mazowsza”). Prawdę mówiąc, nadmiernie może zdenerwowałem się tym, co źle odbiło się na moim sercu, a również wraz z Haliną Mikołajską unieśliśmy się honorem i skłoniliśmy delegację Regionu Radomskiego, by wycofała wniosek, który (w mniej szczęśliwym sformułowaniu) postawiła zaraz inna delegacja. To wszystko stworzyło pozory, że sam wniosek miał poważne trudności. Ale tak nie było: przegłosowano go ogromną większością głosów. Rozwiodłem się o tym szeroko, bo często spotykam się z tą pomyłką, a rzecz sama dość mnie obchodzi.

Incydent z J. J. Szczepańskim wynikał wyłącznie z braku taktu jednego czy dwóch działaczy Solidarności.

Robotnicy w Solidarności rzadko mieli nieufny stosunek do

inteligencji — raczej interesowało ich, co dany inteligent ma do zaproponowania. Do tych, którzy walczyli o prawa robotnicze od lat, mieli stosunek na ogół pozytywny również ci robotnicy, którzy byli niechętni inteligencji.

A czy KOR był „zapłonem” Solidarności? W pewnym sensie tak: cztery lata ciężkiej pracy dały dobry skutek. Ale przeciw na ten skutek złożyło się wiele czynników: i pielgrzymka Jana Pawła II, i kryzys, i motywacje patriotyczne, i głód wolności. Żaden z tych czynników sam by nie wystarczył, aby narodziła się Solidarność.

G. H.-G.: — Czy podziela Pan moje zdanie, że wysokość wyroków w przygotowywanym procesie zależy od tego jaką wobec niego postawę zajmie Kościół: czy wyciągnie czy nie ochronne skrzydło, czy otworzy swój „parasol”, o którym się kiedyś sporo pisało i mówiło? Jaki, według Pana, był naprawdę stosunek Kościoła do KOR-u za życia prymasa Wyszyńskiego?

J. J. L.: — Ma Pan rację, postawa Kościoła będzie miała znaczenie kluczowe również dla naszego procesu.

Jaki był stosunek Kościoła do KOR-u za życia prymasa Wyszyńskiego? To zależy. Co to jest Kościół? Na przykład ksiądz Orszulik i parę innych osób w Sekretariacie Episkopatu nie zdradzało sympatii do KOR-u, by wyrazić się nieco eufemistycznie. Czy to Kościół? No, nie przesadzajmy.

Ksiądz prymas Wyszyński konsekwentnie bronił nas, gdy jedenastu członków i współpracowników KOR-u znalazło się w więzieniu. Szczególnie wiele ja mu zawdzięczam, bo wyróżniał mnie w swych interwencjach ze względu na katastrofalny wówczas (przed operacją serca) stan mego zdrowia. Przyjął w pewnym momencie delegację KOR-u (Halina Mikołajska, Jan Kielański, Henryk Wujec) i okazał w rozmowie wiele życzliwości, upoważniając do zwracania się z ważnymi sprawami do siebie i wskazując drogę, gwarantującą natychmiastowe i bezpośrednie dotarcie każdej prośby czy informacji (nie nadużywaliśmy zresztą tego). Wśród biskupów byli i niechętni KOR-owi, i przyjaciele KOR-u, na których radę i pomoc zawsze można było liczyć. A Kościół to dla mnie jest też i ksiądz Zieja, i inni księża współpracujący z KOR-em, i moi wierzący i praktykujący przyjaciele w KOR-ze, i świeccy działacze katolicy spoza KOR-u, tacy jak np. Cywiński, Mazowiecki i inni, na których radę i pomoc można było również liczyć, gdy chodziło o sprawy ważne z moralno-społecznego punktu widzenia.

G. H.-G.: — Zarysowuje się jak gdyby zamiar podzielenia ruchu

*Solidarności na dwa człony: na „sponsorowany” przez Kościół i laicki; z perspektywą rokowań z pierwszym (przy zmianie nazwy i zastąpieniu struktury regionalnej branżową), oraz izolowania drugiego. Czy ten zamiar ma szansę powodzenia? Spotkałem się z opinią dobrego zagranicznego znawcy spraw polskich, że zachowanie się Solidarności podziemnej pokaże, czy Sierpień 1980 był w głównej mierze owocem inspiracji i patronatu Kościoła, czy też samodzielnym zrywem klasy robotniczej. Co Pan o tym myśli?*

J. J. L.: — Jeśli Solidarność da się podzielić, przestanie być Solidarnością (czy można być solidarnym, godząc się na izolowanie kolegów, tzn. rzucenie ich na pożarcie bezpiece, lub w najlepszym razie na dyskryminujące zrobienie z nich obywateli drugiej kategorii, pozbawionych prawa do uczestnictwa w życiu publicznym?).

Myślę, że Sierpień był samodzielnym zrywem klasy robotniczej. Nie było w tym zrywie z pewnością inspiracji Kościoła — było natomiast kolosalne zaufanie mas robotniczych do Kościoła, a to co innego.

G. H.-G.: — *KOR nie interesował się wcale, albo interesował się mało chłopami, co można sobie ostatecznie wytłumaczyć jego nazwą i doraźnymi celami. Ale i Solidarność na początku zachowywała dość długo pewien dystans wobec problemów wsi. To już trudniej zrozumieć...*

J. J. L.: — Znowu muszę sprostować Pańskie mniemanie. Jeśli weźmie Pan wszystkie oświadczenia KOR-u, dotyczące spraw wsi i chłopów — przekona się Pan, że było inaczej. Prasa KOR-u również bardzo wiele miejsca poświęcała tym sprawom. Ukazywało się specjalne czasopismo KOR-u dla chłopów, *Placówka*, wiejski odpowiednik *Robotnika*. Wiesław Kęcik prowadził w KOR-ze ten dział prac. Byłem wraz z grupą współpracowników KOR-u na wiecu założycielskim pierwszego w Polsce Komitetu Samoobrony Chłopskiej Ziemi Lubelskiej — bo zaproszono nas, po długich kontaktach. Jeszcze wcześniej zawiązała się współpraca z silnym ośrodkiem działalności chłopskiej pod Grójcem, w Zbroszy Dużej — gdzie powstał drugi z kolei Komitet Samoobrony Chłopskiej. I tak dalej.

Rzeczywiście, Solidarność na początku zachowała pewną bierność na tym odcinku. Sądzę, że zbyt wiele miała wówczas własnych spraw na głowie, a zbyt mało kompetentnych działaczy w swych szeregach, którzy by te problemy podjęli natychmiast. Na to musiał przyjść czas.

G. H.-G.: — *Przed wprowadzeniem stanu wojennego słyszało się dość często o możliwościach odzyskania (czy też stworzenia nowej) partii chadeckiej. Pan sam był jednym z około tysiąca sygnatariuszy deklaracji założycielskiej Klubów Rzeczypospolitej Samorządnej „Wolność — Sprawiedliwość — Niepodległość”, o dość wyraźnej inspiracji socjaldemokratycznej, nawiązującej do tradycji PPS i WRN. Trudno się oprzeć staremu odruchowi „gdybania”: gdyby można było w Polsce swobodnie głosować...*

J. J. L.: — Partia chadecka, partia socjaldemokratyczna... Brzmi to dziś prawie anachronicznie, ale sądzę, że jednak przyszłe życie polityczne Polski nieuchronnie będzie nawiązywaniem do tych czy innych wątków politycznych tradycji.

Będąc sam socjaldemokratą z poglądów (z pewną modyfikacją w duchu kooperatywizmu Abramowskiego), byłem sceptyczny co do szans odegrania znacznej roli przez przyszłą partię socjalistyczną w Polsce. Myliłem się. Ale to wymaga krótkiego wyjaśnienia natury socjologicznej.

W Solidarności ogromną rolę odgrywa warstwa młodych czy względnie młodych robotników (20-40 lat) o średnim wykształceniu technicznym, dobrym poziomie intelektualnym, kulturalnym, cywilizacyjnym, o dużych ambicjach społecznych i politycznych, chłonnych, chętnych do samokształcenia się. Z tej warstwy wywodzi się większość robotniczych działaczy Solidarności. Łatwo znajdują oni wspólny język z inteligencją, a szczególnie intelektualistami zaangażowanymi w działalność społeczną — i jednocześnie z resztą klasy robotniczej o niższych standardach wykształcenia (pracują często przy tych samych maszynach). I w tej warstwie szczególnie łatwo znaleźć sympatyków socjaldemokracji. Dlatego, gdyby odrodziła się PPS — byłaby partią silną. Sądzę, że w ewentualnych wyborach w Polsce nikt nie mógłby liczyć na zdominowanie konkurentów. Ale o czym my dziś, we wrześniu 1982, mówimy?

G. H.-G.: — *Seria trzech wiążących się ze sobą pytań. Jak Pan ocenia dzień 31 sierpnia 1982 w kraju? Jakie Pan widzi „wyjście z sytuacji bez wyjścia” (żeby użyć formuły Kuronia)? Jakie są, według Pana, perspektywy okrzepnięcia, i stopniowego rozwoju organizacyjnego, ruchu oporu?*

J. J. L.: — 31 sierpnia... To było nieuniknione. Żywy lecz stłamszony, wciąż jednak potężny ruch społeczny musi od czasu do czasu dawać znać o sobie.

Jakie widzę wyjście z sytuacji? Jednak ponowną próbę ugo-

dy i porozumienia, mimo złych doświadczeń z porozumieniem poprzednim. Będzie zmuszać do tego sytuacja ekonomiczno-społeczna — a kto wie czy i nie Wielki Brat, który dla dobra całości bloku może po nieudanej próbie pacyfikacyjnej forsować próbę ugody, by nie pogłębiać wyrwy w potencjale Paktu Warszawskiego. To smutny paradoks, ale wcale nie nierealny.

Ruch oporu zaś będzie chyba zjawiskiem trwałym aż do nowych przemian i wydarzeń trudnych do przewidzenia — jeśli uda się w nim zachować zdrową proporcję między zdecentralizowaną inicjatywą i centralną koordynacją ruchu. W innym wypadku każdy udany cios policyjny w centrum mógłby się stać katastrofą ruchu.

G. H.-G.: — *Nie mogę naturalnie nie zapytać o Pana zdanie na temat działalności i roli emigracji. Odpowiedź musiałaby dzisiaj obejmować także nową emigrację, czy pótemigrację, czyli reprezentację Solidarności na Zachodzie.*

J. J. L.: — Widzę właśnie potrzebę dużego zróżnicowania funkcji emigracji „solidarnościowej” i emigracji dawnej (bądź również i z ostatniego okresu, jeśli niektórzy jej działacze będą szukali dla siebie pola poza Solidarnością).

Emigracja związana z Solidarnością musi być ambasadorem Solidarności w kraju, a więc ograniczać się do działań służebnych (co nie znaczy, że pozbawionych własnej inwencji i inicjatywy). Musi to być więc emigracja powściągnięta swe ambicje polityczne — zarówno dlatego, że ma reprezentować, a nie stawać się niezależnym czynnikiem, jak i dlatego, by nie wciągać krajowej Solidarności w konsekwencje polityki uprawianej na emigracji.

Tym wyraźniej rysuje się rola emigracji nie będącej Solidarnością na wychodźstwie. Inicjatywy stąd wychodzące nie będą wiązać ani krępować Solidarności w kraju — dlatego mogą być śmiałe. Myślę, że taka gra na dwóch fortepianach jest możliwa, choć trudna.

Emigracja będzie też musiała — jako całość — podjąć dzieło ratowania od nowa zagrożonej kultury polskiej. Jest to zadanie z punktu widzenia życia narodowego pierwszoplanowe.

G. H.-G.: — *Myślę, że można, jak dotąd, powiedzieć dużo dobrego o zachowaniu się inteligencji polskiej po 13 grudnia 1981. Ale weszliśmy w okres wyjątkowo ostrego zagrożenia kultury polskiej. Rzecz jasna, szuka się gorączkowo sposobów przeciwdziałania temu niebezpieczeństwu. Jednym z nich jest założenie w Paryżu Funduszu Pomocy Niezależnej Kulturze Polskiej, pod przewodnictwem Miłozza. Zna Pan jego skład i cele. Byłbym*

*wdzięczny za wszelkie uwagi o tym przedsięwzięciu, jak również za ewentualne sugestie na temat jego przyszłej działalności.*

J. J. L.: — Myślę, że będą tę pracę programować ludzie o większym od mojego doświadczeniu. Przecież to musi być *Kultura* i „Instytut Literacki” — tylko do kwadratu jeśli chodzi o rozmiary akcji i jej wielotorowość. Byłoby śmieszne, gdybym w piśmie redagowanym przez Jerzego Giedroycia radził, jak robi się takie rzeczy.

G. H.-G.: — *Ostatnie pytanie kieruję do autora pięknego szkicu „Dwie ojczyzny”. Jest Pan szczególnie uczulony na tzw. „sprawy narodowościowe”, oraz na stosunki Polaków z sąsiadami. Czy i Pan uważa za niezbyt fortunny apel zjazdu gdańskiego do robotników w krajach sąsiadujących z Polską?*

J. J. L.: — Trudne pytanie. Treściowo apel był mi bliski. Sądzę jednak, że lepiej byłoby, gdyby nie był uchwalony. No, nie sądzą, by ten apel właśnie wywołał katastrofę — ale nie było konieczne naciskać wszystkie guziki alarmowe. Redagował apel jeden z moich przyjaciół — i żałuję, że nie powiedział mi *ante factum*, co się święci. Natomiast przegłosowanie go przez zaskoczenie, w trybie formalnie innym niż prawie wszystkie uchwały zjazdu — było czymś dziwnym (autor tekstu nie miał już z tym do czynienia). Przykładały do tego rękę osoby, których nie podejrzewałem o merytoryczne zainteresowanie tym problemem.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Londyn, 12 września 1982

## KONKURS\*

Jak informowaliśmy w numerze lipcowo/sierpniowym, Redakcja *Kultury* i Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa postanowiły ogłosić wspólny *Konkurs na pamiętnik z ostatnich siedmiu lat w Polsce*, ze szczególnym uwzględnieniem Solidarności i stanu wojennego.

Prace konkursowe powinny być nadsyłane na adres *Kultury*: 91, Avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, par 78600 Maisons-Laffitte.

Sugerowany rozmiar pamiętnika: 20 do 50 stron maszynopisu. Przy ocenie pamiętników brana będzie pod uwagę ich wartość dokumentalna. Pamiętnik powinien być spisany na maszynie lub wyraźnym piśmem ręcznym, jednostronnie na kartkach rozmiaru znormalizowanego papieru maszynowego. Prace powinny być podpisane godłem. Do każdej należy dołączyć zapieczętowaną kopertę na której wypisane jest godło; wewnątrz koperty należy umieścić nazwisko i adres autora. Autorzy, pragnący zachować anonimowość przy ogłaszaniu ich pamiętników drukiem lub przez radio, powinni to wyraźnie zaznaczyć. Należy też podać sposób przekazania ewentualnej nagrody lub honorarium.

Organizatorzy Konkursu zastrzegają sobie prawo odpowiednio honorowanego ogłaszania wszystkich nadesłanych prac.

Nagrody: pierwsza — 10.000 franków francuskich, dwie drugie — po 5.000 franków, trzy trzecie po 2.500 franków. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród.

Jury Konkursu: Gustaw Herling-Grudziński, Jakub Karpiński, Tadeusz Nowakowski, Grażyna Pomianowa, Wiesław Wawrzyniak.

Ostateczny termin nadsyłania prac: 31 stycznia 1983 roku.

\* Powtarzamy warunki Konkursu ogłoszonego w numerze wrześniowym (*Redakcja*).

## Dziennik pisany nocą

*Dragonea*, 16 lipca 1982

Rozmówka w stylu „trans-atlantyckim”, wysnuta (tu i ówdzie w dosłownym brzmieniu) z ogłoszonej w *Twórczości* korespondencji Miłoz - Wańkowicz (1952-1956).

— Diamat, mój dobrodzieju, diamat jest teraz w naszej Polsce wszystkim, a nie terror, orężny podbój, czy obcy zabór. Polacy głupi i podli na emigracji Dżengis-Chana w Ojczyźnie naszej wyobrażają, nad jej losem łyż obłudne wylewając, jęcząc, kwicząc i becząc niby zarzynane prosięta i barany, do nieba modły zanosząc, na świat cały pomstując i w głupocie swojej niczego nie pojmując, w podłości swojej nikomu nie przebacząc. Dżengis-Chanem owym jest diamat właśnie, którego umysł mój filozoficzny przyjąć nie może, lecz którego grozę i intelektualną ascezę w pełni ocenia tudzież po jakimś podziwianiu. Tak, dobrodzieju, w Polsce komuniści budują diamatowi kościół intelektualnej ascezy, tutaj zaś na obczyźnie próbują z nim walczyć pajace z gębami pełnymi patriotyzmu i z sieczką w dziurawych głowach. Pokaż mi jednego bodaj emigranta polskiego, który potrafiłby składnie i uczenie wyeksplikować czym jest diamat. A przecież diamatem chcą nam w Ojczyźnie naszej dzieci poturczyć, filozoficznie omamić, w filozoficznej teraz stajemy potyczce i wojnie chyba, filozoficznym musimy mieczem odpierać ataki adwersarzy naszych, rycerzy zacieklej diamatu. I w szcękę broni owej — nie uwierzysz, mój dobrodzieju! — bliżsi są nam często wrogowie nasi niżli emigracyjne imbecyle mieniające się naszymi sojusznikami. Gdy na nich patrzę, gdy czytam czasem ich elukubracje i gromkie atestaty wierności w tzw. narodowej potrzebie, widzę ich jako umarłych za życia, tylko nie zdających sobie z tego sprawy. Izraelczyk pewien zacny i mądry, doktor filozofii i so-



wieckich łagrów bywalec, napisał dla syna swego traktat o diamacie, by mu przeciw onemu dać w rękę oręż, bo i w Izraelu kościół intelektualnej ascezy swoje filozoficzne msze ze znaczną celebrycją. A emigranci nasi? Nikczemniej umysłowo, jak przed nimi monarchiści rosyjscy. Nie wiedzą i wiedzieć nie chcą, że komuniści we Francji mają najwybitniejsze umysły i dyskutują problemy o jakich nie śniło się polskim emigrantom. Kto wśród studentów Sorbony za komunizm się nie poczytuje, ten jest traktowany jak biedny matolek. Młodzież niemiecka uciekająca ze wschodniej strony nawraca się często na komunizm dopiero w Berlinie Zachodnim, nie mogąc znieść zbyt niskiego umysłowego ciśnienia. Tak ono i jest, mój dobrodzieju. I tak będzie, choćby emigracyjni ślepcy komunizmowi przeciwni bez ustanku podrygiwali, wierzgali, kwiczeli, beczeli, bluzgali pustymi słowami. Nie rozumieją bowiem i nigdy już pewnie nie zrozumieją, że bój toczy się nie przeciw staremu zaborcy, lecz przeciw nowej teologii. Z diamatem nasz bój śmiertelny, dobrodzieju, a bój to do cna filozoficzny.

— Jaki tam diamat, mościpanie, co mi tu o diamacie gadasz jakbyś nim oczy chciał zamydląć, zasłonić nim swoje i innych grzechy, zwichrowania, manowce albo i szaleństwa po prostu. Wierzysz-li naprawdę w diamat onego powagę i (jak się wyrażasz) intelektualną ascezę? Gdybym uwierzył że wierzysz, dałbym ci mościpanie spokój, boś poeta, a u poety zamęt w głowie to jak jeszcze jeden kwiatek w bukietcie uczuć. Ale dalibóg nie wierzysz, węchem to zgaduję, jeno taniec jakiś Świętego Wita odprawiasz, wiercisz się i kręcisz, zwijas i podskakujesz, krzyczysz i szaty rozdierasz, egotykiem z przyrodzenia będąc, po czubki od włosów samym sobą wypełnionym. Wypuść więc z zębów tę diamatową kość, nie włóż jej po świecie, gdyż ci z nią nie do twarzy, jak nie do twarzy ci z owym małym nadobnym szczyreniem zębów na rodaków twoich emigrantów, choć zaprzeczyc nie mogę, że żyć z nimi nie słodko i że ci siła złego, jako i mnie zresztą, uczynili. Filozofię zaś porzuć, widać żeś do uporządkowanego myślenia niezdolny, bardziej ci już uporządkowane wizjonerstwo przystoi. I zaufaj mnie, który w umyśle mym długo kształconym nadzwyczajną rozwinąłem zdolność syntezy. Umiejętności owej zawdzięczam odkrycie Międzyepoki, o której więcej się dowiesz nad księgami mymi się pochylając. Stara Epoka przeszła, nowa dopiero nadchodzi, a myśmy w Międzyepoce. Wszystkie nasze bóle, gniecienia, uwierania stąd pochodzą, że stoimy między dwiema Epokami, nogi nam one w dwie przeciwne strony rozciągają, w rozkroczu cisnąc i kłując. A stać musimy, bo czas nasz taki tranzytoryjnie niewdzięczny, historyczne szaleją przeciagi, których żaden nie uładzi diamat lecz tylko

synteza. Pisarz, który nie wyczuwa Międzyepoki, czepia się formy ideologicznie skończonej — jest sam skończony. Podobnie z Ojczyzną naszą. Nie o Polsce mówić trzeba, ale o Międzypolsce, skoro jedna już odeszła, druga jeszcze nie nadeszła, a my pośrodku. I oto za sprawą syntezy wyklął się mój koncept następny, nazwany przeze mnie Trzecim Miejscem. Klub nawet założyłem Trzeciego Miejsca, do którego niniejszym z niskim ukłonem zapraszam: gość w dom Bóg w dom, albo też czym chata bogata. A żeśmy z tych samych stron, zem powieść twoją cudowną o dolinie Issy łzami obficie zrosił, przestańmy się bez pożytku nijakiego wadzić, szarpać i kasać, lecz pamiętajmy że świat idzie do coraz lepszego, że należy tylko znaleźć na nim swoje miejsce (trzecie!) i wkluczyć się przy pomocy syntezy w radosny tok dziejów. Wtedy — niech cię to, bracie, nie gorszy — nawet takie zjawiska jak Oświęcim lub Katyń nie będą straszyc, otrzymując swój sens. Świat, powiadasz, w najlepszym razie „pójdzie na jaki inny tor, pewno ani po myśli jednych, ani drugich”. Tuś kochaneczku trafił nareszcie, złote słowa! Pójdzie zawsze po torze trzecich. Tak tedy, sam o tym nie wiedząc, przestąpiłeś próg naszego Klubu. Chlebem witam i solą.

22 lipca

Zaraz po wznowieniu *Tygodnik Powszechny* wydrukował na pierwszej stronie fragmenty przemówień prymasa Wyszyńskiego: „Pamiętajmy, czym właściwie dla człowieka jest wiek XX. Przecież to wiek ustrojów totalistycznych, które zorganizowały okrutny system walki z obywatelami. Niemal wszystkie ustroje totalistyczne obsiały ziemię obozami koncentracyjnymi, więzieniami, miejscami przymusowej, ciężkiej i wyniszczającej pracy. Za naszych czasów ustroje totalne walczące z obywatelem, umacniając swój nowy ustrój, wyniszczyły dziesiątki milionów Bogu ducha winnych ludzi... Stąd uporczywa walka, jaką Kościół toczy w obronie człowieka i jego praw (1977-1979)”. Należało to odczytać, w numerze wydanym w pół roku po „autoinwazji”, jako przypomnienie antytotitarnego powołania Kościoła, według klasycznej już formuły Kołakowskiego: „Despotyczne formy rządzenia i w szczególności prześladowania religijne w ustroju komunistycznym nie pochodzą stąd, że komunizm jest ateistyczny, ale stąd, że jest totalitarny”.

6 czerwca, niemal równocześnie z numerem wznowionego *Tygodnika Powszechnego*, ukazał się w *New York Times Magazine* pierwszy obszerny wywiad zagraniczny z prymasem Głębem, pióra Niny Darnton. Wypowiedź centralna brzmiała w

nim następująco: „Kościół był silny przed powstaniem Solidarności. Stał się silniejszy podczas istnienia Solidarności. I zyskał jeszcze bardziej na sile pod rządami prawa wojennego. Wygląda na to, że wszystko cokolwiek zdarza się w Polsce, prowadzi do wzmocnienia Kościoła”.

Określić to triumfalistyczne oświadczenie jako lekkomyślne, nierozważne, byłoby eufemizmem. Ale w końcu nie o takie czy inne określenie tu chodzi. Liczy się przede wszystkim dość wyraźne przesunięcie punktu ciężkości w postawie Kościoła, dokonane (lub w trakcie dokonywania) ręką następcy prymasa Wyszyńskiego. Stosując formułę Kołakowskiego: gdy się przymyka jedno oko na niezmienną totalitarną istotę ustroju komunistycznego, a drugim szeroko otwartym śledzi jego elastyczną i koniunkturalną taktykę ateistyczną, można rzeczywiście dojść do absurdalnego wniosku, że despotyczne formy rządzenia komunizmu nie przeszkadzają bezustannemu rozkwitowi Kościoła; wręcz przeciwnie, sprzyjają mu, i to nawet w skrajnie despotycznych warunkach stanu wojennego.

Zarysowują się już owoce tego triumfalizmu, pytanie tylko kto je, kiedy i jak będzie zbierał w porze dojrzwania. Chwilowo jesteśmy w stadium rozpoznawczego podreptywania wokół drzewa. Jugosłowiański dziennikarz Frane Barbieri, niegdyś redaktor belgradzkiego tygodnika *Nin* a obecnie „wschodni” komentator turyńskiej *La Stampa*, jeden z najbystrzejszych i najinteligentniejszych obserwatorów sowieckiej sceny z przyległymi marchiami, poświęcił operacji *in nuce* kilka artykułów wartych zastanowienia. Pierwszy (z 15 lipca) zatytułował *Walesa addio*, pod świeżym wrażeniem wywiadu z Glempem w telewizji włoskiej. Uderzyła go w tym wywiadzie prymasowska wymówka pod adresem prasy zachodniej, winnej jakoby zniekształcenia intencji „naszego rządu” (czyli Jaruzelskiego). „Nasz rząd” pragnie by wizyta Jana Pawła II w kraju była krokiem w kierunku przywrócenia pokoju społecznego, a nie pogłębienia i egzasperacji kryzysu narodowego. Episkopat polski otwiera zatem pewien kredyt zaufania generałowi. A Wałęsa? Żegnaj Lechu, z Bogiem pocziwy wąsa! Trójkąt Władza - Solidarność - Kościół był od początku asymetryczny, Solidarność posunęła się za daleko, nie tylko narażając na niebezpieczeństwo „nasz rząd”, lecz wymykając się także spod kontroli Kościoła. Trójkąt musi zostać zredukowany do dialogu bezpośredniego między Władzą i Kościołem. „Kiedy Wojtyła wróci do Polski jako triumfator, część triumfu spłynie paradoksalnie również na Jaruzelskiego... Wałęsę, być może, przeznaczono do odegrania roli ofiary złożonej na ołtarzu”.

W następnym artykule (z 18 lipca) Barbieri zajął się ofiarą złożoną na ołtarzu, tytułem rekompensaty i dla równowagi, przez

Władzę w postaci okiełznania Olszowskiego. I słusznie zwrócił uwagę na wyraźne już żądanie, sformułowane przez generała ustami Urbana, aby samą nazwę „Solidarność” wyrzucić do lamusa „historii paroksyzmów politycznych w Polsce”, zważywszy że stała się „sztandarową etykietką opozycji antysocjalistycznej” i „budzi lęk, nieufność, niechęć w naszym międzynarodowym sąsiedztwie”. Podwójna ofiara ma być obustronną gwarancją dobrej wiary w dialogu bezpośrednim na gruzach „asymetrycznego trójkąta”.

I wreszcie dzisiejszy artykuł, po „amnestyjnym” przemówieniu Jaruzelskiego w Sejmie. Barbieri wątpi by udało się Polaków, „prawie cały naród polski”, przekonać do rozpoczętej operacji („trudniejsze to od zbrojnego podboju kraju”). Ale jedno, jak wolno sądzić, generałowi się powiodło: „Przekonał o swoich dobrych intencjach prymasa Glempa, który szykuje się już do przekonania o tym innych. Wydaje się, że za zgodą znacznie bardziej wymagającego Wojtyły. Pozostaje teraz pokonać upór Wałęsy”. Pozostaje grubo więcej, co Barbieri doskonale rozumie: „Z oporu czy braku oporu Solidarności podziemnej zobaczymy, na ile wolne związki zawodowe w Polsce były dziełem klasy robotniczej, a na ile dziełem Kościoła”.

Miesiąc temu byłem na odczycie Andrzeja Micewskiego w Paryżu. Kilkakrotnie, z naciskiem, podkreślił że Kościół uważa się wyłącznie za „mediatora ugody społecznej”, nie zamierza natomiast być w trwającym konflikcie „stroną”. Rzecz w tym, że nie może nie być stroną, jak był nią od powstania Solidarności, po stronie Solidarności. „Mediacyjne” wysiłki prymasa Glempa stawiają ten naturalny, antytalitarny układ pod niepokojącym znakiem zapytania.

27 lipca

W książce o wczesnym Dostojewskim *The Seeds of Revolt* Joseph Frank poświęca osobny rozdział *Sobowótrowi*, „przygodom pana Goladkina” (w pierwszej wersji), „poematowi petersburskiemu” (w drugiej poprawionej). Na ogół to niezbyt udane pisarsko opowiadanie zbywało się dotąd bądź jako rosyjską odmianę fantastyczną hoffmannowskiego *Doppelgänger'a*, bądź jako dowód trafności uwagi Bielińskiego, że sam Dostojewski na podobieństwo Rousseau miał skłonności paranoiczne i w „rozdwojonej” osobie Goladkina sportretował „własne głębokie przeświadczenie, iż cała ludzkość zazdrości mu i prześladuje go”. Frank subtelnie i wnikliwie odsłania prawdziwe znaczenie *Sobo-*

wtóra, wyjaśniając dlaczego Dostojewski tak zawzięcie bronił go przed krytykami i tak wielką przywiązywał doń wagę. Urzędniczna pan Goladkin na początku noweli „jak gdyby chciał się ukryć sam przed sobą, jak gdyby sam od siebie chciał uciec”. Od razu więc zatęchły i ostry zapaszek człowieka *iz podpolja*. Potem zjawia się sobowtór. „Pan Goladkin doskonale znał tego człowieka, wiedział nawet jak się nazywa, znał nazwisko tego człowieka, a jednocześnie za nic, za żadne skarby świata nie chciałby go nazwać, nie zgodziłby się przyznać, że nazywa się tak a tak... Poznał dokładnie swego nocnego przyjaciela; nocnym jego przyjacielem był nie kto inny, lecz on sam — sam pan Goladkin, drugi pan Goladkin, ale całkowicie taki sam jak on — słowem, jak to się mówi, pod każdym względem jego sobowtór”. I dalej: „Ten, który siedział teraz naprzeciw pana Goladkina, był przerażeniem pana Goladkina, był wstydem pana Goladkina, był wczorajszym koszmarem pana Goladkina, słowem był samym panem Goladkinem — nie tym panem Goladkinem, który siedział teraz na krześle z rozdziawionymi ustami i piórem zastygłym w dłoni; nie tym, który pracował jako zastępcą naczelnika wydziału; nie tym, który lubi stuszować się i utonąć w tłumie, nie tym wreszcie, którego krok wyraźnie mówi: nie ruszajcie mnie, a ja was ruszać nie będę, albo też: nie ruszajcie mnie, przecież ja was nie ruszam — nie, to był inny pan Goladkin, całkowicie inny, a jednocześnie całkowicie podobny do pierwszego... tak że gdyby wziąć i postawić ich obok siebie, to nikt, stanowczo nikt nie podjąłby się określić, który właściwie jest prawdziwym panem Goladkinem, a który fałszywym, który oryginałem, a który kopią”. Ciekawe, że późny Dostojewski planował nie tyle dalsze retusze noweli, co jej zupełną przeróbkę. Pan Goladkin miał w niej zostać radykałem, członkiem „kółka” Pietraszewskiego, miał śnić o roli „Napoleona, Peryklesa, przywódcy rewolty rosyjskiej”, miał być chodzącą krynica wiedzy i chorążyem ateizmu; dla jego sobowtóra zaś przewidywał Dostojewski zadanie denuncjatora radykalnego „kółka” wobec policji.

„Namnożyło się teraz ludzi, którzy noszą maski, trudno pod maską poznać człowieka”. To jest kluczowe zdanie *Sobowtóra*. Goladkin był w twórczości Dostojewskiego czymś więcej, niż postacią w duchu Hoffmanna, lub refleksem własnej manii przesładowczej. Dostrzega się w nim zadatki na rosyjskiego „bohatera naszych czasów”, przedstawiciela nowej rasy ludzi. Zżera go nie nędza, lecz ambicja; doprowadza go do obłędu ambicja, a zarazem pogardza ambicją i nawet cierpi z tej racji, że o cierpienie przyprawia go taki nonsens jak ambicja. Frank pokazuje go, z dowodami w rękę, jako produkt rzeczywistego stanu ów-

czesnej rosyjskiej psychiki kulturalnej (nowela powstała w latach 1845-46), osobowość zdeformowaną i okaleczoną przez biurokratyczną tyranie, a może i (jak sądził Dobroliubow) jednego ze „skrzywdzonych i poniżonych”, którzy rozpaczliwie usiłują ocalić swoją godność i indywidualność wbrew naciskom systemu i otoczenia. Frank odwołuje się tu do felietonów Dostojewskiego w *Petersburskiej Gazecie* z tej samej epoki. W jednym z nich autor *Sobowtóra*, nawiązując do podziwianych listów filozoficznych Herzena, pisał o „koniecznym egoizmie” jako „zasadzie witalnej” w procesie kształtowania człowieka. Według Dostojewskiego (i Herzena) życie rosyjskie blokowało ludzkie „ja”, nie dawało mu normalnego upustu, stąd charakter Rosjanina wykrzywiała stopniowa atrofizacja niezbędnego ludzkiego poczucia godności i odpowiedzialności. Niewątpliwie *dwojnik* Goladkin był tego żywym, choć przerysowanym z „nadrywem” groteskowo-satyrycznym, okazem. Rodził się w skurczach i bólach *Homo Russicus?*

28 lipca

Czemu przyplątał mi się naraz „petersburski poemat” o sobowtórce? Myślałem o nim bez przerwy podczas lektury nowej książki Zinowiewa *Gomo Sovietikus* (czyli *Homo Sovieticus*). Oto współczesny *dwojnik* Zinowiew, w błyskotliwie opisanych zapasach ze swoim „nocnym przyjacielem”, tak bliski duchowi noweli Dostojewskiego, że chciałoby się za nią powtórzyć: „Drażnienie się z sobą i jętrzenie własnych ran sprawiało panu Goladkinowi jakąś głęboką, niemal zmysłową rozkosz”. Wydany równocześnie tomik wierszy Zinowiewa *Mój dom — moja czuźbina* zamyka „posłowie od autora”, ze strasznym obrazem Rosji i akordem końcowym: „Gdy wspomnę, mróz przechodzi po skórze... Lecz nic ponad ten obraz droższego”. Rozdwojenie „liryczne” jest tylko refleksem rozdwojenia psychicznego i „światopoglądowego”, które cechuje zinowiewowskiego *gomososa*.

„Jest to książka — pisze we wstępie Zinowiew — o sowieckim człowieku jako o nowym typie człowieka, o *Gomo Sovietikusie* albo, mówiąc krócej, o *gomososie*. Mój stosunek do tej istoty jest dwójaki: kocham i zarazem nienawidzę, szanuję i zarazem złorzeczę, zachwycam się i zarazem czuję przerażenie. Sam jestem *gomososem*. Dlatego opisuję go w sposób okrutny i bezlitosny”. Paralełę sobowtóra, „nocnego przyjaciela”, posunąć można dalej nawet. Dostojewski planował rozszczepienie pana Goladkina na „przywódcę rewolty rosyjskiej” i donosiciela na

usługach policji. U Zinowiewa występuje *moj dwojnik w Moskwie*, *Wdochnowiciel* (jeden z policyjnych „mózgów” ustroju): „Jego wypowiedzi w duchu tragedii antycznej przesładują mnie dotychczas i po dziś dzień wywołują oddźwięk w mojej duszy”.

Mogę sobie wyobrazić dwojaką (jak na temat przystało) recepcję książki Zinowiewa. Zwężoną, która w portrecie (a raczej autoportrecie) *gomososa* widzi podjęcie motywu noweli Dostojewskiego i sowiecką odmianę *Homo Russicus*, człowieka o zablokowanym przez ustrój „ja” i zanikającym (lub doszczętnie obumarłym) poczuciu godności i odpowiedzialności. Poszerzoną, która wychodząc z literackiej wariacji na nutę sobowótora, zbliża się do wizji nowego zupełnie gatunku człowieka, w sensie prawie biologicznym. Optując na rzecz pierwszej recepcji, można książkę Zinowiewa uznać za inteligentną i pouczającą. Druga czyni z niej dość histeryczny wybuch o posmaku szarlatanerii, miłej aż za często intelektualnym łowcom „rozwiązań ostatecznych”. Która odpowiadałaby samemu autorowi? Obawiam się że druga, chociaż raz, opamiętawszy się trochę, przyciska hamulec w rozpędzonym motorze książki: „Najdoskonalsze wzory *gomososów* rodzą się w najbardziej wykształconej części sowieckiego społeczeństwa. Szerokie masy ludowe nie dorosły jeszcze do poziomu prawdziwego *gomososa*. Nie wykluczone, że nigdy do niego nie dorosną”. Chwała Bogu! Natychmiast jednak noga przeskakuje z hamulca na gaz: „Nie ma zresztą potrzeby. Byłe tylko jądro społeczeństwa składało się wyłącznie z *gomososów*”. Mowa naturalnie o jądrze „światlanej przyszłości”, poza nim rozciągają się zewnętrzne ciemności zaludnione przez „szerokie masy ludowe”.

Pojęcie *Homo Sovieticus* posiada pewną ograniczoną użyteczność, jeśli posługiwać się nim z umiarem, bez zapędów w kierunku diagnoz „definitywnych” i zachłannych „generalizacji”. Podobnie było kiedyś z pojęciem sowieckiej „ideokracji”. Ale nadużywanie, zajeżdżanie na śmierć tego rodzaju pojęć grozi zepchnięciem na dalszy plan wszystkiego, co w sowieźmie jest podgniętym już i murszejącym fundamentem zaborczego despotyzmu starego typu.

3 sierpnia

Przeczytałem w *Krytyce* dziennik Romana Zambrowskiego z lat 1969-1971: nudnawy, w miarę obolały (ach ta niełaska bossów partyjnych!), w miarę hipokryzyczny (ach to ich ukryte marzenie o powrocie do łaski!), głównie jednak usidlony. Zambrowski „jak ćma wokół światła krąży wokół problemu odwrotu

Gomułki i partii od Października”. Stosowniejsze w jego wypadku byłoby porównanie do ćmy, która wpadła w pajęczynę. Szarpnięcie się, trzepot skrzydełek, długi bezruch dla zebrania sił, znowu szarpnięcie się i trzepot skrzydełek. Gdzieś w kącie pod sufitem przygląda się temu spokojnie i cierpliwie tłusty pajak. „Należałoby dojść do wniosku, że nie da się uniknąć ewolucji systemu władzy demokracji ludowej ku wyobcowaniu go ze społeczeństwa, że systemu tego nie można poprawić, ulepszyć przez reformy?”. Nie, nie, byłby to wniosek z gruntu fałszywy, system jest reformowalny. Bo przecież Jugosławia, bo przecież Węgry, bo przecież Czechosłowacja (w roku 1971!)... Po czym melancholijny, samokrytyczny przyczynek do reformowalności systemu: „Będąc w Biurze Politycznym i w aparacie KC najaktywniejszym hamulcowym tendencji odwrotu od Października, w wystąpieniach publicznych niekiedy używałem twardego gomułkowskiego języka przeciw rewizjonistom”.

Jeden w dzienniku zapis wart jest zapamiętania, jakkolwiek sama ćma niewielką zdaje się wyciągnęła z niego naukę; a powinna była, przynajmniej odnośnie pajaka zaczajonego na straży swej misternej i mocnej sieci. „Przypominam sobie — było to chyba przed podróżą moskiewską Gomułki — przyjęcie, czy też spotkanie w Belwederze, w którym wziął udział marszałek Żukow. Zwróciła moją uwagę ożywiona z nim rozmowa Gomułki. Zapytałem później Gomułkę, o czym tak z nim gorąco rozprawił. Z dużym niesmakiem odpowiedział mi, że to Żukow przechwalał się, że gdyby nie doszło w czasie wizyty Chruszczowa i towarzyszy do wyjaśnienia sytuacji, to on potrzebowałby tylko trzech dni do zajęcia Polski. Gomułka miał go w odpowiedzi tylko zapytać — wyobrażam sobie, ile musiała go kosztować ta powściągliwość — kto wyniosłby korzyści z rozlewu krwi”.

12 grudnia 1981 w nocy któryś z członków Rady Państwa (nie komunista) miał wątpliwości, czy wolno mu głosować za wprowadzeniem stanu wojennego. „Panie pośle — upomniał go zdenerwowany oficer w kularach, — panu takie dziecinne wahania chodzą po głowie, a kilkaset metrów stąd marszałek Kulikow czeka na wynik głosowania”. Również pan poseł nie zanadto zważał po bezpośredniej konfrontacji z pajakiem, głosi teraz podobno zasadę „socjalizmu całego narodu”, która jest pozapartyjnym wariantem „reformowalności systemu”.

7 sierpnia

Pisał mi ktoś w swoim czasie z Londynu, że *Mermaid Theatre* nabył co wieczór publicznością, która po przedstawieniu wy-

chodziła na ulicę oszołomiona, zbulwersowana, wykołowana, jakby nie w stanie poradzić sobie z tym co zobaczyła i usłyszała. Dawano przeróbkę sceniczną noweli George'a Steinera *The Portage to San Cristobal of A.H.* Zdobyłem tę nowelę przed wyjazdem na wakacje i wczoraj przesiedziałem nad nią pół nocy. Wyżołomiony? Zbulwersowany? Wykołowany? Raczej nie bardzo własnym oczom dowierając, że po „raporcie o banalności zła” Hanny Arendt (sprawozdanie z procesu Eichmanna w Jerozolimie) można się było pokusić o próbę rzucenia na to samo zło światła patosu historycznego, swoistego co prawda i wieloznacznego, ale przecież patosu; i że mogło ono oslepić londyńską publiczność.

Grupie agentów izraelskich udaje się schwytać w Południowej Ameryce ukrywającego się tam od końca wojny Hitlera. Przekroczył już dziewięćdziesiątkę. Taszczą go przez dzikie pustkowia nad Amazonką do San Cristobal, skąd ma być odstawiony w ręce sprawiedliwości. Po drodze urządzają mu praprocess, czy proces antycypowany. Wygłasza we własnej obronie długie przemówienie, które w inscenizacji noweli trwa pół godziny. Kończą się nim i nowela i jej wersja teatralna. Ostatnie słowo należy do Hitlera. Wyrok — niepewny, zawieszony — należy do czytelników i widzów.

Broni się namiętą diatrybą w kilku punktach. Nie zniekształca się intencji autorskich, dostrzegając w nim Żyda *à rebours*, anty-proroka biblijnego zatajonego w nazistowskiej skórze, czarno-brunatnego spadkobiercę fałszywego Mesjasza ze Smyrny, a może nawet — czemu nie? sam o tym napomyka — prawdziwego i od wieków oczekiwanego Mesjasza, tyle tylko że niezdolnego już zaprowadzić ocalałych Żydów do Ziemi Obiecanej inaczej niż przez Morze Czerwone krwi bratniej, przez pustynię usypaną z bratnich popiołów. Kto stworzył izraelski *Judenstaat*? Teodor Herzl, czy Adolf Hitler? „To całopalenie zagrzało was odwagą niesprawiedliwości, pozwoliło wam wyprzeć Arabów z ich kraju rodzinnego”. Kto wymyślił doktrynę „narodu panów”? Czyż nie była tylko niemiecką trawestacją żydowskiego „narodu wybranego”? Żydzi dali światu surowego Boga Jedyne, epileptycznego i miłosiernego rabina z Nazaretu, mściwego rabina Marksa: w imię ludzkiego sumienia, w imię ziemskiej utopii. Trzeba było uwolnić świat od tych plag, także w interesie Żydów. Aby ludzkość — jej zdrowa część, której pisane było przeżyć — odetchnęła wreszcie z ulgą w naszych szpetnych czasach, przestała swój los przyjmować z pokorą, obudziła się po męsku z utopijnych snów. Tak, czasy były szpetne, temu zaprzeczyc nie sposób. Ale szpetne z czyjej winy? Nie on, Hitler, był spraw-

cą tej szpetoty. Kto zgnoił dwadzieścia milionów mieszkańców Konga belgijskiego? Kto założył pierwsze obozy koncentracyjne w Południowej Afryce? Kto wymordował trzydzieści milionów ludzi w Związku Sowieckim? Mordercze czasy, zapewne. Był bez wątpienia ich przedstawicielem. Jakże małym jednak w porównaniu ze Stalinem! Stalin (według doniesień Ribbentropa) uważał go za amatora, za dyletanta. Gdyby Stalin pożył nieco dłużej, nie uchowałyby się ani jeden Żyd od Berlina do Władystok. A przecież świat szanuje w duchu zwycięskiego moskiewskiego Wodza i tygrysa, gdy tymczasem pokonanego berlińskiego *Führera* ściga się jak wściekłego psa, schwytanego wlecze przez trzęsawiska, wiąże na noc, stawia przed sądem. Jakim prawem, z czyjego mandatu?

Zręczna samoobrona, nie ma co mówić, żaden krasomówczy adwokat z urzędu nie dorównałby tu oskarżonemu. Chwilami tony Wielkiego Inkwizytora w nowym, hitlerowskim wcieleniu. Całopalenie jako źródło „odwagi niesprawiedliwości” brzmi dzisiaj jak głos suflera, podpowiadającego Beginowi rzeź w Libanie i agresywne teksty deklaracji, pogroźek, listów do Reagana. Zestawienie ze Stalinem pada z trzaskiem na stół niby nieodparta karta atutowa. Tyrada przeciw przekleństwu sumienia nawiązuje do uwagi Nietzschego, że Żydzi wynaleźli sumienie, lecz nie dla siebie, dla innych. Z tym wszystkim trudno się cały czas opędzić przed pytaniem, co popchnęło Steinera do przyrządzenia nowelistyczno-scenicznej mieszanki oslepiającej, w której końska doza perfidii łączy się tak gładko z okruciami prawdy, argumenty pozornie racjonalne stapiają się tak szybko i bez przeszkód z czymś w rodzaju irracjonalnego, nienawistnego wycia. Podejrzewam że *The Portage to San Cristobal of A.H.* jest wysypką, spowodowaną przez świeżą falę książek dokumentarnych o pasywnym, półobojętnym, w każdym razie strusim stosunku Zachodu (nie wyłączając potężnych organizacji żydowskich na Zachodzie) do tragedii całopalenia. Wątpliwe, czy organizm znajdzie w tej wysypce antidotum na okresowe nawroty wstydlivej choroby.

A ów szczególnie łże-patos historyczny zła banalnego, wulgarnego, pospolitego, zbiurokratyzowanego (Eichmann domagał się w Jerozolimie by uznano go wyłącznie za skrupulatnego buchaltera eksterminacji i wzorowego nadzorcę rozkładu jazdy pociągów do gazu), pozbawionego jakichkolwiek pobudek „ideologicznych” poza nagą przemocą i nagą władzą? Idę o zakład że nowela Steinerja będzie miała naśladowców, literackich adeptów „ideokracji” stalinizmu. Słyszę już miążdżącą, posępną, miejscami wzniosłą elokwencję samoobrony Stalina „przed sądem historii”.

14 sierpnia

Do francuskiego wydania *Dziennika* Gombrowicz napisał tekst o Kocie Jeleńskim, zamierzając go również włączyć do przyszłych wydań polskich. Nie doszło do tego przez zaniedbanie czy zapomnienie Kota, pewnie kiedyś dojdzie, bo *Dziennikowi* można wróżyć najdłuższy wśród książek Gombrowicza żywot, ale trafia się teraz dobra okazja uzupełnienia luki. Tekst Gombrowicza powinien towarzyszyć czytelnikom *Zbiegów okoliczności*, pierwszej polskiej książki Jeleńskiego, która na czterystu przeszło stronach obejmuje wszystko chyba co po polsku napisał — jedynie szkic o *Kulturze* przełożono z francuskiego — od roku 1946 do 1981. Towarzyszy w każdym razie mnie (po skreśleniu kilku zdań mniej istotnych), gdy zabieram się do naszkicowania profilu Jeleńskiego z jego pękatem tomem na stole.

„Jeleński... kto to? Pojawił się na moim horyzoncie, hen, w Paryżu, i walczy o mnie... od dawna, może nigdy, nie zdarzyła mi się afirmacja tak zdecydowana i zarazem bezinteresowna tego czym jestem, tego co piszę. Tu nie wystarcza sama tylko chłonność, chwytność, takie współbrzmienie może się wydarzyć tylko na gruncie pokrewieństwa natur. (...) Nie uważam za dziwne, że on z taką łatwością wchłania i przyswaja sobie moją łatwość... on cały jest łatwy, nie piętrzy się jak rzeka na przeszkodzie, płynie wartko w tajnym porozumieniu ze swoim łożyskiem, nie druzgocze, przenika, przecieka, modeluje się wedle przeszkód... on *nieomal tańczy z trudnościami*. Otóż ja potrosze też jestem tancerzem i mnie ta perwersja (żeby „łatwo” podejść do tego co „trudne”) jest bardzo właściwa, mniemam że to jeden z fundamentów mego literackiego uzdolnienia. Ale co mnie dziwi, to iż Jeleński przedostał się także do mojej trudności, ostrości, nasze stosunki na pewno nie sprowadzają się do tańca jedynie i on rozumie mnie, jak bardzo niewiele, właśnie w tym gdzie jestem najboleśniej. Mój kontakt z nim to wyłącznie listy, nigdy na oczy go nie widziałem, i nawet te listy są przeważnie pośpieszne, rzeczowe — a jednak wiem na pewno, że w naszym stosunku nie ma nic z cikliwego cackania się duchowego, że to stosunek surowy, ostry, napięty i w samym rdzeniu swoim śmiertelnie poważny. Nieraz kojarzę Jeleńskiego (który jest podobno gładkim salonowcem) z proletariacką prostotą żołnierza... to jest, mam wrażenie, że w nim łatwość jest łatwością w obliczu walki, śmierci... i że obaj jesteśmy, jak żołnierze w okopach, zarazem lekkomyślni i tragiczni”.

No więc oczywiście „chłonność” i „chwytność”, od nich zaczynają zawsze i wszyscy prawie admiratorzy Jeleńskiego. Do-

dając „inteligencję”, albo „piekielną inteligencję”. Pamiętam jak przed laty w Rzymie skarżyła się często Rena Jeleńska: „Boże kochany, taki inteligentny chłopak i zachwyca się tym okropnym Gombrowiczem”. Może w ten paradoksalny sposób wyczuwała i zarazem przyznawała, że kryterium „inteligencji” to trochę za mało, że jej syn wyszedł daleko poza zdawkowe etykiety? Należą do nich także „kosmopolita” i „gładki salonowiec”. Jeleński kosmopolita? Andrzej Bobkowski ukuł kiedyś, bodaj w związku z Conradem, określenie Kosmopolak. Jeleński pochodzi z tej właśnie formacji, z formacji która wydała choćby ludzi wyraźnie obecnych lub przelotnie występujących w jego książce: autora *Rękopisu znalezionej w Saragossie*, tajemniczego korespondenta P.-L. Couriera, Jerzego Stempowskiego zakochanego po cichu w owym „panu Chlewaskim” za to, że miał ambicję „przejsć przez życie jak życzliwy i dobroczynny cień”, Józefa Michałowskiego piszącego całe życie nigdy nie skończone i nie wiadomo nawet czy na dobre zaczęte dzieło o księciu Adamie Czartoryskim. Z formacji niezwykłej, szczęśliwego skrzyżowania „światowców” i Polaków, ale i tragicznej niekiedy z odcieniem milczącej dumy. W wyobraźni widzę Jana Potockiego wpatrzonego w rodzinną cukiernicę, z której miała być odlana „srebrna kulka”. Z pamięci wywołuję „niespiesznego przechodnia” Hostowca na ulicach Berna, Paryża, Neapolu, oraz zgarbioną postać Józefa Michałowskiego obłożonego i zabarykadowanego w swojej rzymskiej bibliotece na *Vicolo Doria*.

Jeleńskiego „gładkiego salonowca” kojarzył Gombrowicz z „proletariacką prostotą żołnierza”. To jest u Gombrowicza wyborne, podobnie jak stopniowane przejście od Jeleńskiego „łatwego” i „nieomal tańczącego z trudnościami” do „rozumiejącego mnie właśnie w tym gdzie jestem najboleśniej”. Gombrowicz natychmiast dostrzegł kim i czym jest Jeleński jako umysłowość, wrażliwość moralna, polot metafizyczny i dar pisarski, wielkie słowa w konkluzji jego zapisu nie wywołują ani przez sekundę wrażenia użytych na wyrost. Jest pisarzem śmiertelnie (pod maską „łatwości”) poważnym i nieustannie napiętym, o wyostrzonym słuchu na sprawy ostateczne, walczącym poprzez twórczość innych (jeśli bywa nią urzeczony, albo częściej jeszcze do głębi przejęty) o siebie, o swoją duchową istotę i prawdę. Nie ma w nim za grosz „krytyka”, wyposażonego w zuchwy które tną pracowicie na „analityczne włókna” zadrukowany papier. Zapala się i podnieca, gdy zdarza mu się odkryć czy tylko zwęszyć w innym pisarzu coś doniosłego (i, nie bójmy się tego słowa, wzniosłego) dla siebie. Zapada w drzemkę nad płodami tylko umiejętności, zręczności, talentu. Cierpnie mu skóra na samą myśl, że mógłby mu ktoś przyprowadzić „gębę krytyka”.

Szuka utworów literatury godnych miłości, wszystko co nie spełnia takiego oczekiwania jest i niech pozostanie mniej lub więcej martwe. Stąd przenikliwość miłości, przenikliwość wzbogacenia i rozjaśniania świata i samego siebie, w kilku świetnych szkicach o Gombrowiczu (szczególnie o *Dzienniku*) i o Miłoszu (szczególnie o *Ziemi Ulro*); albo w pozornym drobiazgu o *Wyspie Artura* Elsy Morante. Analogiczną sprężynę pisarską odczuwa się, poprzez solidne rusztowanie wiedzy i tzw. „znawstwa”, w jego szkicach o malarstwie. A nawet w rzeczach wykraczających poza teren literatury i sztuki, na przykład w notatkach o „majowej rewolucji”, czy w wizerunkach ludzi, na przykład w pięknym wspomnieniu o Józefie Michałowskim.

Na uniwersytecie Saint-Andrews koledzy młodego Jeleńskiego pokpiwali z jego maniackiej *theory of coincidence*. Była ona — widać to teraz w wielu miejscach *Zbiegów okoliczności* — niezbyt daleką krewną „teorii cudów” Jana Potockiego: niezaprzeczonego faktu istnienia cudów jako jedyne dowodu na istnienie Boga. „Obaj jesteśmy, jak żołnierze w okopach, zarazem lekkomyślni i tragiczni”. Niewierzący wierzą, nierzadko z intensywnością religijną, w tajemniczy desień ludzkiego bytu i losu.

17 sierpnia

Weszło już w tradycję, że *Ferragosto* spędzam w Neapolu, jakbym miał potrzebę odnawiania co rok obrazu miasta, które na dwa dni szczytu lata staje się anty-miastem, aglomeratem opustoszałych domów o zamkniętych żaluzjach, bezludną prawie dżunglą ulic, placyków, zaułków. Nazwa *Ferragosto* jest zbitką *Feriae Augusti*, ustanowionych dekretem imperialnym w 18 roku przed narodzeniem Chrystusa. W tym roku więc kalendarzowy szczyt lata, świętowany niegdyś zabawami i igrzyskami w mieście a obecnie ucieczką z miasta, święci okrągłe urodziny: dwa tysiące lat.

Rano obszedłem starą dzielnicę i wstąpiłem do pustej Świętej Klary, około południa dobrnąłem w rosnącym upale do tradycyjnej też, ocienionej ławki nad morzem, na skraju ogrodu miejskiego w którym obrabowano biednego hrabiego z opowiadania Conrada. Zwykle w *Ferragosto*, ślizgając się wzrokiem po przydymionym od oddechu nieba zwierciadle morza, urządzam sobie coroczne prywatne rekolekcje, którym sprzyja widocznie poczucie nagłego „bez-otoczenia”. Tym razem, po świeżej lekturze książki Jeleńskiego, pamięć popychała mnie ciągle w stronę Józefa Michałowskiego.

A właściwie w stronę jednej tylko z kilku moich wizyt w jego pokoju na *Vicolo Doria*. Byłem jeszcze, w powojennym Rzymie, w mundurze wojskowym. I, być może, miałem mu coś do powiedzenia w sprawie „wojny” o jego bibliotekę. Musiała to być informacja już nieistotna, bo we wspomnieniu rozmowy nie odgrywa żadnej roli. Rozmowy? Michałowski monologował, ja słuchałem. Mówił o „strasznej chorobie błędniaka”, bez ustanku powtarzał te słowa głosem rozdrażnionym, na pograniczu szloch, z profetycznym błyskiem w oczach. Dla Polaków wojna skończyła się chorobą błędniaka, straszną chorobą, usiłuje się z niej wyjść, wydaje się początkowo że nastąpiła poprawa, złudzenia, złudzenia, każda kolejna próba rozjąttra, odbiera resztki nadziei, pogłębia zmorę nieodwracalności. Aż naraz — gdyż bywa i tak — straszna choroba błędniaka mija. Cud? Może i cud. Odkrywa się piękno chodzenia po ziemi, z niczym nieporównywalne: chodzenia z głową podniesioną do góry, na wyprostowanych nogach, bez zataczania się, gorączkowego szukania rękami podpórek, czepiania się byle czego, byle kogo. Z Polakami, wierzył Michałowski, zdarzy się coś podobnego: po wielu nieudanych próbach, po długim objaniu się o cztery ściany beznadziejności, wyjdą pewnego dnia ze strasznej choroby błędniaka.

Kto wie, może Michałowski wskazałby ten dzień przed dwoma dokładnie laty. Co do mnie, nie mam pod tym względem w drugą rocznicę żadnych wątpliwości, niezależnie od zamiaru ponownego wpędzenia Polaków w straszną chorobę błędniaka 13 grudnia 1981. I niezależnie od kazania z wysokiej ambony, które jeden ze znaków cudownego uzdrowienia określiło wczoraj jako „niezrozumiały i nieznanany Kościołowi”. Nie zanadto rozgarnięty i pojętny kaznodzieja zrozumie jeszcze, zrozumie, pozna jeszcze, pozna...

27 sierpnia

*Moby Dick* Melville'a, powieść-mit. Można ją czytać wiele razy, za każdym razem odkrywając jakieś niedostrzeżone przedtem piękno. Taka jest płodność poetycka mitu, jeśli ręka pisarza potrafi go od początku ukazać w zarodku, a resztę pozostawić stopniowemu rozkwitaniu. Wszystko u Melville'a staje się poezją, wszystko służy jednej potężnej wizji, nawet pedantyczne rozdziały o gatunkach wielorybów, o sztuce ich połowu, o odmianach harpunów, o wytapieniu tranu, o wyżywieniu marynarzy. Wszystko jest równocześnie bajką, legendą, przypowieścią, alegorią i posuniętym do skrajności opisem realistycznym. Gdzie kończy się prawda widzialna, a zaczyna niewidzialna? Istniał rzeczywi-

cie Biały Wieloryb ścigany przez beznokiego kapitana Achaba, czy był tylko biblijnym obrazem Wielkiej Ryby, tak jednak intensywnym że wynurzył się naprawdę z otchłani oceanów? „Jestem synem ziemi i gwiazdzistego nieba”, mówi umarły w tabliczce orfickiej. „Jestem synem morza i gwiazdzistego nieba”, mógłby wykrzyknąć Achab w przedśmiertnym momencie triumfu i klęski.

Płodność mitu, a obok niej wieczna otwartość mitu. „Niech mnie Bóg strzeże przed doprowadzeniem czegokolwiek i kiedykolwiek do końca; cała ta książka jest jedynie zarysem zarysu”. I „cała ta książka”, *Moby Dick*, kończy się i nie kończy na ostatniej, tysiącznej stronie; jest „zarysem zarysu”, gdyż rzeczy ogromne są z natury nieobjęte i niezgłębione, w ich pozornym dopełnieniu tkwi zawsze nowy początek. Epilog powieści przywołuje słowa *Księgi Hioba*: „Ja jeden ocalałem, by wam to opowiedzieć”.

I wreszcie żywotność mitu. Zanim poznałem powieść Melville'a i wciągnąłem ją na listę lektur stałych, tu w *Dragonej* zetknąłem się z wypadkiem, który był miniaturową wersją *Moby Dicka*. Historia mego sąsiada G. miała wiele cech historii Achaba, czego nie wiedziałem szkicując w myślach opowiadanie o nim. Gdybym je był wtedy napisał, posądzono by mnie o naśladowanie Melville'a. Potem, przeczytawszy „całą tę książkę”, odczytując ją często na dragonejskich wakacjach, zarzuciłem mój pierwotny projekt, przywykłem natomiast nazywać w duchu starożytnego G. kapitanem Achabem. W tym roku zobaczyłem na jego twarzy cień bliskiej śmierci. I wiem teraz, że napiszę kiedyś opowiadanie o nim, jakby nie istniała w ogóle powieść Melville'a. Niepodobna wyzwolić się od żywotnego działania mitu, gdy się dzięki niemu wkracza w inny wymiar, ogląda odbicie ziemskiej wędrówki człowieka w zwierciadle o którym za orficką tabliczką chciałoby się powiedzieć, że jest bezdennym „jeziorem pamięci”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## Samobójstwo sandaueryzmu (I)

### I. Wstęp: Sandaueryzmu miłe początki

Na zjawisko sandaueryzmu składają się: a) metoda, b) legenda. Metoda krytyczna — jakkolwiek Artur Sandauer objaśniał ją osobiście i wyczerpująco przy różnych okazjach — w powszechnym odbiorze schodzi na dalszy plan; co przede wszystkim kojarzy się z nazwiskiem Sandauera, to legenda osobista o rozmiarach, jakimi nie może się poszczycić popularność żadnego innego żyjącego krytyka. Sandauer — autor obrazoburczych książek, Sandauer — inicjator burzliwych dyskusji, Sandauer — autorytet i klasyk, a zarazem cięty weredyk i nieposkromiony mąciiciel spokojnej wody. Jak każda autentyczna legenda, tak i ta znajduje rozmaite formy wyrazu: od czołobitnych recenzji i notek na skrzydełkach książek, poprzez liczby wznowień tych ostatnich, aż po promieniujące autorytetem i profesorską kostytucją oblicze samego Artura Sandauera, dobrze znane każdemu widzowi telewizji polskiej.

Powszechne mniemanie o wielkości Artura Sandauera podzielane jest bez większych oporów przez niego samego. „Moje odchYLENIA”, „Bez taryfy ulgowej”, „Dla każdego coś przykrego” — te tytuły wyrażają przekonanie o własnej bezkompromisowości, samodzielności, waleniu prawdy w oczy i narażaniu się autorytetem. „O jedności treści i formy”, „O ewolucji sztuki narracyjnej w XX wieku”, „Ewolucja poezji polskiej 1945-1968” — te tytuły książek lub esejów są autoportretem krytyka uczonego, o szerokich horyzontach, zacięciu teoretycznym i skłonnościach do syntezy. Symetryczna konstrukcja książek i poszczegól-



ných esejów stanowi symboliczny wyraz pedantycznego dążenia do ścisłości i perfekcji. Legendę Artura Sandauera konstruuje zresztą on sam w sposób bardziej bezpośredni: przez umiejętne eksponowanie własnego „ja”, własnej biografii, własnych krytycznych osiągnięć. Z pewnością nie ma dziś — a może nie było nigdy — drugiego krytyka, którego pisma przesiąknięte byłyby do tego stopnia autokomentarzami i autopochwałami (jeden z ostatnio ogłoszonych artykułów<sup>1</sup>, którym zajmę się jeszcze dokładniej, kończy się obszernym autoportretem w trzeciej osobie, złożonym z cech takich jak „obiektywizm”, „wirtuozeria formalna” itd.). Nie ma też z całą pewnością drugiego krytyka, który w sposób równie imponujący opanowałby sztukę autocelebry, wyrażającą się choćby w nieskończonym przedrukowywaniu tych samych esejów w coraz to nowych książkowych konstelacjach, tak aby ich oczywista doskonałość jaśniała coraz to nowym blaskiem. Wybierzmy na chybił trafił parę przykładów. Szkic „O ewolucji sztuki narracyjnej w XX wieku” przedrukowany został, poza miejscem swego pierwodruku, w tomach „Dla każdego coś przykrego” (1966), „Liryka i logika” (1969), „Teoria i historia” (1973). Szkic „Samobójstwo Mitrydatesa” — w książce pod tym tytułem (1968), w „Liryce i logice”, „Teorii i historii”. Esej „Początki, świetność i upadek rodziny Młodziaków” — w „Bez taryfy ulgowej” (1959), „Dla każdego coś przykrego”, „Liryce i logice”. Esej o Przybosiu „Esteta czy Scyta? albo Robotnik wyobraźni” — w „Poetach trzech pokoleń” (1955 i kilka następnych wydań), „Poetach czterech pokoleń” (1977), „Liryce i logice” oraz książeczce „Przybos” (1970). I tak dalej, i tak dalej, a nie wspominam tu o trzynomowych „Zebranych pismach krytycznych” (1981), gdzie wszystko to zostało raz jeszcze przedrukowane. W gruncie rzeczy trzon dorobku krytycznego Sandauera składa się z dwudziestu prauzwoń, przedrukowywanych wciąż na nowo — po trzy, cztery, pięć razy — i za każdym przedrukiem doniosłejących w oczach czytelnika, a zwłaszcza autora. Od dłuższego czasu Sandauer nie pisze nowych książek — pisze raczej jeden lub dwa nowe szkice, dorzuca do nich kilka dawniej już opublikowanych i w ten sposób w katalogach bibliotecznych oraz na półce autora pojawia się nowy tytuł.

Może właśnie ta autocelebra sprawiła, że — poza jednym wyjątkiem — nikt prawie nie próbował przyjrzeć się twórczości Sandauera dokładnie, solidnie i bez złudzeń. Polemiki rozma-

1. „O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku. (Rzecz, którą nie ja powinienem być napisać)”. Ode. III: „Tematyka żydowska w literaturze powojennej”. *Polityka* nr 19/1982.

tych autorów z jego artykułami i książkami obfitują w słuszne zarzuty i trafne analizy, wszystkie one mają jednak charakter cząstkowy. Jedyńm, o ile mnie pamięć nie myli, krytykiem, który zaatakował frontalnie zjawisko sandaueryzmu — i który zresztą stworzył ów termin — był Tomasz Burek. Myślę o jego świetnym artykule „Szkola mitologiczna Artura Sandauera”<sup>2</sup>, na który będę się jeszcze powoływać. Artykuł powstał jednak dzieśięć lat temu, a od tego czasu sandaueryzm — i jako metoda, i jako legenda — podległ interesującemu procesowi degeneracji, dającej znać o sobie zwłaszcza w ostatnich miesiącach i domagającej się nowej analizy.

Największym paradoksem jest w tym wszystkim fakt, że akademicki werniks, jakim powleczone jest autoportret naszego klasyka krytyki, łuszczy się rozpaczliwie już od bardzo dawna — i wystarczy przybliżyć wzrok do płótna, aby to bez trudu dostrzec. Zwyczajna, byle uważna i wyzbyta nabożnego szacunku lektura jest w stanie wykazać że mit Sandauera jako uczonego erudyty, pedantycznego filologa i zarazem nieustraszonego werydyka — nigdy nie miał pokrycia w rzeczywistości; był raczej wytworem pełnej rozmachu, niemal natchnionej autokreacji. Pamiętam dobrze okoliczności, w jakich zdałem sobie z tego sprawę. Jako student polonistyki w latach sześćdziesiątych żyłem, jak chyba wszyscy, w aurze osobliwego kultu Sandauera: można się było z nim nie zgadzać, nie można było nie mieć dla niego podziwu; jego szkice o Gombrowiczu, Schulzu, Leśmianie, Tuwimie, Przybosiu czy Białoszewskim należały do żelaznego kanonu krytyki współczesnej, traktowano je jako wzór dociekliwej interpretacji i eseistycznego kunsztu. Pewnego dnia, zbierając materiały do pracy magisterskiej o prozie Leopolda Buczkowskiego, przestudiowałem uważniej niż dotąd krótki szkic Sandauera o tym pisarzu (w tomie „Stanowiska wobec...”, 1963). Coś w tym nastawionym artykule przykuło moją uwagę: cytat. Niewątpliwy cytat, bo ujęty w cudzysłów, nawet z podaniem odpowiedniej strony powieści Buczkowskiego „Czarny potok”. Krytyk cytował zdanie „gabe Gudeł idzie uliczką i nastukuje kosturem zachodzące święta Pesach”, aby w przypisie podać miążdżącą krytyce ignorancję autora: „W miasteczkach żydowskich istniał rzeczywicie zwyczaj, aby wzywać śpiących do synagog stukaniem w okno: czynił to jednak nie *gabe*, lecz *szames*, i nie za dnia, lecz w nocy, i nie na święto *Pesach*, lecz na modlitwę *Selichoth*”<sup>3</sup>.

Pech Sandauera polegał na tym, że krytyk natrafił w mojej

2. W: T. Burek, „Dalej aktualne”, Warszawa 1973.

3. „Stanowiska wobec...”, Kraków 1963, str. 93. Podkreślenia Sandauera.

osobie na wyjątkowo niewdzięcznego czytelnika: takiego, który ma pod ręką zacytowane dzieło i z całą małostkowością sięga do źródła, aby sprawdzić cytat i jego kontekst. Kiedy to uczyniłem, okazało się przede wszystkim, że zacytowane krótkie zdanie brzmi w powieści inaczej: Sandauer zacytował je albo z pamięci, albo z celowym lekceważeniem, dość że udało mu się zmieścić w tym jednym zdaniu aż cztery drobne przeinaczenia. To jednak mniejsza: bardziej uderzające było to, że kontekst cytatu nie usprawiedliwiał w żadnej mierze takiej właśnie jego interpretacji. Nawet najuważniejsza lektura odnośnego fragmentu powieści nie była w stanie potwierdzić, iż mówi on o wzywaniu śpiących do synagogi: gabe Gudeł — było to najzupełniej oczywiste — nie stuka w niczyje okna, lecz stuka sobie, idąc, kosturem w bruk. To trochę tak, jakby zdanie „Ogary poszły w las” opatrzyć komentarzem: „W rodzinach polskich istnieje rzeczywiście zwyczaj, aby w niedzielę chodzić na mszę, czynią to jednak nie *ogary*, lecz *ludzie*, i nie *w las*, lecz *do kościoła*”.

Jednym słowem — ja, student polonistyki, przyłapałem wielkiego krytyka na brzydkim, a w dodatku niemądrym fałszerstwie! Pamiętam, że zamiast triumfu ogarnęło mnie wtedy — zażenowanie.

Uczucie, którego nie umiem się pozbyć do dziś, ilekroć znajduję w kolejnych wystąpieniach Artura Sandauera nowe ilustracje jego metody i nowe zaprzeczenia jego legendy. Skądinąd, do Sandauera prawdziwego dotrzeć jest trudno: nie tylko dlatego, że kostium legendy przesłania rzeczywistą osobowość, ale i dlatego, że w tej autentycznej osobowości elementy wielkości i małości są zadziwiająco przemieszane. Być może kiedyś, po latach, tolerancyjne spojrzenie jakiegoś historyka krytyki dostrzeże w działalności Sandauera tylko to, co stanowiło jego rzeczywiste osiągnięcia: interpretacje pisarzy i poetów, których ceni (i których wobec tego czyta dokładnie i uczciwiej), zasługę popularyzacji trudnych, nowatorskich twórców (Gombrowicz, Schulz, Białoszewski), rolę inicjatora sporów i polemik, autora zgrabnych formuł i aforyzmów („odwaga staniała, rozum podrożał”), których efektowny kształt zaciera skądinąd ich rzeczywiste znaczenie i funkcję, jaką pełniły w momencie swego powstania. Kto tolerancyjny i wyrozumiały, ten, powtarzam, będzie pamiętał Sandauerowi jego osiągnięcia. Kto jednak patrzy głębiej, ten zmuszony będzie również zrozumieć kapitalny problem sandauryzmu jako „duchowej formy życia”, sandauryzmu jako formacji umysłowej, sandauryzmu jako postawy moralnej, sandauryzmu jako przedziwnego zjawiska, w którym metoda stoi, wbrew pozorom, w najzupełniejszej sprzeczności z legendą.

## II. Uczony erudyta

Przyjrzyjmy się bowiem najpierw fundamentowi tej legendy: mitowi Sandauera jako wszechstronnie czytanego erudyty, Sandauera — teoretyka, Sandauera — autora wielkich wizji historyczno-literackich. Gdy poskrobać łuszczący się werniks — cóż się okazuje?

1. *Uczony erudyta ma braki w zakresie teorii literatury.* Od braków tego rodzaju nie są oczywiście wolni liczni inni krytycy — ci nie mają jednak przynajmniej teoretycznoliterackich pretensji. U Sandauera natomiast pretensje walczą o lepsze z monumentalną ignorancją w tej dziedzinie. Jego podstawowe teoretyczne dzieło, „O jedności treści i formy”, napisane zostało w latach 1952-53, opublikowane po raz pierwszy w 1957, zaś w piętnaście lat później przedrukowane bez zmian w tomie „Teoria i historia”, gdzie „uzupełnienie i korekturę” ma stanowić esej z 1970 roku pt. „Mała estetyka”. Zarówno w „O jedności...”, jak i w „Małej estetyce” Sandauer zachowuje się tak, jakby zachodnia teoria literatury w wieku dwudziestym skończyła się na esejach Paula Valéry, polska zaś na Juliuszu Kleinerze. Podstawowymi pojęciami własnej teorii Sandauera są „treść” i „forma”, pomiędzy którymi w dziele sztuki powinna panować „jedność”. Z tego wynika założenie, iż „dopiero związek treści z formą świadczy o światopoglądzie pisarza”, a „krytyka winna wy dobywać na jaw nie tylko to, co wyrażone *explicite* w treści, ale także i to, co implikowane w formie dzieła”<sup>4</sup>.

Przedstawmy sobie fizyka, który w drugiej połowie XX wieku z całym namaszczeniem odkrywa prawo ciężenia: tak właśnie wygląda wartość mglistych truizmów Sandauera na tle już nawet nie najnowszej, a całkiem tradycyjnej teorii literatury. Podobne rzeczy nie uchodzą dziś już nawet na lekcjach polskiego w co bardziej oświeconych liceach ogólnokształcących. Pomijając fakt, że pojęcia „treści” i „formy” rażą nieokreślonością, Sandauer — jeśli nie ten z roku 1952, to przynajmniej ten z 1970 — mógłby przynajmniej napomknąć, że słyszał coś o fundamentalnych przeobrażeniach, jakie przeszła światowa teoria literatury od lat dwudziestych, tj. od czasów rosyjskiego formalizmu. Już strukturaliści prasy z lat trzydziestych (a z innych pozycji np. Roman Ingarden w Polsce) wypracowali nieporównanie bardziej niż u Sandauera złożoną i płodną teorię funkcjonalnych związków elementów dzieła literackiego oraz teorię jego interpretacji. Cóż

4. Przedmowa, w: „Liryka i logika”, Warszawa 1969, str. 8, 9.

zaś mówić o bujnym rozwoju estetyki i teorii literatury w latach późniejszych — również w Polsce, w znanym dobrze Sandauerowi budynku Pałacu Staszica, w którym pracuje Instytut Badań Literackich. O tym wszystkim nasz krytyk woli nie wiedzieć. Za dużo czytania. Jego teoretyczne pomysły w dalszym ciągu reprezentują polonistykę jeśli nie od pana Zagłoby, to od śp. Jana Zygmunta Jakubowskiego.

A szkoda. Nie żebym uważał, iż obowiązkiem każdego krytyka jest gonić za nowinkami i zmieniać metodologię za każdym podmuchem nowej mody. Szkoda dlatego, że propagowana przez Sandauera „metoda wieloaspektowa” interpretacji dzieł literackich po prostu zyskałaby na sprawdzalności i subtelności, gdyby wzbogacił ją o liczne możliwości nowego (nie zawsze zresztą tak nowego) spojrzenia na literaturę. Dokonajmy pewnego pouczającego zestawienia. Janusz Sławiński opublikował kilkanaście lat temu znakomitą analizę wiersza Herberta „Tren Fortynbrasa”<sup>5</sup>, w której — w sposób właśnie „wieloaspektowy” — spojrzał na ten utwór z różnych punktów widzenia i umieścił go w rozmaitych kontekstach. Rozpatrzył więc stosunek „Trenu” do szekspirowskiego „Hamleta” i do studium Wyspiańskiego o „Hamlecie”; zbadał złożone stosunki między głosem autora a głosem jego lirycznego bohatera; zastanowił się nad problemem „dialogowości” i „monologowości” wiersza; umieścił „Tren” na tle tradycji gatunku poematu żałobnego i jego swoistej retoryki; zanalizował skomplikowaną grę form gramatycznych i opozycji znaczeniowych; doszedł wreszcie do wniosków dotyczących wielorakiej — moralistycznej, filozoficznej, politycznej — wymowy całego utworu. Cóż na to wszystko Sandauer, który swój esej o Herbercie publikuje w dobre kilka lat później<sup>6</sup>? Nie ma co nawet wspominać faktu, że ignoruje istnienie analizy Sławińskiego: nasz krytyk nigdy nie lubił powoływać się na poprzedników. Ważniejsze jest, że jego własna interpretacja sprowadza się do potraktowania „Trenu Fortynbrasa” jako prymitywnej anegdoty. „Wiersz” — czytamy — „wywołał zainteresowanie, ponieważ jest utworem politycznym: mówi o przejęciu władzy”<sup>7</sup>. Tak wygląda w praktyce Artura Sandauera „krytyka wieloaspektowa”: gdy chce on *per fas et nefas* udowodnić nicość artystyczną utworu, niktą gdzieś wszelkie „aspekty” i subtelności analizy. Cała zresztą koncepcja „krytyki wieloaspektowej” oka-

5. W: T. Kostkiewiczowa, A. Okopień-Sławińska, J. Sławiński, „Czytamy utwory współczesne. Analizy”, Warszawa 1967.

6. W *Kulturze warszawskiej*, nr 7-8, 9/1976.

7. Cytuję według przedruku w: „Poeci czterech pokoleń”, Kraków 1977, str. 340.

zuje się czasami potrzebna jedynie po to, aby w dowolny sposób łączyć fakty biografii pisarza lub domniemane właściwości jego psychiki z tymi czy innymi cechami jego dzieła: hipotezy biograficzne stają się dowodem popierającym interpretację utworu, wnioski interpretacyjne zaś „potwierdzają” w zamian domysły biograficzne; podmiot liryczny wiersza czy narrator powieści traktowani są z całą swobodą jako tuby poglądów autora lub ilustracje jego osobowych własności. Jednym słowem, cały teoretyczny sztafaż dorobku Sandauera służy w praktyce usprawiedliwieniu dowolności i niechlujności interpretacyjnych, które przyniosłyby dwójce studentowi pierwszego roku polonistyki.

2. *Uczony erudyta nie zna współczesnej literatury światowej.* W szkicu — a raczej „studium”, jak woli określać swoje prace Sandauer — „Samobójstwo Mitrydatesa” dowiadujemy się na zakończenie, że piszący pragnął w nim m.in. „zająć stanowisko wobec współczesnej problematyki literackiej”<sup>8</sup>. Szkic — wyjaśnijmy — ukazał się po raz pierwszy w roku 1967. Z lektury wynikałoby raczej, że powstał ze trzydzieści lat wcześniej: współczesność literatury zachodniej reprezentują tu Valéry, Mallarmé, Kafka, Joyce, Tomasz Mann i Pirandello. Jedynym wyjątkiem rzeczywiście współczesnym są nazwiska Robbe-Grilleta, Butora i Petera Weissa (autora sztuki „Marat-Sade”, wtedy akurat graanej w polskich teatrach).

I znowu: bez sensu byłoby żądać, aby krytyk był stale *au courant* współczesnej literatury światowej. Są krytycy i eseści lepsi od Sandauera, którzy z całą świadomością wyrzekają się modnych lektur i skupiają na odczytywaniu ciągle od nowa tego samego tuzina arcydzieł. Wolno im. Ale krytycy tacy nie piszą syntetycznych „studiów” pod zobowiązującymi tytułami, w których generalizacje walczą o lepsze z pozorami erudycji. Jeśli literatura światowa wieku dwudziestego kończy się dla nas w zasadzie na międzywojennej awangardzie, i to głównie francuskiej, znaczy to, że tak ograniczone pole widzenia wpływa deformująco na naszą wizję głównych literackich tendencji tego stulecia. Jakoż główny nurt, jaki dostrzega Sandauer w literaturze światowej (przetworzenie dziewiętnastowiecznej ironii w trzy modele poetyki: „poetykę negatywną”, „poetykę autotematyczną” i „poetykę kreacyjną”<sup>9</sup>) nic prawie nie wyjaśnia, gdy chcemy zrozumieć cokolwiek z poezji rosyjskiej od Achmatowej i Mandelsztama do Brodskiego, albo z całej potężnej dziedziny dwudziestowiecznej

8. „Samobójstwo Mitrydatesa”, Warszawa 1968, str. 188.

9. Pomijam w tej chwili fakt, że sama zasada ich podziału wydaje mi się dość wątpliwa.

poezji i prozy anglo-amerykańskiej (o której Sandauer ma pojęcie bardzo mgliste). Inaczej mówiąc, gdyby usiłować znaleźć na poparcie też autora jakieś inne przykłady z dwudziestowiecznej literatury światowej — okazałoby się rychło, że cała teza Sandauera trzyma się na tendencyjnie wąskim (historycznie, geograficznie i merytorycznie) doborze przykładów.

O dyletantyzmie Sandauera w dziedzinie współczesnej literatury światowej świadczy jednak nie tylko fakt, że pewnych utworów nasz krytyk nie czytał, ale także i to, jak interpretuje te utwory, które według wszelkich oznak jednak przynajmniej przeczytał. Szkicu „O Joysie”<sup>10</sup> (chodzi oczywiście o Joyce’a) naprawdę nie napisałby krytyk wierny ideałom profesjonalnej rzetelności, które polegają m.in. na tym, że pisząc, należy wiedzieć o czym się pisze i mieć coś od siebie do powiedzenia. Nie ma w tym szkicu — zakończonym pełnym kapłańskiego namaszczenia zdaniem: „Uważam Joyce’a za największego wirtuoza sztuki pisarskiej, jakiego zna literatura światowa...”<sup>11</sup> — ani jednego zdania własnego, poza tymi, które wynikają z ignorancji<sup>12</sup>. Już nie tylko podstawowe książki Ellmanna i Gilberta, na które Sandauer się powołuje, ale nawet wydana u nas popularyzatorska książeczka Egona Naganowskiego<sup>13</sup> (której krytyk oczywiście nie zauważył: na swoim gruncie nie może wszak mieć poproprzedników) obfitują na każdej stronie w stwierdzenia dziesięćkroć bardziej przekonujące i odkrywcz.

Brak mi kompetencji, aby wypowiadać się na temat dwu innych obszarów, którym Sandauer poświęca sporo uwagi: starożytności greckiej oraz starożytności biblijnej. Opinie znawców przedmiotu pozwalają mi jednak podejrzewać, że przynajmniej w tej ostatniej dziedzinie erudycja Sandauera miewa charakter podobnie wątpliwy. Oto, co pisze na temat jego interpretacji Biblii ks. J. Frankowski: „(...) komentarz Sandauera do tej księgi [„Księgi Początku” — przyp. St. B.] oraz jego prace mówiące o Biblii należy uznać za chybione. Jego orientacja jest z gruntu fałszywa, a wczucie się w myśl i zasadniczą problema-

10. „Matecznik literacki”, Kraków 1972.

11. *Tamże*, str. 124.

12. Np. niebywała analiza pewnego zdania z „Finnegan’s Wake”: „Nie można zrozumieć tego zdania, jeżeli nie domyślać się w nim wizji pierwszej wojny światowej, gdzie nie tylko *chcenia* (wont’s) ścierają się z *niechceniami* (wills), ale i Wilusie z Wańkami” (*tamże*, str. 12’). Jak wiadomo każdemu, kto zaliczył pierwszych pięć lekcji angielskiego, forma *I won’t* nie oznacza „chcę” (Sandauer myli ją z *I want*), lecz „nie będę”, forma *I will* nie oznacza „nie chcę”, lecz „będę”. Słowo *will* może również rozumieć rzeczownikowo, oznacza ono jednak nie „niechcenie” ale przeciwnie, „wolę”. Sandauer usiłuje nam wmówić, że z taką znajomością angielskiego przeczytał „Finnegan’s Wake” w oryginale...

13. „Telemach w labiryncie świata”, Warszawa 1962.

tykę biblijną — prawie żadne. (...) Sandauer trywializuje Biblię (...) są duże luki w jego biblijnej i religioznawczej wiedzy (...) absolutny brak słuchu religijnego”<sup>14</sup>. Chyba wystarczy.

3. *Uczony erudyta nie czytuje współczesnej literatury polskiej.* Dla osób, które wciąż jeszcze biorą Sandauera poważnie, ten zarzut będzie najbardziej niepojęty. Jak to, Sandauer, autor „Poetów czterech pokoleń”?... A jednak: gdy przyjrzeć się jego pracom na temat literatury czasów najnowszych, okaże się, że lektury naszego krytyka ograniczają się do twórczości pisarzy — niektórych — z „pokolenia 1956”, tak jakby po Grochowia-ku i Bryllu nic już się w literaturze ostatnich dekad nie wydarzyło. Głośny esej „Ewolucja polskiej poezji 1945-1968” zamyka się, jak widzimy, datą 1968, mimo że ogłoszony został w jedenaście lat później<sup>15</sup>. Ostrożność, poczucie braku odpowiedniego dystansu historycznego? A któżby mógł posądzić o ostrożność Artura Sandauera?

Sprawa jest prostsza: w latach sześćdziesiątych przestał on po prostu czytać systematycznie bieżącą literaturę współczesną. Można go zrozumieć: jest to zajęcie nużące i pracochłonne. Powtórzmy jednak po raz któryś z rzędu: nie znając przedmiotu swych badań, krytyk nie powinien kusić się o próby historyczno-literackiej syntezy (w istocie największym brakiem „Ewolucji polskiej poezji...” była, jak zgodnie podkreślali polemici, niewystarczająca i nieprzekonująca egzemplifikacja). Nie powinien wygłaszać uogólnień w rodzaju: „W literaturze ostatniego trzyczestolecia przestał — rzekłby kto — działać mechanizm prądotwórczy (...). Od lat utrzymuje się u nas — także w życiu literackim — fikcję jednomyślności, wszelkie różnice starannie kamuflując”<sup>16</sup>. Nie powinien również dokonywać pochopnych „odkryć”, których wątpliwy charakter łatwo by dostrzegł, gdyby był lepiej zorientowany w tym, co się rzeczywiście pisze i wydaje. Myślę tu o jednym zwłaszcza „odkryciu”: o niebotycznej pochwałie poezji Tadeusza Śliwiaka<sup>17</sup>, twórcy najdoskonalej trzeciorzędnej i przeciętnej, którego dorobek z niepojętych przyczyn wpadł Sandauerowi w oko w roku 1976 — dokładnie wtedy, kiedy krytyk napisał swój szkic o Zbigniewie Herbertcie, oskarżający tego ostatniego o „wtórność”. Zarzucić wtórność Herbertowi a nie dostrzec jej u Śliwiaka — to może się przydarzyć tylko komuś, kto czyta z rzadka i niechętnie, tak że przypadkowa

14. Ks. J. Frankowski, „Światło i ćma”, *Więź* nr 2/1975, str. 10, 16.

15. W *Polityce* nr 18-20/1979.

16. „Poeci czterech pokoleń”, str. 313.

17. Szkic pod pompastycznym tytułem: „Poezja tragicznego ładu. (Rzecz o Tadeuszu Śliwiaku)”. W: „Poeci czterech pokoleń”.

lektura przypadkowego autora może w nim wywołać olśnienie. Niewielka jest wartość okrzyku: — Czegoś takiego jeszcze nie czytałem! — jeśli wołający w ogóle mało czyta.

Nie będę już nawet szerzej rozwijał obserwacji, iż Sandauer we wszelkich swoich syntezach ignoruje literaturę emigracyjną: założmy, że również Wierzyńskiego, Wata i Miłosza ceni niżej od Tadeusza Śliwiaka. Trudno jednak uwierzyć, aby zawodowy krytyk nigdy nie czytał tego, co piszą inni współcześni krytycy: a przecież chyba tak jest, skoro Sandauer powołuje się na przeciwników z rzadka i wyłącznie w celach polemicznych, nigdy natomiast wtedy, kiedy powtarza sądy będące już wcześniej czytając własnością. Aby utrudnić sobie zadanie, spójrzmy na jeden z jego autentycznie interesujących i ważnych szkiców — esej o Białoszewskim pt. „Poezja rupieci”<sup>18</sup>. Prawda, że Sandauerowi należy się palma odkrywcy tej poezji: debiut Białoszewskiego w 1956 roku ukazał się z inicjatywy i w wyborze krytyka. Wspomniany szkic napisany jednak został w dziesięć lat później, w 1966 roku. Przez ten czas zaś zdążyły się już ukazać na temat Białoszewskiego odkrywcze szkice i interpretacje całej czołówki krytyki polskiej: Wyki, Błońskiego, Kwiatkowskiego, J. J. Lipskiego, Łukasiewicza, Sławińskiego... Ani śladu z tego w przypisach do „Poezji rupieci”, choć w wielu sprawach Sandauer dochodzi — powiedzmy, że samodzielnie — do podobnych wniosków. Jest za to parę cytatów z krytyki francuskiej, dotyczących — kogóż by, jeśli nie Valéry’ego i Mallarmé’go. Jest w tym szaleństwie znowu metoda — metoda sandauerizmu.

Stanisław BARAŃCZAK

(dokończenie nastąpi)

## LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en l'Île — 75004 Paris

Métro: Pont Marie.

Tél.: 326-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE  
DOTYCZĄCE POLSKI • PRZEKŁADY Z JĘZYKA  
POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

Katalogi bezpłatnie wysyłamy na każde żądanie.

## Pogadanki z historii najnowszej

Generał nasz znany jest w świecie, także między narodami żółtymi i czarnymi, które, choć takie dziwne kolory ciała mają, słusznie i postępowo myślą i dlatego są nam narodami braterskimi. Lubimy je i dary im różne posyłamy, a one nam się odwdzięczają. I tak, kiedyśmy im ostatnio cukrownię posłali i komplet urządzeń przemysłu chemicznego, oni nam przysłali małpę.

Wręczył tę małpę naszemu generałowi ich ambasador podczas uroczystego przyjęcia z telewizją. Generał małp ani lubi ani nie lubi, ale powiedział w przemówieniu, że lubi i że jest wzruszony, bo mu inaczej nie wypadało i że dziękuje w imieniu narodu, bo małpa bardzo się przyda. Trzeba zresztą przyznać że małpa dorodna była, duża i jak już o małpy chodzi, rzeczywiście udana. Trochę tylko nie było wiadomo, co z nią dalej robić.

Najprościej oddać by ją do ZOO, ku oświacie i nauce naszej młodzieży, która małpę oglądając uczyłaby się w ten sposób o dalekich krajach i horyzonty sobie poszerzała. Generał nawet był za tym, bo znany jest z troski o młodzież, tylko że małpa będąc darem od bratnich narodów, oficjalnym i na najwyższym szczeblu, nie mogła być zredukowana, to znaczy z wydziału spraw zagranicznych przeniesiona do wydziału oświaty. A poza tym małpa, zwłaszcza zagraniczna, musi jeść, a w naszym ogrodzie zoologicznym różnie z tym bywa. Dozorcy są łakomi, nie tylko zjadają ziemniaki przeznaczone dla lwów, ale zdarza się, że i samego lwa zjedzą, choć lew, zwłaszcza wychudzony, jest niepożywny i kotem śmierdzi. Tym bardziej taka nowa i jeszcze tłusta małpa długo by im się nie ostała.

Można by wprawdzie obsadzić ZOO jakąś jedną dywizją piechoty, czy dwiema, a nawet i jeszcze dywizją pancerną dla większej pewności, żeby porządku tam pilnowały i baczyły, aby małpie krzywda się nie działa, ale armia nasza, choć liczna, tyle ma zadań i tyle do obsadzenia, że nawet wzięwszy pod uwagę pomoc ze strony krajów sojusznicznych projekt ten musiałby czekać z realizacją aż do dalszego wzrostu naszych sił i dalszego umocnienia naszej obronności. I doczekałby się na pewno, bo nasze siły z całą pewnością wzrosną, ale z małpą należało coś zrobić już zaraz. Więc choć mu to było osobiście nie na rękę, bo generał nie lubi nowości, jako, że każda nowość wprowadza pewne zamieszanie, a zamieszania nasz generał po prostu nie cierpi, zdecydował generał, że póki co małpa zostanie u niego w domu, centralnie położonym, gdzie i ochrona na miejscu i jedzenie też.

Dostała małpa pokój w lewym skrzydle bunkra, czyściutki, bo u generała jest czyściutko, z łóżeczkiem, twardym wprawdzie i wąskim, ale generał to prawdziwy żołnierz i puchowych wygod u niego nie ma, z dziełami zebranymi klasyków sizmu i ninizmu na półkach, żeby czasu nie traciła, tylko się kształciła i nadal rozwijała. Portki też, bo generał jest wstydlivy i nic go tak nie razi jak imperializm i widok pewnych części ciała, nawet u małpy. Trochę było kłopotu zanim małpa nauczyła się portki wkładać i zdejmować — a zdejmować niestety musiała, bo nawet generał nie mógł doprowadzić do tego, żeby potrzeb naturalnych całkiem już nie załatwiała — tępa była i dopiero kiedy sprawdzono do niej dwóch pedagogów z wydziału specjalnego razem z przrządami naukowymi — migiem zrobiła postępy. Nawet guziki umiała zapinać, choć jej ręce trochę trzęsły.

Skądinąd jednak nadal pozostała małpą. To znaczy — w portkach czy bez wyprawiała różne harce i grymasy, usiedzieć po prostu nie mogła w jednym miejscu, co najbardziej irytowało generała, który lubił, żeby ludzie siedzieli w jednym miejscu. Bał się jednak posadzić małpę, ze względu na kłopoty międzynarodowe jakie mogłyby z tego wyniknąć. Narody, które nam małpę przysłały, mogłyby się o nią upomnieć, a że chodziło o narody bratnie, lepiej było uniknąć takiej komplikacji. Zwrócił się więc o poradę do Doradcy, czyli przedstawiciela bardzo dużego kraju, też bratniego i choć od nas niezależnego, to położonego tak blisko nas, że nawet nie trzeba od nas wychodzić żeby być u nich, ani wychodzić od nich, żeby być u nas. Ten kraj mówił generała swego, czyli naszego, jak siebie samego i dbał, żeby mu było dobrze. Zwierzył się generał Doradcy ze swojego zmartwienia, a Doradca na to:

„Najpierw poczekamy i zobaczymy. A jak już zobaczymy, to damy małpie order. Potem drugi, jeszcze większy. I trzeci, jeszcze większy od drugiego. I tak dalej. Jak już małpa dostanie ze trzydzieści, czterdzieści orderów, to się spoci, bo ordery są u nas z prawdziwego złota i ciężko je dźwigać. A jak się spoci, to się przeziębi i zacznie kichać. Jak zacznie kichać — zaprosimy ją do nas na leczenie. Bo nasze sanatoria znane są w świecie i opieka lekarska u nas jak trzeba. Nigdzie takiej nie ma, nawet u was. No i małpa będzie się leczyć, leczyć, a potem wyprawimy jej pogrzeb też pierwszorzędny. I leczenie i pogrzeb na nasz koszt i na najwyższym szczeblu, nikt złego słowa nie będzie mógł powiedzieć. Więc tylko cierpliwości, bo sposób jest wypróbowany i nie widzę tu żadnego problemu, tylko kwestię czasu, a czasu mamy pod dostatkiem.

Podziękował generał, bo grzeczny był, zwłaszcza wobec Doradcy, i odtąd lżej znosił małpie figle, mając tę pewność, że póty małpa figluje póki się jej nie usankcjonuje.

Zresztą miała małpa i swoje dobre strony, choć nie po myśli generała. Na odprawach w bunkrze generalnym było tak nudno, że niektórzy pułkownicy z cichym zadowoleniem witali rozrywkę, jakiej im bądź co bądź dostarczała małpa. Kiedy generał czytał z kartki swoje myśli, oni podnosili wzrok ku górze, żeby je tam łapać, ponieważ myśli te były podniosłe i daremnie szukać ich na ziemi, a nawet nie wypada. Wtedy widzieli małpę huśtającą się pod sufitem, uwieszoną u lampy i strojącą pocieszne miny. Jeden tylko pułkownik, nazwiskiem Kasztanek, nigdy się nie zorientował, że małpa to małpa i myślał, że chodzi o jeszcze jednego pułkownika. A że dotąd mu nieznanego, bo nie mógł sobie przypomnieć, żeby go przedtem widywał w gronie kolegów, więc umyślił sobie, że ten zawieszony u lampy to adiutant do spraw specjalnych, w cywilu, czyli raczej tajny i tym bardziej się z nim, czyli z małpą, liczył. „Co za głowa” — zwierzał się swojej żonie z podziwem. „Sam nigdy ani słowa nie powie, a tylko słucha co inni mówią. Pilnuje się, widać, prawdziwy strateg. Coś pewnie wie, bo nic nie mówi. Zobacysz, że on daleko zajdzie, daleko. Jeszcze nie wiadomo jak sprawy się ułożą, kto z kim trzyma, ani o co chodzi. Ale ja mam nosa i będę zawsze z nim trzymał, z tym u lampy. Na pewno mi się to opłaci”. Tak mówił Kasztanek do żony, a na zebraniach w sztabie generalnym uśmiechał się do małpy przymilnie, a raz nawet ośmielił się mrugnąć do niej okiem porozumiewawczo. Małpa jednak, ku jego zmartwieniu, nie zwracała na niego uwagi, bo zakochała się w jakimś kapitanie Dolińskim, z wydziału propagandy. Przesyłała mu ręką całusy i siadywała mu na kolanach, aż śmiali się z niego

koledzy. Licho wie, co widziała w tym Dolińskim, nosił okulary i uszy miał kłapciate. Może te uszy właśnie, bo one były jak u nietoperza, więc jej przypominały rodzinną dżunglę, gdzie jak wiadomo pełno wszelakiego plugastwa, w tym również nietoperzy. Ale może i o to jej chodziło, że Kasztanek był kretyn, a Doliński inteligentny.

Jak się już rzekło, generał lubił czystość, tak fizyczną jak i moralną. Rozkaz wydał, że każdy żołnierz musi myć zęby dwa razy do roku, a w karnej kompanii — trzy razy. Sam też o czystość dbał skrupulatnie. Ręce wciąż mył i przecierał je spirytusem, aż w przybocznych żal wzbierał, że tyle spirytusu się marnuje. Jeśli chodzi o ręce, rzecz łatwa do załatwienia, ale utrzymanie w czystości reszty ciała nie przychodziło mu łatwo. Bo generał bardzo nie lubił rozstawać się z mundurem, a jak tu brać prysznic w mundurze. Tak, nasz generał i mundur to jedno i to samo, jakby na świat przyszedł już umundurowany. Spał w piżamie mundurowej z dystynkcjami, a czapki generalskiej, choć sztywne, nie zdejmował nigdy. Ale do kąpieli — musiał. Zarówno względy praktyczne, jak i szacunek dla munduru go do tego zmuszały. W życiu każdego militarysty, jeżeli jest higienistą, musi pojawiać się ów przykry moment, kiedy mundur oddziela się od ciała i spoczywa na krzeselku, zaś ciało udaje się do wanny. A ponieważ mundur dla ciała militarysty jest jak dusza dla ciała każdego innego człowieka, więc ów moment jest dla militarysty momentem rozstania się ciała z duszą. Normalny człowiek umiera tylko raz, ale militarysta umiera tyle razy, ile razy idzie do kąpieli.

Zdarzyło się, że kiedy generał poszedł do kąpieli i zostawił mundur złożony w kostkę na krzeselku, podkraźła się małpa i mundur cichcem zabrała. Wychodzi generał z wanny, bez duszy, zmartwychwstać chce czyli w mundur na powrót się przyodziać, podchodzi do krzeselka, patrzy: nie ma munduru. Generał bywał w różnych bitwach i nieraz zaglądał śmierci w oczy, ale nie bał się nigdy. Strach dopadł go dopiero teraz. Wybiega generał, ale czy to generał? Ten nagi człowiek czy to jeszcze generał? Po czym niby poznać, że to generał, znaku przecież na ciele generalskiego nie ma najmniejszego — więc wybiega ten generał nie-generał z łazienki, rozgląda się — widzi małpę jak w jego mundur się przebrała. Krzyczy, biegnie do małpy, żeby jej mundur odebrać. Małpa w nogi. Wypadają na korytarz, małpa ucieka korytarzem, generał (nie-generał) za nią. Goni generał małpę po sztabie generalnym. A tu straż się pojawia.

„Łapać ją, trzymać!” — woła generał do straży rozkazująco, zapomniawszy, że jest nagi. Straż własnym oczom nie wierzy

i nie wie, co ma począć. Bo generalskość nie na generale (nie-generale) jest, ale na małpie (ale czy małpa to jeszcze małpa, kiedy mundur generalski teraz na niej?). Waha się straż, w takich pytaniach niećwiczone. Czy nagi generał to jeszcze generał? Czy małpa jako generał to jeszcze małpa? Za trudne to pytania dla tych prostych ludzi. A nawet, gdyby zamiast tych krzepkich, ale w szkołach nie bywałych pacholców straż pełnili filozofowie, nie jest też wcale pewne, że znaleźliby rozstrzygnięcie. Zwłaszcza, że mokry generał (?) leciał i krzyczał, przyrodzenie światu okazując, które choć malutkie nie mogło ujść spojrzeniu bystro-okich strzelców, sucha małpa (?) w mundurze leciała i piszcząca przeraźliwie, drzwi się coraz to nowe otwierały i tumultem zwa-bieni sztabowcy z nich wyglądali, a z wartowni tupocząc po schodach nadciągały posiłki. Słowem, zamieszanie, czyli akurat to, czego generał nie lubił najbardziej.

Lecz zdarzyło się rozstrzygnięcie. Dowódcą straży tego dnia był Kasztanek, ów pułkownik, który chwalił się przed żoną, że wie, co w trawie piszczy. Kiedy zobaczył małpę w mundurze generalskim, a pamiętamy, że Kasztanek był jedynym z pułkowników, który nigdy się nie zorientował, na skutek tępoty, że małpa to małpa — od razu uwierzył, że oto sprawdziły się jego domysły i że na stanowisku generalskim nastąpiła zmiana personalna. Wobec tego natychmiast postanowił się dostosować i służyć nowemu przywódcy. No bo jakże inaczej? Wódz to wódz, tyle, że teraz kto inny — tak się Kasztankowi wydało — był wodzem. Zasalutował więc przed małpą sprężyste, a potem odwrócił się i huknął do straży, wskazując na gołego generała: „Brać go!”

Strzelcy odetchnęli z ulgą, bo nareszcie skończyła się ich rozterka, skoczyli ochotczo do nagusa i ucałiwszy go za kark wywlekli ku temu, ku czemu wywleka się w takich wypadkach upadłych wodzów, a co w podręcznikach szkolnych nazywa się ogólnie śmietnikiem historii.

Kiedy dowiedział się o tym Doradca z państwa miłościwie nam bratującego, wpadł w gniew straszny a słuszny i natychmiast pośpieszył, aby wywleczonego uratować i do godności przywrócić. Za późno, bo tenże do nikąd już wrócić nie był w stanie, nie tylko do godności, ale nawet do przytomności. Nadgorliwy Kasztanek własnoręcznie się o to postarał. Głupi był ten pułkownik Kasztanek i nazbyt pochopny, choć chciał dobrze.

Gdy się więc okazało, że generał jest już nie do użycia, Kasztanka rozstrzelano, a nam zaczęto szukać kogoś, kto by nam generała zastąpił. Ale nie znaleziono i nic w tym dziwnego, bo

drugiego takiego jak nasz generał przed nim nie było i po nim nie będzie. Więc nic innego nie pozostało, jak tylko małą na stanowisku generała zatwierdzić. Bo przecież jakiegoś generała mieć musimy.

No i żyjemy pod nowym kierownictwem. Ale prawdę mówiąc, różnicy nie odczuwamy żadnej.

*Sławomir MROZEK*

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 340 — MACIEJ BROŃSKI

**TEKSTY I PRETEKSTY**

Zbiór esejów  
z dziedziny literatury i kultury.

Str. 272.

Cena F. 75,00.

TOM 342 — JÓZEF CZAPSKI

**TUMULT I WIDMA**

Szkice, wspomnienia, opowiadania  
Część I — Z PIERWSZYCH LAT PARYŻA.  
Część II — TUMULT I WIDMA.  
Część III — LUDZIE I KSIĄŻKI.

Str. 352.

Cena F. 85,00.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 350 — MAREK NOWAKOWSKI

**RAPORT O STANIE  
WOJENNYM**

Krótkie opowiadania ilustrujące polską rzeczywistość  
po 13 grudnia 1981.

Str. 100.

Cena F. 35,00.

TOM 349 — ZDZISŁAW NAJDER

**ILE JEST DRÓG ?**

Wybór esejów społeczno-politycznych w większości publikowanych w latach 1975-1982 pod pseudonimami: SOCJUSZ, Bronisław ŁA-SOCKI i Marian KOWALSKI: O potrzebie programu. — Polityczne działania i programy. — Dialog z Michnikiem. — Źródła i tama. — Ile jest dróg? — Teorie, wytyczne i spory. — Polskie kwadratury koła. — Gesty i praca. — Spółka Scylla i Charybda. — Teoria i polska jedyność. — Solidarność. — Myśli o programie „Solidarności”. — Rozwiązania trwałe a rozwiązania możliwe. — Autoperswazja jako reakcja na intelektualistów na przemoc. — Przy zasadach stójmy.

Str. 196.

Cena F. 60,00.

TOM 352 — KONSTANTY JELEŃSKI

**ZBIEGI OKOLICZNOŚCI**

Zbiór esejów znanego krytyka, tłumacza poezji polskiej, wybitnego znawcy problemów współczesnych.

Część I — ZBIEGI OKOLICZNOŚCI;  
Część II — O PRZECZYTANYM I PRZEŻYTYM.

Str. 424.

Cena F. 120,00.

TOM 357 — KAZIMIERZ BRANDYS

**MIESIĄCE (1980-1981)**

Tom II-gi zapisów pamiętnikarskich o charakterze osobistym na tle wydarzeń kulturalno-politycznych.

Str. 224.

Cena F. 70,00.



## Wiersze

### KOBIECY INTERNOWANE

A więc to są te przestępczynię  
 pielęgnarki prządki  
 doktorzy filologii i chemii  
 dziewczyny od teleksów i telefonów  
 niebezpieczne dla państwa wywleczone z łózek  
 w nocnych koszulach Przybite do krzyży  
 zdrewniałych kręgosłupów przywalone  
 twardym wiekiem suk Z żólcją  
 w ustach z krwią spływającą po udach  
 z wołaniem w uszach (dziecko na puszczy pokoju)  
 z sercem obsuwającym się jak góra w mroku

Nasze bliskie niezajome  
 Ewa Elżbieta Emilia  
 Bronisława Halina Helena  
 Zenobia Danuta Gabriela Maria  
 Urszula Renata Krystyna  
 Anna Rozalia Irena Barbara  
 Grażyna Jolanta Joanna  
 każde imię jak skrzydła trzepot  
 za wysoką szybą

Łkające skamieniałe  
 upokorzone zacięte śmiejące się  
 zalotne nie dostrzegające nikogo  
 wywieszające swoje wieczne pranie  
 jak sztandary twierdzy

Zapalone  
 zapalające papierosa za papierosem  
 opalające się w oknie  
 spalające się w tym wszystkim

Chodzące na przesłuchania krnąbrnie odmawiające pójścia  
 haftujące serwety w kolorowy Eden  
 zbierające adresy w książkach do nabożeństwa  
 intonujące o zmierzchu *Mury runą runą runą* i *Serce Jezusa*  
 I ta studentka rumieniąca się i blednąca  
 przez nocny konwój porwana pod topór  
 procesu i wyroku

I ta szalona

Bohaterki wielkiego głodu  
 wielkiego głosu  
 wielkiego milczenia  
 wielkiego zmęczenia  
 i naszych zakazanych spotkań  
 w pełnym blasku dnia  
 zapędzane za kratę trzaskającym słowem

Raz na miesiąc stające naprzeciw  
 zakłopotanej twarzy męża  
 i zacierających się rysów tamtego życia  
 które było ich  
 i przysyła wiadomość czy znak  
 ale odbierze go  
 rozebrany do naga  
 ta co z postaci także jest kobietą

Nie dotknęliśmy ich nigdy  
 ale kochamy je  
 dziewczęce i dojrzałe  
 urodziwe i takie sobie  
 i zagryzamy wargi  
 z bezsilności i wstydu  
 że nie potrafimy ich obronić  
 przed tym  
 co nam czasem  
 wydaje się już prawie do zniesienia

Darłówko, maj-czerwiec 1982

Jan Nepomucen RZECKI

POEMAT Z EPOKI KAMIENNEJ

1

Onego czasu, w epoce gigantycznych głazów,  
po drugim (nieudanym) potopie,  
żył sobie Kamień i Kamienica,  
bardzo starzy oboje;  
on król, posiwiwały jak popiel,  
ona babsko pomarszczone jak świat,  
a świat się dość pomarszczył  
przez tyle milionów lat.

Żyli sobie na dziobatym stropie,  
pod skałą zaśniedziałą od mchu —  
na dole mieszkał ślepy Jaszczur w norze,  
na górze w dziurawych chmurach  
zimnica.

Kamień i Kamienica,  
bardzo starzy oboje.  
Jak wieje, to od morza do morza,  
wicher popotopowy  
bruździ i łuszczy im głowy.

Jaszczur wizyt nie składa  
od kiedy przestało padać.

Kamienie nie myślą, kamienie dumają.  
Lecz o czym dumać tu na wygwizdowie?  
Kto stracił pamięć, ten tylko się dowie,  
że czas go zamotał jak pająk.

Jaszczur w porę oślepl, wizyt nie składa.

2

Przyszedł Demiurg, ten bez ogona,  
z bystrym okiem na nosie,  
oko nastawia i tak powiada:

Mam tu gdzieś spotkać tego złoba Hioba.  
Wiecie czy już się narodził?  
Jeszcze nie, no to trudno,

pocekam z tysiąc lat, nie więcej,  
choć, prawdę mówiąc, u was kamieniaków  
kamiennie nudno.

Homo Anthropos, genus gliniaków —  
gatunek cały skarłowaciały.  
Ze strachu zrobili się mali,  
do jaskiń pouciekali,  
wciąż chciwi, ale tak leniwi,  
że już nawet nie grzeszą,  
tylko krzesiwo krzeszą.  
Dotąd ani isierki.

Dałem im sztabę złota:  
oblizują,  
jak na razie głodu jeszcze nie czują.  
Atrofia genów, miernota,  
same wybierki.

Posłuchaj, królu Kamieniu,  
i ty, Kamienico,  
zaraz wam zdradzę teo-tajemnicę.  
Ten-co-Był przy stworzeniu  
ma teraz duże wątpliwości  
co do Ewolucji,  
bo co rybie do ptaka,  
a gliniakowi do zwierzaka?

Dlatego w swej szcudrośliwości  
Ten-co-Był czas mi oddał w dzierżawę  
na okres — jakby to rzec  
po kamiennemu prościej —  
no, aż do nowej Konstytucji  
po trzecim kosmicznym konklawe.

3

Kamień się zadumał,  
zadumała się Kamienica,  
bardzo starzy oboje.  
Przez dziury w niebie gwizdże swoje  
przedpotopowe nuty popotopowy wiatr:

Nie święci lepią czas.  
 Był czas, nie było nas.  
 Nie będzie nas, zostanie czas —  
 worek wieczności, który wciąż zdziera  
 Śmierć, stara zdzira —

Kamień na kamieniu,  
 na kamieniu kamień,  
 a na tym kamieniu jeszcze jeden kamień.  
 Jeśliś jest Demiurg, na chleb go zamień —

Oko Demiurga zaszło tęczą pajęczą,  
 jak klisza niewywołana cisza, na niebie  
 dziurawym od wygasłych wulkanów.

4

I stało się rano.

5

Rzekł Demiurg do Kamienia:  
 Z ciebie, staruchu, wykuję Adama,  
 bo tamten uciekł i siedzi w jamie.

A Kamienica: Co z tego dla mnie?

Tobie za sześć tysięcy lat  
 dam całe pokolenia, potomstwo z bezpłodnej niewiasty,  
 kamień na kamieniu,  
 na kamieniu kamień:  
 miasta!

I skroił Adamusa Demiurg noso-oki  
 wedle stylu epoki —  
 obciosał go z czterech stron.  
 Ani był niski, ani wysoki,  
 płuca zdrowe jak dzwon,  
 serce z granitu, bez palpacji,  
 nos jak dziób, jedno ślepie na czole,  
 na dole, zamiast tronu, zad;  
 trochę przykrótkie nogi, jeszcze krótsza pamięć,  
 gęba zamknięta, bo o czym miał gadać —  
 milczał jak kamień,  
 a może spał.

Kamienie się zwiedziały od skały do skały  
 wzdłuż oceanu,  
 że mają boga na dwóch nogach.  
 Trzeba takiemu panu  
 pokłonić się nisko,  
 zapytać o nazwisko,  
 dać mu podwójne dary,  
 bo bóg, a przy tym bardzo stary.

6

I tak onego kamiennego czasu  
 zaczęła się peregrynacja plemienna,  
 wędrówka gigantycznych głązów.  
 Głązy niby płazy czołgały się senne,  
 oczyszczane pianą oceanu  
 co wieczór i co rano,  
 aż przybyły, stanęły w kolumnach.  
 Niektóre miały płaskie grzyby-dachy,  
 niektóre napinały mięśnie  
 ze złota, miedzi, żelaza;  
 gięły się geologiczne gmachy  
 przed Adamusem, praojcem głązów.

A Demiurg noso-oki  
 kręcił tęczą z bliska i z daleka:  
 utrwał dokument epoki  
 przed narodzeniem Hioba.  
 Bo czas odpoczywa w kartotekach,  
 jak w grobach.

Tylko babę Kamienicę  
 rwały kamienne kości —  
 galopujący reumatyzm. Z zazdrości.

7

Co zrobić na to?  
 Przeniósł Demiurg babę do suchego klimatu,  
 posadził na pustyni,  
 obrobił geometrycznie,  
 chcą bogini, mają boginię.  
 I z Kamienicy wywiódł Piramidę,  
 kult kamienny i nagi.

8

I przyszły plagi.

9

Najpierw fenomenologia,  
plaga plamista,  
zaraz po niej pedantologia,  
a po biegunce pluralizmu,  
rak skóry z nomenklatury  
(Demiurg, wiadomo, nominalista),  
wreszcie świerzbiczka z wysypki izmów.

A że w Egipcie na pustyni  
dał Kamienicy kształt bogini,  
wylał się w piachu bakcyl Izydy:  
protostrukturalizm podług Piramidy.

I z tą plagową strukturą  
hieroglificznie było i ponuro.

Adamus tymczasem siedział na kamiennym zadku.  
Nic nie nazwał, nic nie wiedział,  
tylko siedział.

Kamień i Kamienica, bardzo starzy oboje,  
musieli żyć w separacji  
z geologicznych powodów.  
U kamieni, jak u bocianów,  
nie ma rozwodów.  
Na starość jednak fatalnie  
być w separacji, strukturalnie.

Wreszcie — nareszcie z wadołów, wnęk i przepaści  
wyleźli słowoburcy Ikonokłaści,  
poburzyli kamienie Abstrakcji,  
porozbijali gliniane zdania  
(bez negacji nie ma poznania),  
stał kurz, dużo smrodu —  
i wielka emigracja bocianów.

10

I znów, niestety, stało się rano.

11

Księżyc opuchł — odpływ po odpływie,  
wulkaniczne wymioty,  
wyspy łbem uderzały o wyspy,  
popłoch kamieni.

Adamus miał królewski motyw:  
czas letnią rezydencję zmienić.  
Wyrwał na wyspę mgieł  
pod mgły osłoną  
i nie utonął.

Tam go Ikonokłaści złapali,  
nochal dziób oderwali,  
i jak przystało na Kamienia,  
ukamienowali.  
Ciała dotąd nie odnaleziono.

Jego wierne kamienie  
sterczą do dziś wzdłuż Atlantyku,  
nie wiedzą po co.  
Dolmeny z dachami jak grzyby  
świecą się nocą.  
Głazy staruchy w pielgrzymim szyku  
idą i idą — na niby.

Nie święci lepią czas.  
Przeszła szarańcza,  
minęły muchy,  
po potopie mokrym  
przyszedł potop suchy.  
Kamień na kamieniu,  
na kamieniu kamień —

Jaszczur zdechł.  
Została po nim kość, na kości mech.  
I jeszcze jeden kamień.

12

Demiurg, dzierzawca czasu,  
w sam czas przypomniał sobie  
o Hiobie.

Trzeba pochodzić, bo musiał się narodzić;  
chodził więc, szukał to tu, to tam,  
wreszcie go znalazł przy studni w ogrodzie.

Przysłał mnie Ten-co-Był. Stara umowa.  
Papirus mam.

A Hiob podrapał się po wrzodzie,  
jego pierwszy hiobowy gest,  
i rzekł te słowa:  
Zacznijmy dialog. Ten co był — jest.

Jan Nepomucen RZECKI

Adam ZAGAJEWSKI

### WIERSZE O POLSCE\*

Czytam wiersze o Polsce pisane  
przez obcych poetów. Niemcy i Rosjanie  
mają nie tylko karabiny, lecz także  
atrament, pióra, trochę serca i dużo  
wyobraźni. Polska w ich wierszach  
przypomina zuchwałego jednoroźca,  
który żywi się wełną gobelinów, jest  
piękna, słaba i nierozważna. Nie wiem,  
na czym polega mechanizm złudzenia,  
ale i mnie, trzeźwego czytelnika,  
zachwyca ten baśniowy, bezbronny kraj,  
którym żywią się czarne orły, głodni  
cesarze, Trzecia Rzesza i Trzeci Rzym.

### PÓŻNY BEETHOVEN

Nie widziałem dotąd, by kto równie mocno  
ukochał cnotę, jak kocha się piękno.

(Konfucjusz)

Nikt nie wie, kim była Nieśmiertelna  
Ukochana. Poza tym wszystko jest  
jasne. Pierzaste nuty spoczywają  
spokojnie na nitkach pięciolinii  
jak jerzyki które właśnie wróciły  
znad Atlantyku. Kim musiałbym być,  
żeby móc mówić o nim, który wciąż  
jeszcze rośnie. Teraz idziemy sami,  
bez duchów i chorągwi. Niech żyje  
chaos, mówią nasze samotne usta.  
Wiemy, że ubierał się niestarannie,  
miewał ataki chciwości, nie zawsze  
był sprawiedliwy dla przyjaciół.  
Przyjaciele spóźniają się o sto  
lat, nienagannie uśmiechnięci. Kim  
była Nieśmiertelna Ukochana. Na pewno  
kochał cnotę bardziej niż piękno.  
Ale koczował w nim bezimienny bóg  
piękna i zmuszał go do poszusenstwa.  
Godzinami improwizował. Kilka minut  
z każdej improwizacji zostało utrwalonych.  
Te minuty nie należą ani do dziewiętnastego  
ani do dwudziestego wieku; jakby kwas  
solny wypalił okno w aksamicie, przez  
co otworzył się dostęp do jeszcze  
gładszego aksamitu, cienkiego jak  
pajęczyna. Jego imieniem nazywają  
statki i perfumy. Nie wiedzą, kim była  
Nieśmiertelna Ukochana, w przeciwnym  
razie jej imię zdołoby nowe miasta  
i pasztety. Żadnego pożytku. Tylko aksamit  
rosnący pod aksamitem, jak liść ukryty  
bezpiecznie w liściu, światło w cieniu.  
Niekończące się adagia. Tak oddycha  
zmęczona wolność. Biografowie  
spierają się tylko o szczegóły. Dlaczego  
tak dręczył swego bratanka, Karla. Dlaczego

\* Drukowany kiedyś w *Zapisie*.

chodził tak szybko. Czemu nie pojechał do Londynu. Poza tym wszystko jest jasne. Nie wiemy, czym jest muzyka. Kto w niej mówi. Do kogo się zwraca. Czemu milczy tak uporczywie, czemu kołuje i nawraca, zamiast udzielić prostej odpowiedzi, jak tego żąda Ewangelia. Przepowiednie nie sprawdziły się. Chińczycy nie doszli do Renu. Jeszcze raz okazało się, że świat realny nie istnieje, ku wielkiemu zadowoleniu antykwariuszy. Tajemnica była gdzie indziej, nie w żołnierskich tornistrach, tylko w paru zeszytach. Grillparzer, on, Chopin. Generałów odlewa się z ołowiu i z cyny, żeby ogień piekielny miał chwilę wytchnienia, po kilowatach słomy. Niekończące się adagia, lecz przede wszystkim radość, dzika radość kształtu, roześmiana siostra śmierci.

*Adam ZAGAJEWSKI*

## Archiwum polityczne

### Rurociąg syberyjski a przyszłość NATO

Stanowisko rządu Stanów Zjednoczonych, sprzeciwiające się budowie gazociągu z Syberii przez zachodnich aliantów, miało u swych pierwotnych źródeł stan wojenny wprowadzony w Polsce z polecenia sowieckiego Politbiura. Decyzja amerykańska, żądająca od Zachodniej Europy i Japonii, aby nie udostępniały nowych źródeł dewizowych Moskwie i nie uzależniały się od jej zasobów energetycznych, stanowiła część antysowieckich sankcji, które Waszyngton wiązał i wiąże dalej z sytuacją w Polsce. Ale w całej sprawie rurociągu z Syberii, w której rząd waszyngtoński podtrzymuje konsekwentnie swój sprzeciw, podtekst polski — oficjalna, niejako urzędowa przyczyna, uzasadniająca stanowisko Ameryki, staje się stopniowo refleksem coraz bardziej różniącym się od siebie postawy zachodnich aliantów i USA wobec Sowietów. Zdecydowane stanowisko Reagana, które wywołuje oburzenie rządów europejskich, nie wynika z miłości do Polaków, ale z uświadomienia sobie prostego faktu, że sprawa Polski i dokonywanego na niej mordu jest papierkiem lakmusowym stosunku do sowieckich planów ekspansjonistycznych. To, że Ameryka znalazła się w izolacji, czyni ją wśród Polaków i innych narodów imperium sowieckiego coraz bardziej popularną. Albowiem zachód Europy wraz z Japonią tworzy coraz bardziej zwarty front państw, stawiających interes handlowy ponad interesem politycznym — czyli mówiąc wprost — ponad własną wolnością. Ten pierwszy — to interes kupiecki, a więc zyski, zmniejszenie bezrobocia i złagodzenie kryzysu, który trapi świat. Ten drugi — to zmuszenie Sowietów do zaprzestania polityki podbojów. Czy interes kupiecki koliduje z interesem politycznym? Na krótką metę — na pewno tak. Ale w perspektywie historycznej,

w której rozstrzygną się losy świata, na pewno nie, ponieważ dominacja sowiecka w Europie Zachodniej oznacza koniec wymiany na zasadzie partnerstwa handlowego i początek wymiany kierowanej supremacją polityczną jednej ze stron. Jeśli chodzi o obecne stosunki handlowe z Moskwą, Finlandia na pewno nie jest w takim stopniu „sfinlandyzowana”, w jakim będzie Europa Zachodnia, gdy Sowiety osiągną ostateczne zwycięstwo w swojej bezkrwawej wojnie o panowanie nad Europą. Jeśli zaś chodzi o sprawę rurociągu, to nie jest to kwestia ukarania Sowieców przez odmowę finansowania jej budowy. W istocie nie ma za co ich karać. Sowiety chcą podporządkować sobie kapitalistyczny Zachód bynajmniej nie dlatego, że opanowane są orwellowską żądzą władzy, ale dlatego, że muszą. A muszą dlatego, że żadną miarą nie potrafią z nim gospodarczo konkurować.

Oczywiście w dzisiejszym świecie najprostsza droga do dominacji gospodarczej wiedzie poprzez uzyskanie politycznych wpływów (albo odwrotnie — przez gospodarczą penetrację uzyskuje się polityczną kontrolę). Ponieważ ta druga droga jest dla Sowieców zamknięta, bo same nie są w stanie związać końca z końcem, próbowały to i owo osiągnąć propagandą polityczną. W dawnych latach — które już mało kto pamięta — robili to poprzez zachwalanie nowego budowanego przez siebie świata. Ale ponieważ oblicze tworzonego przez nich porządku wylaniało się coraz wyraźniej w swej odrażającej grozie spoza kulis propagandy, próbowali innego sposobu: poprzez obrzydzanie kapitalizmu. Tu nie można powiedzieć, osiągnęli pewne sukcesy, ale głównie w Trzecim Świecie, o który im mniej chodziło. Ten pełnić miał rolę pomocniczą, by poprzez niego dostać się do przemysłowego skarbcza Europy. W rezultacie, przy bardzo mizernych owocach propagandowych jakie dało porównanie obydwu systemów: kapitalistycznego i sowieckiego, pozostała droga — jak się okazało najskuteczniejsza — militarne zastraszenie. Sowiety nie straszą Zachodu własną bombą nuklearną. Uchowaj Boże. To Zachód — a ściślej biorąc Stany Zjednoczone są tak niepocziwe, że gotowe są spalić świat, byle by pozbawić Sowiety ostatniej deski ratunku — czyli łupu w postaci zasobnej Europy Zachodniej. Czy słyszał ktoś o bardziej nieludzkim egoizmie? Tak to wygląda w interpretacji natchnionych przez Sowiety pacyfistów. Oczywiście można te sprawy widzieć inaczej. Na nieszczęście, jak uczy historia, żaden napastnik nie kwapił się do przyjęcia na siebie tej niemiłej roli. Zawsze „bronił” siebie albo występował w obronie innych. Uwzględniając te wszystkie okoliczności, celem polityki amerykańskiej w ostatnich czasach stało się stworzenie solidarnego frontu z aliantami zachodnimi przeciw Sowiecom we wszystkich indywidualnych poczynaniach. Niestety,

plany te nie dają spodziewanych wyników, a sprawa budowy syberyjskiego rurociągu jest tego wymowną ilustracją.

Restrykcje zastosowane przez Waszyngton wobec francuskiej firmy „Dresser Industries”, która stanowi jednostkę podległą macierzystej kompanii o tej samej nazwie w Ameryce, wywołały wściekły atak nie tylko neo-monarchistów zachodnioeuropejskich, ale w niemniejszym stopniu amerykańskich *mass media*. Represje wobec tej firmy w odpowiedzi na wysyłkę trzech kompresorów, stanowiących ważną część budowy rurociągu i zapowiedź analogicznych kroków wobec innej czysto francuskiej firmy Creusot-Loire, korzystającej — wbrew zobowiązaniom — z amerykańskich licencji dla budowy rurociągu, wywołały nawet troskę tutejszych pacyfistów o to czy Ameryka nie narusza, broń Boże, suwerenności Francji. Odżyły stare wyleniałe zmory, którymi straszyl przez lata Francuzów gen. de Gaulle. Ten widział groźbę wiszącą nad Francją tylko od Zachodu — po drugiej stronie oceanu. Od wschodu nie widział żadnej groźby. Może zasłaniały mu ją sowieckie czołgi, choć za jego życia nie było ich jeszcze tak wiele. Argumenty legalistyczne, dotyczące uprawnień jednego państwa wobec drugiego, dyskutowane nudno i zawile, nie mają tu oczywiście żadnego znaczenia, bo wiadomo i tak o co w całej sprawie chodzi. O słabość podtatusiałych demokracji, których zachodni strażnicy mierzą interes narodowy przyszłymi kadencjami wyborczymi, a kryteria patriotyczne identyfikują z rozluźnieniem pasa konsumentom, obietnicą zysków dla wielkiego i małego biznesu. I w tym chyba tkwi główny dylemat, a zarazem bezwład parlamentarnej demokracji kapitalistycznej. Kapitalizm zachodni — mimo wszystkich swych głębokich usterek — nie może wykorzystać swej ekonomicznej wyższości nad Sowiecami, bo sparaliżowany jest interesami z dnia na dzień. Sowiety, które wedle przyrzeczenia Chruszczowa miały pogrzebać kapitalizm, stały się jego klientem. Ale nie w charakterze grabarza, ale nabywcy jego dóbr, których same nie mogą wyprodukować. Klientem były zawsze, ale teraz stały się *przedewszystkim* klientem. W dodatku klientem bez pieniędzy, wobec tego to co kupują, trzeba sfinansować kredytami, które może sponać, a może — nie. ZSSR jest klientem Zachodu na co dzień, a adwersarzem w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości, przy czym oczywiście optymiści-hipokryci zapewniają, że nie taki diabeł straszny jak go malują i że w ogóle są to „strachy na lachy”. A ponieważ nie przysłowiove Lachy, tylko te prawdziwe odczuwają komunizm coraz boleśniej na swojej skórze i właśnie one, a raczej oni — bo chodzi tu oczywiście o Polaków — przypominają światu barykadami i trzaskiem petard o barbarzyństwie Sowieców, ich sprawa, która powinna być sprawą całego

Zachodu, staje się w pewnych sferach wysoce niepopularna. Zupewnie jak kiedyś w późnych latach trzydziestych, kiedy zamiast posłuszenie iść pod nóż nazistów, Polska wystąpiła w swej obronie i zmusiła nieszczęśliwych i zbolałych sojuszników do tego, że żadną miarą wykręcić się od wojny z nazistami nie mogli.

Polska nie jest już, niestety, żadnym przedmurzem ani chrześcijaństwa ani zachodniej cywilizacji. Jest wyspą w oceanie „przyjaciół”, a dla Sowietów bolesną zadrą, którą trzeba wyrwać z ciała Imperium. W miarę jak sytuacja w Polsce staje się coraz groźniejsza, a Polacy manifestują swoją nienawiść i wzdargę dla komunizmu, Politbiuro sowieckie zmuszone jest do stosowania coraz ryzykowniejszych i brutalniejszych metod.



Zwolennicy nieprzeszkadzania Europie Zachodniej w budowie rurociągu wysuwają obłudny argument, że cała sprawa, która wywołała ostry konflikt z zachodnimi aliantami, przyczyni się do osłabienia sojuszu NATO. Prawdopodobnie — tak. Tyle tylko, że zależność pomiędzy „rurociągowym” konfliktem a osłabieniem NATO należy odwrócić, jeśli chodzi o związek przyczynowo-skutkowy. Budowa rurociągu jest nie do pogodzenia z założeniami i obecnymi celami NATO. Jego powstanie w 1949 roku wynikało z obawy przed agresywnością Sowietów, przy niekwestionowanej wówczas przez nikogo ich słabości. Obecne plany modernizacji arsenału NATO wiążą się ze wzmożoną groźbą sowieckiego szantażu wojennego, u którego podstaw jest ich kolasalna przewaga we wszystkich rodzajach broni. Jeśli w tym stanie rzeczy państwa zachodnie dla doraźnych korzyści gospodarczych wzmacniają finansowo Sowiety, to nie może to nic innego znaczyć, jak to, że nie wierzą w zagrożenie sowieckie i NATO staje się dla nich kłopotliwym ciężarem. Napiecie, które powstało między Waszyngtonem a jego europejskimi aliantami w wyniku budowy rurociągu, jest nie tyle jego następstwem, ile symptomem i katalizatorem kryzysu NATO. Sojuszowi Północno-Atlantyckiemu grozi, jeśli nie formalne rozwiązanie — bo do tego ci nieliczni trzeźwi ludzie w Zachodniej Europie nie dopuszczą — to prawdopodobnie jego dalsze osłabienie. Nie ma już w tej chwili znaczenia czy Ameryka potrafi wymusić na pozostałych krajach europejskich odmowę współpracy w budowie rurociągu. Przykład angielskiej firmy Brown’a, która, korzystając z technologii amerykańskiej, wysłała do ZSSR trzy turbiny, dowodzi, że wszystkie zabiegi Departamentów Stanu i Handlu nie osiągnęły żadnego skutku. W Europie musi zająć coś takiego, co by zachodnich aliantów zaalarmowało na tyle, żeby zapomnieli

na chwilę o handlu i ustawicznym chwytaniu się za kieszeń, a chwycili za broń. Argument, że po drugiej stronie oceanu tzn. w Ameryce istnieje taka sama, a może w cyfrach bezwzględnych liczniejsza armia ludzi cierpiących na paraliż wyobraźni, którzy urządzają protesty antyzbrojeniowe i demonstracje pacyfistyczne, nie wzmacnia bynajmniej racji europejskich neutralistów, wierzących uparcie w uratowanie *Détente*. Głupcy nie mają racji dlatego, że jest ich dużo. Kapitulantów trzeba zwalczać po obydwu stronach oceanu. Istotne jest to, że u steru rządów w Waszyngtonie, przy wszystkich usterkach, znaleźli się wreszcie ludzie, którzy zdają się rozumieć niebezpieczeństwo sowieckie. Dowodem tego jest ich krytyczny stosunek do tych przywódców europejskich, którzy szukają współpracy ekonomicznej z Sowietami. Jeśli sprawa polska jest dla nich tylko pretekstem — tym lepiej, bo oznacza to, że widzą groźbę sowiecką w szerokim, globalnym aspekcie. Oczywiście administracja waszyngtońska nie może zmienić opinii w zaawansowanych krajach przemysłowych. Dotyczy to również opinii amerykańskiej. Jest ona w dalszym ciągu pod wpływem szczególnego rodzaju liberałów, odznaczających się pryncypialną nienawiścią do chwiejnych i przemijających dyktatur kapitalistycznych, a zagadkową słabością i tolerancją do ustrojów totalitarnej lewicy. Ale przecież wyborcy amerykańscy dali mandat Reaganowi, który swego poglądu na globalne apetyty Kremla w kampanii wyborczej nie ukrywał. To prawda, ale sympatie publiczności są kapryśne i zmienne, a niezbyt udana polityka fiskalna Prezydenta podważyła bardzo finanse kraju\*. Jednym słowem Reagan ze swym twardo antysowieckim sztabem nie może niczego zmienić wbrew opinii, której głos jest koniec końców fundamentem demokracji, nawet gdyby wypowiedziała się otwarcie za popełnieniem narodowego samobójstwa w imię ratowania pokoju. Jeśli w walce z groźbą ekspansji sowieckiej przestano by się z jej głosem liczyć, byłoby to wypędzanie diabła belzebubem. Tym niemniej opinia amerykańska, — o ile można się w niej rozeznac — jest podzielona. Neo-monachijczycy nie mają większości, natomiast faktem jest, że są lepiej zorganizowani, bardziej wymowni i niemal całkowicie opanowali TV, która liczy się bez porównania bardziej od gazet, w miarę jak Amerykanie odzwyczajają się od czytania, a w wielkich miastach zamyka się jedno pismo po drugim. Gdyby jednak nadszedł moment krytyczny i Ameryka stanęłaby w obliczu konfrontacji, owa milcząca, a w każdym razie znacznie mniej hałaśliwa od pa-

\* Nie docenia się tego, że Reagan bardzo wydatnie obniżył inflację, którą jeszcze 2 lata temu uznano za najgorszą klęskę tego kraju. Widzi się tylko spadek produkcji i wzrost bezrobocia, które wciąż jest poniżej 10 %.



cyfistów większość dałaby o sobie znać w sposób zdecydowany. Dlatego USA nie skapitulują wobec Sowietów nigdy. Natomiast grozi tu inna kapitulacja — wobec sojuszników europejskich. Tego rodzaju kapitulacja może być przedstawiona w formie następujących pytań: Jak możemy pomagać Europie Zachodniej w militarnym przygotowaniu do stawienia czoła Sowietom, skoro ona sama lekceważy własne bezpieczeństwo? Skoro nie życzy sobie — a przynajmniej okazuje coraz wyraźniejszą niechęć i opieszałość w zwiększeniu swych sił konwencjonalnych i nowocześniejszego arsenału nuklearno-taktycznego, byle by tylko nie drażnić Sowietów? Jak w takich warunkach Ameryka może utrzymać na terytorium krajów NATO (z wyjątkiem Francji) ponad 300-tysięczną armię? Skoro przy obecnej przyniatającej przewadze Sowietów armia ta zostanie w ciągu kilku dni zniszczona, to czy nie lepiej ją wycofać już teraz? Na pytania takie trudno jest odpowiedzieć, ale odpowiedzieć trzeba. I trzeba odpowiedzieć z uporem człowieka, który niebezpieczeństwo sowieckie widzi i nie da sobie wmówić, że jest ono produktem jego wyobraźni. Wbrew stanowisku wielu wpływowych polityków europejskich i nielicznych izolacjonistów amerykańskich siły USA w Europie muszą być zachowane, bo wycofanie ich byłoby największym aktem kapitulacyjnym Ameryki z przesunięciem jej granic znad Łaby nad Potomac. Lepiej, żeby wojska amerykańskie zostały zniszczone w pierwszych dniach nierównej walki niż wycofane z pola bitwy przed jej rozpoczęciem. Bo ich wycofanie oznacza kapitulację, a zniszczenie — tylko klęskę. Klęskę można przemienić w zwycięstwo. Kapitulacja jest zawsze nieodwracalna.

Ilu ludzi w zachodnim świecie gotowych jest przyjąć tę zasadę jako normę postępowania? Prawdopodobnie niezbyt wielu. Dlatego całą perswazję trzeba koncentrować w tym kierunku, by opinię Zachodu przekonać, że Europie nie grozi ani konfrontacja militarna z Sowietami, ani tym mniej klęska pod warunkiem, że zwycięży w niej duch obrony i wola walki.

Żeby jednak chcieć walczyć z komunizmem, trzeba poznać jego praktykę niszczenia człowieka. I tu tkwimy w zaklętym kole niemożności. Jak przekonać Włochów, Anglików, Francuzów, Holendrów i Belgów o smaku i skutkach trucizny, której nigdy nie próbowali? Przybysze z Europy Wschodniej, od wielkich na miarę Solżenicyna do małych i nieznanych, czynią to już od wielu lat z przerażająco nikłym skutkiem tak, że wielu spośród nas wydaje się, że mamy do czynienia z ludźmi, których mózgi są organicznie niezdolne do przyjmowania oczywistych i wielokrotnie sprawdzonych faktów. Oczywiście nie jest tak. Jest to tylko ciężki niedorozwój wyobraźni, który trzeba przełamać.

Ostatnie wydarzenia w Polsce powinny być tym pobudzającym czynnikiem.

Myślący ludzie Zachodu powinni zastanowić się jakie mechanizmy skłoniły dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy ludzi (bo prawdziwych cyfr nie znamy) do wyjścia na ulice z łomami i cegłami przeciw uzbrojonej milicji i wojsku? Jaki ładunek desperacji popchnął tych wszystkich zrodzonych, bądź wychowanych w komunizmie do tego, że nie zlekli się wielokrotnie powtarzanych zapowiedzi władz, że wszelkie wystąpienia uliczne będą zgniecione najbrutalniejszymi środkami?

Nie chodzi tu wcale o gloryfikację odwagi Polaków. Chodzi o *racje*, które skrzyżowane z odwagą zmusiły ich do wystąpienia i rzucenia wyzwania reżymowi Jaruzelskiego. Celem demonstracji nie było obalenie władzy na drodze gwałtu, bo w konfrontacji zbrojnej takie możliwości w Polsce obecnie nie istnieją. Tym, którzy wyszli na ulicę 31 sierpnia 1982 roku i w dniach następnych chodziło o zmanifestowanie, że po 38 latach nie ma absolutnie żadnej więzi łączącej naród z władzą. Że ta ostatnia jest obcym ciałem — okupantem narzuconym przez najeźdźcę.

Jeśli zachodni Europejczycy, uwiedzeni kokieteryjnymi słowami barbarzyńców na Kremlu, liczą w przyszłości na bardziej humanitarny stosunek do nich samych, to los ludów Europy Wschodniej, które tak jak i one należą do tego samego świata tradycji grecko-rzymskiej, a przede wszystkim chrześcijańskiej, winien być dla nich ostateczną przestrogą.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 3 września 1982

## Pokój, pokój über alles

Tak zwany *ruch pokoju* w Niemczech Zachodnich w pewnym stopniu przetasował wyobrażenia o Niemcach. Do niedawna regularnie wracał stereotyp Niemca, potencjalnego recydywisty hitlerowskiego, przyczajonego zaborcy. Jakkolwiek trudno sobie dziś wyobrazić funkcjonowanie jakichkolwiek ośrodków decyzji politycznych na Zachodzie bez udziału Republiki Federalnej, to jednak wciąż jeszcze widać, że przyjęcie Niemiec do najważniejszych gremiów i instytucji światowych okazało się znacznie

łatwiejsze niż przekonanie sąsiadujących i nie sąsiadujących z nimi narodów o wewnętrznej przemianie niemieckiego społeczeństwa. Militarne i budżetowo cały Zachód obecnie (i w perspektywie) zabiega o Niemców — ale prywatnie nieufność trwa.

W związku z tym podział Niemiec nie tylko nikogo nie martwi, ale jest zgodnie przez wszystkich przyjęty. Nieoficjalnie myśli się: „Siedzą cicho, bo inaczej nie mogą. Niech więc nie mogą jak najdłużej”.

Być może z upływem czasu — a ostatnio pod presją gwałtownego narastania „ruchu pokoju” — osłabł nieco ów odruch, drgnął stereotyp Niemca — wiecznego recydywisty. I chociaż naprawdę ani pierwszy nie zamarł, ani drugi nie zniknął, to jednak reakcje zewnętrzne na osobliwy zespół żądań, hasła, tendencji, działań kryjących się pod nazwą niemieckiego „ruchu pokoju” (*Friedensbewegung*) jak gdyby się rozwarstwiły i ze sobą poplątały. Straciły charakter kategoryczny, poddając się nawet od czasu do czasu jakiejś takiej racjonalizacji — by znowu powracać do dawnych podejrzeń.

Czy aby ów postulowany przez *Friedensbewegung* pokój, jest aż tak bardzo... pokojowy? Czy stary nacjonalizm niemiecki nie przystosowuje się ukradkiem do nowej epoki, przygotowując perfidną zasadzkę w postaci zjednoczenia Niemiec za cenę ich neutralności? Czy nie rośnie w ten sposób w środku kontynentu forpoczta dalszej „pokojowej” ekspansji sowieckiej? W istocie więc aż dwa widma naraz krążą dziś po Europie (i Ameryce) — widmo pacyfizmu, który mógłby rozchwiać i zwichnąć cały system zachodniej obronności oraz widmo niemieckiego neutralizmu jako pierwszego stadium sowiecko-niemieckiej hegemonii od Azji po Atlantyk.

„Ruch pokoju” nie jest — jak wiadomo — niemiecką specjalnością. Ograniczając się tylko do Europy obserwujemy jego przejawy, i to dosadne, i w innych krajach. Lecz w Niemczech ma on wagę szczególną.

Trzeba przypomnieć najkrócej kilka znanych spraw. Przewaga sowiecka, zarówno w zakresie broni konwencjonalnych, jak i w pewnych zakresach broni nuklearnych, wzrosła tak dalece, że zachwiała się koncepcja równowagi bloków, mającej wzajemnie odstraszać od ataku Rosję i Stany Zjednoczone. W latach siedemdziesiątych Związek Sowiecki powiększył wydatnie i tak już o wiele liczniejsze od zachodnich siły lądowe, rozbudował flotę wojenną, zmodernizował lotnictwo. Ponadto od lat kilku dokonuje się na terenie ZSSR z nieprzerwaną regularnością instalacja rakiet SS-20, skierowanych na Europę Zachodnią, a ilości-

wo przewyższających trzy- lub czterokrotnie obecny potencjał Zachodu w tej dziedzinie<sup>1</sup>. Dwieście rakiet tego typu mogłyby np. obrócić w proch i pył sześćset miast w Europie Zachodniej, a według obliczeń amerykańskich sowiecki stan posiadania (pominając inne systemy raketowe) sięga na terenie Europy 315 takich rakiet z 945 głowicami atomowymi. Instalacja idzie dalej — wbrew zapewnieniom Breżniewa o jej wstrzymaniu — co oznacza, że jesienią tego roku Sowiety będą dysponowały 333 rakietami SS-20 z 999 głowicami.

Wobec od lat już istniejącej groźby, państwa NATO podjęły w 1979 roku tzw. *decyzję podwójną*. Z jednej strony zwróciły się do ZSSR z propozycją, by na drodze rokowań ze Stanami Zjednoczonymi o równowagę nuklearną zredukował ilość rakiet SS-20, z drugiej zaś zapowiedziały produkcję odpowiednich systemów raketowych w USA i rozmieszczanie ich do końca 1983 roku w Europie Zachodniej, jeśli by do tego czasu rokowania pozostały bezskuteczne. Nawiasem mówiąc... jak to na Zachodzie bywa, nastąpiło już obecnie pewne opóźnienie w produkcji rakiet typu Pershing-2, co niekoniecznie wzmacnia pozycję amerykańską w genewskich rozmowach rozbrojeniowych. Rozmowy te, zmierzające w zamyśle Stanów Zjednoczonych do osiągnięcia równowagi militarnej obu bloków na możliwie najniższym poziomie, ZSSR zaakceptował, zresztą wyłącznie pod naciskiem owej *podwójnej decyzji* NATO.

Otóż właśnie „ruch pokoju” kieruje swe naciski głównie przeciw tej decyzji, a ściślej przeciw tej jej części, która w razie fiaska rokowań przewiduje instalację rakiet amerykańskich w RFN (i w kilku innych krajach europejskich). W argumentacji adresowanej do różnych kręgów ludności — a więc raz bardziej popularnej, raz bardziej specjalistycznej — prezentuje on tę decyzję jako źródło napięcia na świecie, a zwłaszcza w Europie. „Ruch” nie tylko nie przyjmuje do wiadomości orzeczeń najwybitniejszych ekspertów o przewadze sowieckiej, lecz wzywa wręcz do rezygnacji z wszelkich ekspertyz i obliczeń, gdyż i tak „wystarczy tylko jeden wybuch, by wysadzić świat w powietrze”. Odzuca więc zarówno zasadę wzajemnego odstraszenia atomowego, jak i w ogóle samą koncepcję równowagi strategicznej. Ostat-

1. Pisał o tym Brukselczyk w artykule „Wojna o pokój” w *Kulturze* (nr 12/411 — grudzień 1981). Od tego czasu wzrosła znów i nadal wzrasta ilość sowieckich rakiet SS-20. — Przy okazji: Brukselczyk zapewne zauważył, że do tytułu niniejszego artykułu zainspirował mnie tytuł artykułu Leopolda Ungera „Deutschland, Deutschland...” w *Kulturze* (nr 3/414 — marzec 1982).

nio coraz częściej lansuje ideę strefy bezatomowej w Europie, nie bacząc ani na to, że zachodnie siły konwencjonalne, pozabawione osłony atomowej, nie mogłyby sprostać przewadze sowieckiej, ani też na to, że rakiety sowieckie, nawet stacjonowane za Uralem, mogłyby trafiać w dowolne cele na terenie całej Europy. Stąd już krok zaledwie do najdziwniejszych — choć na razie sporadycznych — pomysłów, by Zachód przystał w dalszej co prawda perspektywie, na demilitaryzację obu części Niemiec i ich neutralizację, a na razie zaczął się jednostronnie rozbrajać. Skrajni rzecznicy „ruchu pokoju” bowiem nawet już nie przestrzegają symetrii w traktowaniu supermocarstw, a jeżeli — to tylko formalnie. W rzeczywistości o agresywność w zakresie strategii atomowej obwiniają Zachód, a o dążenie do władzy nad światem Amerykę.

Wynika stąd szczególna „regionalizacja” zainteresowań i uczuleń. Prawie to już banał, że Ameryka Łacińska wyzwala wśród zwolenników „ruchu pokoju” — także zresztą poza Niemcami — znacznie więcej namiętności niż Europa Wschodnia. Gdyby ktoś zabawił się w statystyka, przekonałby się łatwo, że jeśli w ogóle formuluje się tu i ówdzie — na imprezach, organizowanych przez „ruch pokoju” czy przez różne jego odgałęzienia — protest przeciw sytuacji w Polsce (oczywiście z całkowitym przemilczaniem odpowiedzialności sowieckiej), to musi towarzyszyć mu nieodmiennie symetryczny protest przeciw sytuacji w Salwadrze, czy w ogóle przeciw polityce USA w Ameryce Łacińskiej. W rezolucji, przygotowanej na demonstrację podczas pobytu Reagana w Bonn, nie zabrakło nawet oskarżenia, iż NATO wykorzystuje obrót wypadków w Polsce dla zaostrzenia napięć międzynarodowych. Wprawdzie w taktycznych łamańcach na tematy polskie prym na tutejszym terenie wodził od początku sam rząd, ale jednak trudno nie zastanawiać się nad faktem, iż ruch odmieniający we wszystkich przypadkach słowo „pokój”, tak niewiele ma do powiedzenia o jedynym bądź co bądź kraju europejskim, w którym podczas pokoju panuje prawo wojenne.

Polityków własnego rządu i własnej opozycji, czy też polityków państw sojusznicych, kreuje się wręcz na podżegaczy wojennych („Rozbrojenie w wykonaniu Schmidt - Reagan — dziekuj!” — woła jedna z przemawiających na jednym z wieców, w dwa dni po wystąpieniu prezydenta amerykańskiego z ofertą tzw. opcji zerowej, czyli właśnie rezygnacji obu stron z rakiet określonego typu). Sączy się dyskretnie nieufność do armii, obdarzając znacznie wyższą rangą moralną tych co służby wojskowej odmawiają, niż tych co ją pełnią. Przy tym żeruje się świadomie na lękach społecznych, na wyobrażeniach o katastrofie atomowej. Apokalipsa wkracza do kabaretów i teatrzyków, gdzie w modzie

bywają teksty tak „katastroficzne”, jak gdyby właśnie tej nocy z winy niemieckiej świat miał wylecieć w powietrze. „Strach, strach, strach w powietrzu” — skandowało się w takt *rocka* w piosence, specjalnie skomponowanej na Dzień Kościoła Ewangelickiego w Hamburgu. A jednocześnie o Sowietach wciąż cicho. Czyli to, o czym wolno mówić, krzyżeć, śpiewać podlega równie ścisłemu zaprogramowaniu jak to, o czym każe się milczeć.

Mniej więcej półtora roku temu kilku moich niemieckich rozmówców z bardzo różnych środowisk określało zwolenników „ruchu pokoju” jako grupy marginesowe (*Randgruppen*). Co nastąpiło jednak od tego czasu?

Kilka faktów: już wiosną zeszłego roku pod tzw. *apelem krejfeldzkim* z jednostronnym protestem przeciw zachodnim wysiłkom przywrócenia równowagi militarnej między blokami zebrano prawie milion podpisów. Dziś liczba ich sięga trzech milionów. Wspomniany wyżej zlot, zorganizowany przez Kościół ewangelicki w czerwcu 1981 roku, minął w całości pod znakiem podobnych postulatów. W październiku te same hasła zgromadziły w Bonn około 350 tysięcy demonstrantów. Demonstrowano dalej przeciw Haigowi w Berlinie, zakłócono przebieg uroczystości związanej z normalną przysięgą rekrucką, w prasie kołoińskiej ogłoszono nawet kiedyś listę osób o różnych rangach wojskowych, ostentacyjnie odsyłających legitymacje rezerwistów na znak protestu przeciwko polityce NATO. 10 czerwca, przy okazji „szczytu” NATO w Bonn i pobytu Reagana, 300 do 400 tysięcy młodych ludzi (wiek — najczęściej od 17 do 25 lat) przybyło do nadreńskiej stolicy. W Berlinie, dokąd udał się następnie Reagan, protest zakończył się zgoła nie pokojowo bójkami z policją, awanturami, wybijaniem szyb i wywracaniem samochodów<sup>2</sup>. Właściwa „ruchowi pokoju” podwójna buchalteria odzywała się też wyraźnie w wielu wystąpieniach na międzynarodowym kongresie pisarzy, obradującym w Kolonii pod wezwaniem pokoju i protestu przeciw zbrojeniom nuklearnym. Wreszcie, jeśli argumentacja ruchu wsąca się do Kościoła katolickiego od dołu i stopniowo, to Kościół ewangelicki wystąpił ostatnio z oficjalnym już uzasadnieniem teologicznym, że za pokój trzeba niekiedy zapłacić każdą cenę.

2. Jeśli „ruch pokoju” odrzuca w zasadzie akcje oparte na przemocy, to niektóre z wchodzących w jego skład ugrupowań oświadczają otwarcie, że rezygnacja z przemocy jest polityczną chimerą.

Rezerwuarem ruchu, który tak szybko przerodził się tutaj ze zjawiska marginesowego w jedno z centralnych, jest młodzież. To przede wszystkim ona spieszy na rozliczne apele, choć ośrodki dyspozycyjne mieszczą się daleko poza nią. Ruch przenika do wielkich partii i sprzymierza się z nowymi, zasilanymi z zewnątrz i od wewnątrz przez rozmaite tendencje komunistyczne ugrupowaniami *Zielonych* i *Alternatywnych* (GAL — *Grüne und Alternative Liste*). Rozpowszechnia więc utopijne pomysły jak np. zahamowanie wzrostu gospodarczego (jako wszechrecepty w walce z kryzysem), opiera się budowie siłowni atomowych, centralizuje różne protesty ekologiczne czy angażuje się w sprawy „trzeciego świata”. Ugrupowania katolickie i protestanckie, różnej proveniencji marksiści, komuniści — proowieccy i nie proowieccy — o różnym stopniu ortodoksji, anarchiści, zrzeszenia kobiece i studenckie, wraz z dobrze znanymi tymczasem opinii publicznej sztandarowymi postaciami ruchu — duchownymi, uczonymi, artystami itp. zlewają się w tłum-rezerwuara chłonny i nerwowy, podległy prawidłom psychologii zbiorowej, pobudzany własnym już napędem, emocjami, egzaltacją — i brakiem informacji.

Zwolna zaczyna zmieniać się partyjno-polityczny krajobraz Republiki Federalnej. Proces przystosowywania się do sytuacji, stworzonej przez *Friedensbewegung* ogarnął trzy główne partie (oraz ich organizacje młodzieżowe) — socjaldemokratyczną (SPD), liberalną (FDP) i chrześcijańsko-demokratyczną (CDU-CSU). Lista *Zielonych i Alternatywnych*<sup>3</sup>, jeden z ważnych czynników motorycznych „ruchu pokoju” weszła już do kilku parlamentów krajowych, a np. ostatnio w Hamburgu zdobyła 7,7% głosów, odbierając potężną ilość głosów SPD i pozbawiając ją tym samym posiadanej uprzednio większości absolutnej, której zresztą nie zdobyła CDU.

Sondaże wykazują, że w skali całego kraju ugrupowanie *Zielonych* ma szansę wyprzedzenia partii liberalnej (FDP), która, jak wiadomo, wchodzi obecnie w skład koalicji rządowej. W obliczu tak silnego nacisku nawet działacze chrześcijańskiej demokracji uznają publicznie motywacje „ruchu pokoju” za zrozumiałe, a jeden z jej czołowych polityków, Kurt Biedenkopf, oświadczył nawet, że w epoce atomowej należałoby strategię wzajemnego odstraszenia przemysłu na nowo.

Przytaczam Biedenkopfa by pokazać, jak daleko sięgają me-

3. Główne punkty deklarowanego programu: ochrona środowiska, wycofanie się RFN z podwójnej decyzji NATO, rezygnacja z energii atomowej nawet dla celów pokojowych, rezygnacja ze wzrostu gospodarczego.

chanizmy przystosowawcze. Ale podstawowym źródłem tutejszej dezorientacji jest głęboki — chyba jak dotąd najgłębszy od wojny — kryzys w SPD. Opozycja przeciw *podwójnej decyzji* NATO i mocno przy niej osadzonemu kursowi Schmidta przekształciła się w coraz bardziej ofensywną i dynamiczną siłę, która ma szerokie rzesze adeptów i swoich zapamiętałych przywódców. Proces zmierza w określonym kierunku. W stosunku do drugiego członu decyzji NATO podjęto w SPD już teraz stanowisko „rozmiękczone”: W razie nieskuteczności rokowań genewskich do roku 1983, sprawa stacjonowania rakiet amerykańskich w Niemczech nie zostanie zaakceptowana automatycznie — jak wymaga tego tekst NATO — ale będzie podlegać ponownej dyskusji.

Trudno dziś powiedzieć co z czego wynika, czy obecny wzrost „ruchu pokoju” z wewnętrznego pęknięcia socjaldemokracji niemieckiej, czy też odwrotnie. Faktem jest, że obecnie oba zjawiska nawzajem się żywią. Tzw. „integracyjny” kurs Brandta, polegający na przymykaniu oczu i pseudo-godzeniu przeciwności, uchronił wprawdzie do tej pory SPD przed rozłaniem instytucjonalnym, ale naprawdę ani nikogo nie zintegrował, ani nie zahamował odpływu młodzieży z tej partii, ani nie wstrzymał jej ogromnych strat we wpływach i w głosach — co wykazują kolejne wybory do parlamentów krajowych. Okazuje się być może błędem historycznym, że socjaldemokracja ułatwiła młodzieży ucieczkę w miraż. Że zamiast ją kokietować, nie podjęła z nią cierpliwiej i twardej dyskusji, wtedy, gdy można było jeszcze uchwycić granicę między naiwnością, dobrą wiarą, braniem marzeń za rzeczywistość — a irracjonalizmem programowym, pasowanym na cnotę i przybrany za dogmat.

◆

Czy istnieje w niemieckim „ruchu pokoju” inspiracja sowiecka względnie infiltracja komunistyczna? Obie istnieją bezspornie. Kilka ilustrujących to faktów czerpię z relacji *Frankfurter Allgemeine Zeitung*. Gazeta ta informowała w swoim czasie, iż sygnał do „apelu krefeldzkiego” dała we wrześniu 1980 roku „Niemiecka Unia Pokoju”, związana z dobrze znanym sowieckim „Komitetem Obrony Pokoju”. W dwa miesiące później włączyły się do inicjatywy inne organizacje, mające upozorować jej niezależność od jakiegokolwiek partii politycznej. W styczniu 1981 roku kierownictwo Niemieckiej Partii Komunistycznej (prosowieckiej DKP) wezwało wszystkich członków do zbierania podpisów pod apelem — samo jednak nie ujawniło się jako nadawca rozsyłanych list. Później dopiero, gdy wyraźnie już zarysował się sukces imprezy, przewodniczący DKP maszerował

na czele odpowiedniej demonstracji w otoczeniu jej uczestników spod różnych sztandarów.

Spór o „apel krefeldzki” toczył się także w czasopiśmie związkowych. Obok publikacji, traktujących go wyraźnie jako majstersztyk komunistyczny, inspirowany z Moskwy, znalazły się i takie, które aprobowały współpracę z komunistami w „istotnych sprawach” (czytaj: w akcji przeciw nuklearnemu dobrojeniu Zachodu). Według późniejszych doniesień CDU zebrała dowody, iż Partia Komunistyczna wraz z zależnymi od siebie organizacjami współdziałała również aktywnie w przygotowaniach do zeszłorocznej październikowej demonstracji w Bonn. Członkowie DKP, partii całkowicie niepopularnej (czego dowodzi mała ilość głosów w różnych wyborach do różnych ciał), manewrując najczęściej z ukrycia, wlewając się do różnych organizacji, stali się we *Friedensbewegung* jednym z najbardziej zwarłych i aktywnych ugrupowań.

Lecz mimo wszystko to nie inspiracja i nie infiltracja zadecydowały o dalszych losach nowej fali pacyfizmu niemieckiego. Jeśli przyjąć, że począł się on z zimnego rachunku, to rachunek sprawdził się z nawiązką, ba, przekroczył nadzieje, skoro ruch żyje życiem własnym. W tych warunkach rezonans społeczny mówi tu więcej niż źródła inspiracji.

W listopadzie zeszłego roku tygodnik *Der Spiegel* przedstawił i ostrożnie zanalizował wyniki sondażu, przeprowadzonego przez instytut „Emnid” na reprezentatywnej grupie 2150 osób po osiemnastym roku życia. Okazało się, iż tylko w pewnych zakresach „ruch pokoju” jest zgodny z postawowymi nastrojami społeczeństwa — natomiast w innych wyraża nurty przeciwne.

I tak, jest zgodny z powszechnymi lękami przed wyścigiem zbrojeń: 54 % ankietowanych uważa wojnę i katastrofę atomową za realne niebezpieczeństwo. Jest zgodny także ze słabym przyzwoleniem na *podwójną decyzję* NATO: jedynie 36 % aprobuje ją, 21 % wypowiada się przeciw niej, 42 % deklaruje brak poglądu lub obojętność. (Warto tu zaznaczyć, iż w innym sondażu, zorganizowanym przez instytut badania opinii publicznej w Allensbach, a przytoczonym w czerwcu tego roku przez *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, 59 % ankietowanych twierdzi, że polityka NATO przynosi jednak Niemcom korzyści).

Głęboka rozbieżność ujawnia się przede wszystkim w stosunku do ZSSR. Jeśli — jak widzieliśmy — „ruch pokoju” unika jak ognia nazywania rzeczy po imieniu to aż 73 % uczes-

ników ankiety uważa przewagę militarną za cel polityki sowieckiej.

Rozbieżność także w ocenach Stanów Zjednoczonych. Gdy „ruch pokoju” propaguje różnymi środkami antyamerykańskie nastroje, to rezultaty ankiety *Spiegla* wykazują w stosunku do USA umiarkowaną afirmację. Wprawdzie 74 % ankietowanych na pytanie, czy wzrastają w RFN nastroje antyamerykańskie, odpowiada „tak” lub „coś w tym jest”, ale równocześnie aż 80 % uważa stosunki między Republiką Federalną a Stanami Zjednoczonymi za dobre czy przynajmniej zadowalające. (Uwaga: sondaż przeprowadzono jesienią zeszłego roku, ostatnie wydarzenia osłabiły zapewne ten optymizm). 63 % osób podkreśla konieczność politycznego i militarnego sojuszu z USA, gdyż Niemcy neutralne byłyby izolowane i niezdolne do oporu wobec presji sowieckiej.

A jednak — 39 % ankietowanych przyznaje „ruchowi pokoju” rolę zasadniczo pozytywną, choć tylko 9 % (w tym najczęściej młodzież) wyraża gotowość aktywnego w nim udziału. Widzimy więc, że zakresy pojęć nie są ostro wytyczone, płynność ich występuje wyraźnie.

Przy najostrożniejszym wnioskowaniu narzuca się kilka spraw pewnych. Rezonans społeczny *Friedensbewegung* nie odwrócił sojuszków, nie obalił w narodzie niemieckim identyfikacji politycznej z Zachodem, nie rzucił Niemców w objęcia sowieckie. W ocenie ruchów tak dynamicznych należy się wystrzegać brania części za całość. Ale zarazem splot wątpliwości, dezorientacji, nerwowej niepewności co do *sposobów* utrzymania upragnionego pokoju (od 40 % do 60 % głosów co najmniej obojętnych lub wręcz sceptycznych wobec sposobów proponowanych przez NATO!) nie wtargnął nigdy jeszcze tak głęboko we wspólną i powszechną tu do niedawna koncepcję własnego bezpieczeństwa. Po to, by *dzisiaj* podważyć *consensus* na temat bezpieczeństwa wojskowego, „ruch pokoju” musiał uderzyć w niezmiernie napięte struny aktualnej wrażliwości społecznej. Jakże to są struny?

Naprzód geopolityka: położenie na styku bloków, pierwsza linia zagrożenia, bratobójcza linia frontu. *Przedmiotowość* własnej roli strategicznej, chroniona przez amerykańskie dywizje, a przede wszystkim przez amerykański parasol atomowy, spychała przez długi czas na skraj wyobraźni tamte zmory i lęki. Kiedy jednak w nowych warunkach trzeba parasol atomowy podprzeć, przystając na nowe rakiety i kiedy równocześnie pokojowemu nawet stosowaniu energii atomowej towarzyszy na co

dzień umiejętnie manipulowane przerażenie — geopolityczne zmyry wypęły z ukrycia. Ażeby je odpierać, trzeba wyskoczyć z osłanianej, zwalnającej od własnych koncepcji i wysiłków roli przedmiotowej. A na to brak ochoty.

Poczucia owej wygodnej niemieckiej przedmiotowości, które z biegiem dziesięcioleci weszło w przyzwyczajenie, by nie powiedzieć w krew, strzegł troskliwie niemiecki wariant *détente* w postaci *Ostpolitik*. Któż zaprzeczy, że przysparzał on tutaj ogromnych korzyści gospodarczych w handlu ze Wschodem, że w dalszym ciągu konsolidował wieloletnią stabilizację społeczną, jakiej nie dane było zaznać w tej skali żadnemu z wielkich krajów europejskich, że zwielokrotnił, wbrew zygzakom i cofnięciom, kontakty między mieszkańcami obu państw niemieckich, że zabezpieczył pozycję Berlina. Co więcej, stworzył nawet na gruncie tych faktów dość swoistą mini-ideologię: Za dobre zalecano uznawać to, co *détente* służyło, za złe to co jej przeszkadzało.

Dobrobyt materialny niepośledniej miary został więc dodatkowo okraszony moralno-psychicznym komfortem. Zakotwiczo- no się tu z przekonaniem w owej niemieckiej tymczasowości, skodyfikowanej, utrwalonej, odgradzonej na zewnątrz oraz znakomicie urządzonej wewnątrz. Nawet wola zjednoczenia, gdzieś tam zakodowana w Konstytucji — państwowa asekuracja moralna od codziennego niepamiętania o podziale własnego kraju — uległa uczuciowemu zamagazynowaniu<sup>4</sup>. Gdy mowa o jedności Niemiec, politycy czy publicyści, w braku wizji konkretnej, skwapliwie przytaczają argument, iż nikt z sąsiadów jej nie chce. Ta rana dziś nie krwawi. Nacjonalistycznie-zaborczą netralność można by więc spokojnie zlekceważyć gdyby nie odruch alarmowy: nacjonalizmy drzemią w *każdym* narodzie, nie wiadomo co, gdzie i kiedy może je rozniecić.

Ale tylko tyle, ani mniej ani więcej. Nacjonalizm niemiecki przybrał cechy nacjonalizmu *każdego*. Zapewne, konserwują go nadal najstarsze grupy pokoleniowe, które po klęsce hitleryzmu nigdy wewnątrznie nie abdykowały. Prawda, koncentruje się on na społecznych i politycznych peryferiach, miesza w kotle „ziomkowskich” nostalgii, odczynia swoje para-hitlerowskie czary w demonstracjach, a nawet w zorganizowanych grupach, czy wreszcie wyładowuje się bardziej już „współcześnie” (ostatnio zresztą częściej i brutalniej niż dotychczas) w awanturach i ekscesach przeciw cudzoziemskim robotnikom. Ale przestał istnieć jako siła społeczna, sterowana przez ogólnie przyjętą ideologię ekspansji

4. Różne badania i sondaże wykazują mglistość kryteriów, związanych z pojęciem patriotyzmu.

i kształtująca wyobrażenia o losie narodowym. A zatem *Wunschtraum*'y o neutralności to żadne sny o potędze, raczej senne rojenia o świętym spokoju we własnym, miękkim gnieździe. Kolejne rzuty ekspansji sowieckiej, nuklearne zagrożenie Hamburga czy Kolonii, a więc cała nowa sytuacja, wymagająca od Zachodu nowej strategii nacisku politycznego na Sowiety po to, by wojnie zapobiec — zastała wcale niewąskie kręgi niemieckiego społeczeństwa psychicznie rozbrojone, pozbawione refleksu na zmianę epoki, zapatrzone uparcie w dzień wczorajszy, kiedy to panowała powszechna zasada zamykania się przed niepokojami z zewnątrz, niepamiętania, niebania się...

Koniec określonej epoki politycznej zbiegł się z recesją gospodarczą. Najbogatsze Niemcy są wciąż jeszcze bogatsze od innych, ale biedniejsze niż wczoraj. Gołym okiem dotąd tego nie widać. Mają imponujący przemysł, piękne miasta, wystawy pękające od towarów, sklepy pękające od klientów. Ale mają także własną inflację (przy czym zindeksowane dodatki do płac, rent czy zasiłków niekoniecznie wyrównują wzrost cen), własne bezrobocie (blisko 2 miliony), własną spiralę wewnętrzznego zadłużenia (która omal nie rozbiła, i kto wie czy w końcu nie rozbije, koalicji rządowej), własne przymusy w redukowaniu — po raz pierwszy od dawna — pewnych pozycji opieki społecznej. Z różnych stron zatem wskazuje się palcem na budżety wojskowe. Proste rachunki tam każą szukać zarówno win, jak i rezerw.

I tutaj wchodzi na plan młodzież, adresat, główny rezerwuar — co już podkreślałam — a zarazem główny protagonista „ruchu pokoju”. Dorastająca w atmosferze „cudu gospodarczego” i w przeświadczeniu, że tak będzie zawsze, dysponująca jeszcze niedawno nadmiarem wszystkiego i we wszystkim wyręczana, musi nagle przebijać się własnymi siłami walcząc o możliwości szkolenia zawodowego, o dostęp na uniwersytety, o stypendia, o bezpośrednie czy późniejsze miejsca pracy. W odpowiedzi — tysiące reakcji, znanych zresztą z innych krajów, od stopniowego wrastania w odmienne warunki aż po wędrówki ku najróżniejszym marginesom społecznym. Ale oto odrywając się od dominujących liczebnie milionów, pogodzonych czy też zrezygnowanych, pewne odłamy młodych występują przeciw wszystkiemu co ich otacza. Przeciw cywilizacji przemysłowej w ogóle i Ameryce, jako jej odmianie wzorcowej, przeciw własnemu krajowi, który nie spełnił obietnic, przeciw społecznym ugrupowaniom czy państwowym organom i instytucjom, które zdradziły młodzież. Wśród „wielkiej frustracji” (*der grosse Frust*) następują programowe „wypisywanie się” z wszelkich w ogóle struktur... Porzucamy je bez wahań, podważamy bez skrępowań — zanim

zbudujemy kiedyś własne szlachetne, ewangeliczne, a przede wszystkim wolne od czołgów, rakiet, służby wojskowej i strachu...

Okres powojenny w Niemczech zerwał wszelkie porozumienia międzypokoleniowe. Zbyt łatwo zrzuca się odpowiedzialność za słabą wiedzę i dezorientację młodzieży niemieckiej na niedostatki szkolnej historii. Nigdzie bowiem na świecie najdoskonalsza nawet dydaktyka nie zastąpi codziennej, intymnej, domowej rozmowy pokoleń. Wiadomo, że w wielu krajach Zachodu i Wschodu ten naturalny krwiobieg podlega dziś drastycznym zakłóceniom. Jednak jakoś — z przeszkodami — funkcjonuje. W Niemczech powojennych rozmowy pokoleń nie było wcale. Dziadkowie o swej hitlerowskiej przeszłości milczeli, szukając zapomnienia lub usprawiedliwienia w uprzątywaniu ruin, rodzice — dziś czterdziesto-, pięćdziesięcioletni — zaabsorbowani po uszy budową „cudu gospodarczego” wzdragali się i wzdragają do tej pory przed dezawuowaniem dziadków w oczach wnuków. Jeśli nawet telewizyjny „Holocaust” z całą warstwą kiczu i uproszczeń spadł na tutejszą młodzież jak grom z jasnego nieba, jeśli prasę, radio, telewizję zalewały listy i telefony od zrozpaczonych, przerażonych dziadków i rodziców („Napiszcie, wytłumaczcie, że służba w wojsku nie była tym samym, co służba w SS — inaczej nastąpi w mojej rodzinie katastrofa!”) — to jedynie właśnie brak wewnątrzrodzinnej rozprawy z hitleryzmem tłumaczyć może ów szok, tym gwałtowniejszy, że o dobrych trzydzieści lat spóźniony.

Młodzież zatem — przez dziesięciolecia zniechęcana do stawiania pytań, odsyłana co najwyżej pod wygodniejsze adresy, do szkoły, do ksiązek czy gazet — nie pyta już, oraz nie wierzy totalnie: ani w użyteczność tego, czego pokolenia poprzednie dokonały już po wojnie, ani w ich ocenę spraw dzisiejszych. Ani w ich zdolność, ani w rzetelność. Ani w to, że pokolenie jej rodziców uczyniło bądź co bądź (oczywiście przy pomocy z zewnątrz) trzecią wojnę mniej prawdopodobną, ani w to, że pokoju chce ono naprawdę.

W pustce, wśród zapiekłego milczenia pokoleń, nowa skala wartości, proponowana mimo wszystko od razu po wojnie przez szkoły, uczelnie czy prasę, musiała pozostawać długi papierowym zbiorem maksym i tylko formalnie wyuczonych nakazów. Ponieważ nie zasiłały jej prawie żadne przykłady konkretne, funkcjonowała na zasadzie prymitywnego odwracania ocen.

Dzisiejszy „ruch pokoju” w Niemczech przejmując, jak sądzę, i przedłużając tamten, przed dziesiątkami lat nakręcony mechanizm „od ściany do ściany”: jeśli wojna była złem — to dobrem jest każdy pokój, bez względu na to, czy towarzyszy mu, czy też nie towarzyszy, własna wolność. Jeśli zbrojenia zawsze prowa-

dziły do wybuchów wojennych — to i doktrynę „odstraszenia atomowego” trzeba bez wahania wyrzucić na śmietnik. Jeśli w przeszłości hitlerowskiej i jeszcze starszej cel koszarowej edukacji i domowego drylu stanowiła gotowość wojenna na każde zawołanie — to obecnie zawrotnie rośnie w cenie rezygnacja z obrony. Tworzą się kodeksy tyleż absurdalne co absolutne, wynoszące strach niemal do rangi cnoty, gdy równocześnie cechy takie, jak honor, patriotyzm i odwaga wędrują do lamusa przyżytków. Można chyba uogólnić: tej młodzieży, która nigdy nie zaznała dyktatury, a demokratycznego abecadła wyuczyła się tylko mechanicznie, brak przekonania, że demokracji i wolności w ogóle warto bronić.

W rozmowach, jakie prowadzę o Niemcach i o Niemczech — pisałam o tym przed laty w *Kulturze* — staram się zawsze uwiarygodnić, jak umiem, tutejsze przekształcenia. Wbrew przeszkodom i złym tradycjom mamy dziś do czynienia ze społeczeństwem przeoranym przynajmniej na tyle, że recydywa totalitarna nie grozi. A jeśli można się tu niekiedy doszukać jakichś dalekich śladów totalitarnej przeszłości, to sądzę że wydobywa je na powierzchnię ów taniec odwróconych wartości.

Nie pamiętam już kto to powiedział, że kiedy Niemcy zaczynają wierzyć w abstrakcję, dogmaty i absoluty, kiedy odzywają się tu tęsknoty do urządzania ziemi „na nowo” — wtedy należy uważać. Nie to jest ważne, ile tysięcy zwolenników liczy dziś „ruch pokoju” i ile będzie liczył jutro. Ważne jest to, że ten ruch głębokiej, zaprogramowanej kapitulacji psychicznej, moralnej i politycznej wczepia się w podstawowe struktury społeczne.

Któż w Europie i poza nią nie marzył o pokojowym nawróceniu Niemiec? Gdy wreszcie na skutek przeobrażeń powojennych to nawrócenie się dokonało — „ruch pokoju” wyłowił zeń elementy skrajne, graniczące z rezygnacją, aby następnie puścić w obieg jego wersję skrzywioną, skażoną abstrakcją i całkowicie oderwaną od rzeczywistości.

Kamila CHYLIŃSKA

22 sierpnia 1982 r.

## Marsz pokoju Sztokholm-Mińsk

Trzysta osób z czterech krajów skandynawskich, w większości kobiety i garść mężczyzn, odbyło tzw. Marsz Pokoju '82

pod hasłem „Precz z bronią atomową na Wschodzie i na Zachodzie”. Rozpoczął się on szarpaniną z 20-toma polskimi demonstrantami w Sztokholmie 14 lipca, a zakończył 28 lipca w Mińsku rozłamem wśród uczestniczek z powodu kontrowersji wokół Katalynia.

Latem 1981 roku z inicjatywy Skandynawskiego Komitetu Kobiet na Rzecz Pokoju kilka tysięcy osób z Norwegii, Danii i Szwecji wraz z przedstawicielami innych krajów, dołączającymi się na trasie pochodu, przemaszerowało z Kopenhagi do Paryża.

Impreza ta, bardzo szeroko komentowana w prasie i telewizji krajów skandynawskich i wykorzystywana ooczco w propagandzie krajów socjalistycznych, spotkała się z obojętnym, czy nawet chłodnym przyjęciem w krajach przez które wiodła trasa marszu — Niemczech i Francji. Inicjatorce spotkały się z ostrą krytyką również ze strony znacznej części opinii w samej Skandynawii. Najczęściej powtarzały się zarzuty, że grzeszą naiwnością, że są jednostronne, że głoszą nierealny pacyfizm, że — chcą tego czy nie, że ich demonstracje służą interesom jednej strony, tzn. ZSSR, pojawiały się nawet zarzuty, że są manipulowane i sterowane przez ambasady sowieckie. Argumentowano, że ich działalność możliwa jest jedynie w demokratycznych krajach Zachodu, stawiano retoryczne pytanie dlaczego nie idą do Moskwy. Odpowiedź, zdawało się, dla wszystkich była oczywista: takie demonstracje są nawet nie do pomyślenia w ZSSR.

Abstrahując jednak od krytyki i odparzeń nóg, główny cel organizatorek — pobudzenie opinii publicznej — powiódł się ponad wszelkie oczekiwania. W ślad za marszem kobiet skandynawskich ruszyły wielkie demonstracje pokojowe we wszystkich niemal stolicach europejskich, zwieńczone gigantyczną demonstracją w Nowym Jorku w czerwcu tego roku.

A krytykom kobiety postanowiły wytrącić główną broń z ręki prostym posunięciem: w przyszłym roku urządzimy marsz do Moskwy! Nawiązały kontakt z sowieckim Komitetem Pokoju i rozpoczęły się rozmowy. Z góry przyjęły założenie, że marsz taki możliwy jest jedynie jako impreza oficjalna, za zgodą i przy współpracy sowieckich czynników oficjalnych, a więc w praktyce na ich warunkach. Tym niemniej jednak, rozumowały, byłby to pierwszy wypadek, kiedy grupie zachodnich indywidualistów pozwolono by demonstrować na terenie ZSSR przeciw zbrojeniom na Zachodzie i na Wschodzie. Ku dość powszechnemu zdziwieniu Rosjanie, dostrzegając w tym znaczne korzyści propagandowe dla siebie, odnieśli się do całej sprawy przychylnie. Po długich rokowaniach zawarto umowę, według której — na żądanie strony sowieckiej — zakończenie marszu wyznaczono w Mińsku, a nie w Moskwie (żeby nie wyglądało, że marsz kieruje się przeciwko władzom sowieckim), ilość uczestników ograniczono do trzystu osób, z góry wybranych i zatwierdzonych (z powodu — jak twierdzono — braku możliwości zakwaterowania większej ilości), trasę Sztokholm - Helsinki - Leningrad - Ka-

linin - Moskwa - Smoleńsk - Mińsk uczestniczki miały pokonać pociągiem i autokarami, z wyjątkiem symbolicznych przemarszów na krótkich odcinkach w samych miastach (ponieważ, zdaniem troskliwych gospodarzy, przestrzenie w ZSSR są za wielkie, by je pokonywać piechotą). Program imprez na poszczególnych etapach został z góry uzgodniony przez obie strony. Wykluczał on jakiegokolwiek nieusankcjonowane spotkania, przewidywał natomiast wiele czasu na atrakcje turystyczno-krajoznawcze oraz obowiązkowe odwiedziny miejsc pamięci zbrodni hitlerowskich na każdym etapie, obok zepchniętego na drugi plan głównego zadania całej imprezy, tzn. publicznego manifestowania sprzeciwu wobec broni atomowej na Zachodzie i Wschodzie podczas spontanicznych kontaktów z ludnością w czasie przemarszów i spotkań w fabrykach i szkołach. W zamian za te wszystkie ustępstwa strona skandynawska była dumna z przeformułowania swojego naczelnego hasła: „Precz z bronią atomową na Zachodzie i na Wschodzie”. Ponadto postanowiono ściśle przestrzegać zasady, że niesione transparenty i przemówienia wygłaszane na masówkach nie będą się zwracały przeciwko żadnemu mocarstwu, ani przeciwko jakemukolwiek innemu państwu. Oznaczało to, że uczestniczki marszu nie będą wspominać o Afganistanie ani o Polsce, ale z drugiej strony miało też oznaczać, że współorganizatorzy sowieccy zobowiązują się nie wykorzystywać marszu w swej propagandzie antyamerykańskiej.

Zanim jeszcze marsz wyruszył ze Sztokholmu do Helsinek doszło do pierwszych zgrzytów, których później było całe pasmo aż do końca marszu. W czasie uroczystości pożegnalnych w jednym z parków, z udziałem reprezentantów sowieckiego komitetu pokoju i organizacji kobiecych, które zjechały do Sztokholmu, demonstrowała grupa ok. 20-tu Polaków, żądając od uczestniczek marszu podjęcia sprawy przywrócenia pokoju w Polsce. Polscy demonstranci poproszeni zostali o opuszczenie zgromadzenia. Kiedy jednak jeden z nich dalej krzyczał przez tubę, doszło do niewielkiej, ale zauważonej przez prasę przepychanki i tubę mu odebrano. Jedną z inicjatorek marszu, Norweżka Eva Nordlund, w związku z usunięciem Polaków z miejsca uroczystości wyjaśniła prasie, że istnieje umowa ze Związkiem Sowieckim o przeprowadzeniu marszu pokojowego a nie demonstracji przeciwko rządowi ZSSR, i że strona skandynawska zamierza ściśle trzymać się umowy. Szwedka Inga-Brita Melin dodała, że rzeczywiście jest coś w krytyce, że w rozmowach z Rosjanami nie podejmują sprawy Afganistanu i Polski. „Ale dla nas sprawy te nie są najważniejsze. Ryzyko wojny nuklearnej jest absolutnie najważniejszym problemem w tej chwili”.

Do ostatniej chwili kilka uczestniczek nie otrzymało wiz do ZSSR. Na 10 minut przed odejściem pociągu z Helsinek większość z nich wizy w końcu dostała, w tym dwie członkinie *Amnesty International*. Na peronie została tylko była korespondentka w Moskwie największego dziennika szwedzkiego *Dagens Nyheter*, Disa Hastad, mimo, że była na wcześniej zatwierdzonej



liście uczestniczek. Zanim pociąg przekroczył granicę fińsko-sowiecką, jedna z uczestniczek zdecydowała się wysiąść, solidaryzując się w ten sposób z Disą Hastad.

Reszta zaś troszkę uszczuplonej wycieczki wkrótce potem witala była w mieście Wyborg, przed wojną fińskim, obecnie po sowieckiej stronie granicy, szeroko otwartymi ramionami tłumnego komitetu powitalnego. Na plakatach i transparentach witających były liczne hasła i rysunki antyamerykańskie, karykatury Reagana siedzącego okrakiem na rakiemie atomowej itp. Większość rekwizytów nosiła wyraźne piętno masowej produkcji i ślady wielokrotnego używania. Po protestach strony skandynawskiej i wyjaśnieniach strony sowieckiej, że antyamerykańskie hasła były pomyłką „zbyt gorliwych działaczy lokalnych”, usunięto je z pociągu zanim dotarł on do Leningradu, co jednak nie przeszkodziło, że właśnie te transparenty było najlepiej widać w telewizji sowieckiej. W Leningradzie zdanie o 20 milionach ofiar Wielkiej Wojny Ojczyźnianej powtarzało się w każdym niemal przemówieniu gospodarzy. Stosunkowo krótkie przemówienia gości były natomiast stale przedmiotem manipulacji tłumaczy. Szwedzkie: „Jesteśmy przeciwko zbrojeniom” stawało się „Jesteśmy przeciwko amerykańskim zbrojeniom” w rosyjskim tłumaczeniu. „Zwykli ludzie na Zachodzie są zmęczeni brakiem działań polityków, by zahamować wyścig zbrojeń” następnego dnia w *Prawdzie* ukazało się w wersji: „Zwykli ludzie na Zachodzie zmęczeni są brakiem działań swoich rządów, by zahamować wyścig zbrojeń”. Gdy ten, któremu przypisano te słowa, zaczął się awanturować by umieszczono sprostowanie w *Prawdzie*, powiedziano mu, że gazeta ta w całej swej historii nie zamieściła ani jednego sprostowania.

W Moskwie znowu pojawiły się hasła wbrew umowie. Młodzież komsomolska przyszła na jeden z wieców z plakatami, na których wypisane było równymi, drukowanymi literami m.in.: „Precz ze zbrodniczymi planami amerykańskimi”, „Marsz Pokoju — listem protestacyjnym do NATO” itp. W czasie późniejszej dyskusji z uczestnikami marszu komsomolcy najbardziej byli zainteresowani tym, jak ludzie żyją na Zachodzie, ile zarabiają, co robią ich rówieśnicy, jak wygląda szkoła itd. Gdy dyskusja została wreszcie skierowana na sprawy rozbrojeniowe, skandynawskie kobiety pytały ich, dlaczego ZSSR ma rakiety wycelowane na miasta skandynawskie. „Nic nam o tym nie wiadomo” — brzmiała odpowiedź, „ZSSR nigdy nie użyje broni atomowej przeciwko wam. Nasze bomby atomowe bronią wolności, również waszej”.

Prasa szwedzka odnotowywała też wszystkie momenty pozytywne. Jak donosił *Dagens Nyheter*, w Leningradzie po raz pierwszy w historii zachodni demonstranci mieli możliwość rozdawania robotnikom sowieckim ulotek, wzywających do rozbrojenia również na Wschodzie. Uczestniczki marszu odwiedziły w Leningradzie 10 fabryk, mogąc — jak zapewniają korespondenci — swobodnie poruszać się po halach, rozdając ulotki i rozma-

wiając z robotnikami. Akcję ulotkową kontynuowano na ulicach miast, w tym na placu Czerwonym w Moskwie. Po raz pierwszy nie doprowadziło to do natychmiastowej interwencji organów porządkowych, choć *post factum* gospodarze zgłosili skargę, że „niektóre uczestniczki marszu odłączyły się od 'wycieczki' i poszły rozdawać ulotki na Placu Czerwonym zamiast w tym czasie razem ze wszystkimi zwiedzać Kreml”.

Konserwatywna gazeta *Svenska Dagbladet* zwróciła uwagę na niezwykłość spotkania „ludzi sowieckich” z trzystoma skandynawskimi indywidualistami wszelkich odcieni politycznych, od ortodoksyjnych promoskiewskich komunistów poprzez „zielonych”, którzy najchętniej sypiają w śpiworach w parku, po ordonniczki pokoju z inspiracji religijnej. Widok kobiet maszerujących w *t-shirts* i długich spódnicach jasnofioletowego koloru, obficie ozdobionych symbolami pokojowymi, feministycznymi i antyatomowymi, i niosących plakaty nie zrobione według wzorów z *Podręcznika Agitatora* był dla moskwičan zjawiskiem niezwykłym i robił na nich wyraźne widoczne wrażenie.

Największe zainteresowanie prasy zachodniej na moskiewskim etapie marszu wywołało jednak przewencyjne aresztowanie członków jedynej niezależnej grupy pokojowej. Grupa ta, o nazwie „Komitet na rzecz budowy zaufania między ZSSR a USA”, zawiązała się w początkach czerwca w Moskwie i liczyła 15 członków, głównie ze środowisk naukowych. Ok. 200 dalszych osób podpisało później ich apel. Program komitetu jest niemal identyczny z tym co głoszą uczestniczki marszu. Dwóch członków Komitetu, profesorowie Jurij Miedwiedkow i Jurij Chronopolu, zostało aresztowanych już na parę dni przed przybyciem marszu do Moskwy pod zarzutem „chuligaństwa” i „niedozwolonego wykorzystywania rzeczywistych lub urojonych praw”. Wobec czego zamknięto ich na 15 dni w izbie wytrzeźwień. W ciągu następnych dni aresztowano jeszcze kilku członków Komitetu, a innym po różnych pretekstach nakazano wyjechać z Moskwy na jakiś czas. Odcięto też na wszelki wypadek telefony w ich mieszkaniach, przeprowadzono rewizje i ustawiono funkcjonariuszy KGB przed bramami ich domów. Żona Miedwiedkowa, rozmawiając z dziennikarzami zachodnimi, apelowała do uczestników marszu o nawiązanie z nimi kontaktu. „Chcieliśmy przyłączyć się do marszu, ale (dodała) jest to niemożliwe ze względu na aresztowania i ciągły nadzór KGB nad nami. Chcemy przedyskutować problem jak zwiększyć wzajemne zaufanie między ZSSR a krajami skandynawskimi. Mamy też nadzieję, że uczestnicy marszu zaangażują się na rzecz uwolnienia naszych uwięzionych członków”.

Odpowiedź rzeczniczki marszu Evy Nordland brzmiała: „Bez zgody kierownictwa sowieckiego komitetu pokoju nie możemy nawiązać z nimi kontaktu. Wiemy, że dysydenci z Komitetu na rzecz budowy zaufania między ZSSR a USA traktowani są przez władze jak prowokatorzy i dlatego nie pozwala się im spotkać z nami. Sprawa dla której maszerujemy jest jednak

ważniejsza niż cokolwiek innego na świecie. Apel dysydentów sowieckich jest istotny i ciekawy. Przekażemy go dalej. Nie chcemy pod żadnym pozorem łamać umowy z Sowietami Komitetem Pokoju. Współpraca ta jest niesłychanie ważna, musimy ją chronić i dlatego nie możemy podejmować jakichkolwiek kroków bez uzgodnienia z naszymi sowieckimi partnerami. Kiedy odbędziemy nasz marsz, umocni to organizacyjnie działaczy pokojowych tu w ZSSR. Gdyby nasz marsz się załamał, ich organizacje staną się słabsze i górę wezmą jastrzębie”.

W 1969 roku we wsi Chatyń pod Mińskiem (w transkrypcji angielskiej: Khatyn) zbudowano dla odwrócenia uwagi od miejscowości Katyń pod Smoleńskiem wielkie mauzoleum ku czci mieszkańców tej wsi, wymordowanych przez hitlerowców. Tam właśnie, a nie w Mińsku, jak było postanowione, przygotowano wielkie zgromadzenie na zakończenie marszu. Uczestniczki marszu zostały powiadomione o tej imprezie dopiero w chwili wyjazdu z Moskwy do Mińska. Okazało się, że Rosjanie wspominali o Chatyniu we wstępnych rozmowach z grupką organizatorek. Skandynawki jednak odrzuciły z miejsca ten pomysł, właśnie ze względu na chęć uniknięcia publicznej dyskusji na temat Chatynia-Katynia, nie związanej z celami marszu. Przekonane, że sprawa jest nieaktualna, nie powiadomiły nawet całej grupy o tej rozmowie. Teraz, kiedy Rosjanie postawili je wobec faktu dokonanego, powstało wielkie oburzenie, z jednej strony na Rosjan za kolejne jaskrawe łamanie umowy, z drugiej zaś na przedstawicielki, które ustalając warunki marszu nie poinformowały reszty o projektach chatyńskich.

W drodze do Mińska Rosjanie mocno naciskali: dawali do zrozumienia, że bardzo im zależy na imprezie chatyńskiej, że poczyniono duże przygotowania, i przede wszystkim że mieszkańcy Chatynia czuliby się bardzo dotknięci, gdyby kobiety skandynawskie odmówiły przyjechania do nich, okazując w ten sposób lekceważenie dla ich tragedii. Inga-Brita Melin mówiła później:

„Moja pierwsza reakcja na argumenty Rosjan była taka sama, jak większości uczestniczek: jeśli ma to tak duże znaczenie dla miejscowej ludności, to dlaczego miałybyśmy tam nie pójść. Ale kiedy dowiedzieliśmy się, że Polacy mogliby to odczytać jako przyjęcie sowieckiego stanowiska w sprawie Katynia, opadły mnie wątpliwości. Myślę, że Rosjanie chcieli przy pomocy naszej wizyty usankcjonować swoją wersję historii”.

Tym razem uczestniczki marszu nie zdołały zgodzić się, jak należy się w tej sytuacji zachować. Doszło do rozłamu. Połowa postanowiła wziąć udział w uroczystości w Chatyniu, połowa została w Mińsku, gdzie w milczeniu demonstrowała swoje niezadovolenie siedząc na schodach przed hotelem. Norweg Oivind Fagedahl, jeden z tych, którzy zostali w Mińsku, powiedział: „Mówiliśmy dużo o tworzeniu klimatu zaufania między nami a narodami ZSSR. Ale zaufania nie buduje się siłą. Rosjanie wyprowadzili nas tą imprezą na politycznie zaminowany teren”.

Trzecie rozwiązanie, pójść do Chatynia i publicznie przypomnieć zbrodnię w Katyniu, wybrała Szwedka Ritva Jonsson z chrześcijańskiego ruchu pokojowego, na którą tego dnia spadała kolej przemawiania z ramienia gości. Po powrocie do Sztokholmu, dzieląc się swoimi przeżyciami związanymi z tą, jak stwierdziła, najtrudniejszą decyzją w jej życiu, powiedziała: „Przed przyjazdem tam nie wiedzieliśmy nic o Chatyniu i o mieszkaniu go z Katyniem. Powstało wzburzone napięcie i zdenerwowanie. Głównie z powodu braku doświadczenia i amatorszczyzny wpadliśmy w pułapkę. Gdybyśmy nie wzięli udziału w wielkim marszu, który Sowietki Komitet Pokoju zaplanował do Chatynia, miejscowa ludność czułaby się bardzo dotknięta. Gdybyśmy poszli, Polacy mogliby się czuć opluci. Pomyślałam, że powinniśmy tam pójść i powiedzieć o tym otwarcie: że to jest dla nas dylemat. Napięłam przemówienie. Odczytałam je naszej grupie. Rosjanie też byli z góry uprzedzeni. Była to niesłychanie ciężka decyzja, bynajmniej nie wynikająca z odwagi. Bardzo się bałam wielu rzeczy: że wszyscy będą mieć pretensję do mnie, że Rosjanie będą źli, że marsz ucierpi na tym itd.”.

Krytyczny *passus* przemówienia wygłoszonego przez Ritwę Jonsson brzmiał: „Chatyń jest miejscem pamięci nie tylko dla Mińska, dla Białorusi i dla ZSSR. Jest miejscem pamięci dla całej ludzkości, dla wszystkich, którzy umierali na wojnie. Przypomina nam ono również inną miejscowość, Katyń, 300 km stąd, w pobliżu Smoleńska, gdzie duża liczba polskich oficerów została zabita na początku wojny”. Wkrótce po przemówieniu Jonsson głos zabrał przewodniczący Sowietki Komitetu Pokoju, Jurij Żukow, znany komentator *Prawdy*, który oskarżył zachodnich speców od wojny psychologicznej o wyciąganie goebbelsowskiej wersji masakry katyńskiej. Tym akcentem zakończył się „Marsz Pokoju 82” kobiet skandynawskich ze Sztokholmu do Mińska. Dla uczestników ze Skandynawii. Bo nie dla sowieckiej opinii publicznej, którą poinformowano, że marsz pokoju kontynuuje swój pochod przez Kijów i Budapeszt do Wiednia. W sowieckich środkach masowego przekazu okazało się nagle, że Marsz Pokoju był tylko częścią składową wielkiej europejskiej manifestacji przeciwko zbrojeniom NATO, przeciwko amerykańskiej broni neutronowej i raketom Pershing II, która w formie marszu gwiazdowego ze Sztokholmu, Moskwy, Berlina Zachodniego, Londynu i innych stolic europejskich ma się zakończyć w Wiedniu. Mińsk był tylko jednym z wielu etapów.

Tak jak wielu krytycznych komentatorów przewidywało, marsz stał się punktem wyjścia dla kolejnej sowieckiej kampanii propagandowej przeciwko Zachodowi, ogniwem zręcznym włączonym w łańcuch „pokojowych” imprez organizowanych czy inspirowanych przez ZSSR. Największa szwedzka gazeta konserwatywna *Svenska Dagbladet* nazwała marsz „czerwonym pochodem”, a komentarz redakcyjny po zakończeniu w Mińsku zatytułowała słowami Lenina: „Użyteczni idioci”. W komentarzu można było przeczytać, że o ile próby wykorzystania marszu przez

gospodarzy dla swych celów były do przewidzenia, o tyle metody przez nich zastosowane okazały się bardziej niezdarne i szyte grubymi nićmi, niż można było oczekiwać; i że w rezultacie marsz stał się pouczającą demonstracją brudnej sowieckiej gry, a ci ze skandynawskich zwolenników pokoju, którzy jeszcze zdolni są czerpać naukę z nowych doświadczeń, wrócą do domu ubożsi o trochę iluzji.

Dzięki marszowi pokoju zachodniej opinii publicznej szeroko przypominana została zbrodnia katyńska. Wielu ludzi, w tym większość uczestników marszu, dowiedziało się o tej zbrodni po raz pierwszy.

Jakub ŚWIĘCICKI

## Skandal finansowy w Watykanie

W pracy pt. „Etyka protestancka i duch kapitalizmu” Max Weber pisze o różnicy podejścia do pieniądza pomiędzy mentalnością protestancką (zwłaszcza kalwińską) i katolicką. W pierwszej *pecunia non olet*, pieniądz nie cuchnie, stanowi część składową ludzkiej aktywności i w pewnej mierze uczestniczy w jej wymiarze etycznym. Dla mentalności katolickiej natomiast pieniądz jest czymś „pochodzącym od diabła”, którym trzeba się posługiwać i obracać nawet, by go pomnażać, ale którego stale wstydliwie usuwa się ze świadomości. Te różne mentalności występują również w postępowaniu kręgów kościelnych. Kościoły reformowane bez żadnej żenady przyznają, że posiadają udziały akcyjne i uprawiają spekulacje finansowe. Kościół katolicki natomiast otacza tę dziedzinę nimbem sekretu, starając się skrytycznie ukrywać, co czyni z pieniędzmi i wyszukując często różne preteksty, by się z nich nie wyliczać wobec ofiarodawców. I gdyby nie skandal z samobójstwem „bankiera Boga” Roberta Calviego (włoskie organy śledcze kontestują wyrok sądu londyńskiego i twierdzą, że Calviego sprzątnęła mafia sycylijsko-amerykańska), który robił interesy z arcybiskupem Marcinkusem, prezesem „banku watykańskiego” — do dziś prawdopodobnie wokół spraw finansowych Watykanu panowałaby atmosfera tajemnicy osnutej podejrzliwością. Abp Marcinkus stoi od 1969 roku na czele I.O.R. (*Istituto per le Opere di Religione*) czyli tzw. banku watykańskiego. Instytut ten korzysta z dużej autonomii, dysponuje bardzo poważnymi wkładami osób fizycznych i prawnych z różnych krajów i gospodaruje tymi depozytami, inwestując je w udziały akcyjnych, pożyczkach lub też w spekulacjach giełdowych. Jak twierdzą włoskie organy śledcze, pośredniczył także

w nielegalnym eksporcie kapitałów obywateli włoskich na zasadach kumoterstwa.

Prasa światowa skoncentrowała całą uwagę na osobie abpa Marcinkusa w związku z aferą Banku Ambrosiano (który wszedł w stan likwidacji po tragicznym zgonie Calviego), tzn. odkryciem manka w stosunku do osób trzecich, co komisarze masy upadłościowej tego banku przypisali w poważnej mierze gwarancjom watykańskim, tzw. *lettres de patronage* udzielonym Calviemu przez Marcinkusa<sup>1</sup>. Jest prawdą, że Marcinkusowi powinęła się noga już w połowie lat 70-tych, kiedy „bank watykański” poniósł straty na niefortunnnych operacji „sponsorowanych” przez bankiera sycylijskiego Sindonę, związanego z mafią<sup>2</sup>. Kardynał Benelli, Substytut Sekretarza Stanu w czasie pontyfikatu Pawła VI, oświadczył niedawno: „Jeśli popełniono wówczas nieprzezworność, stało się to na skutek niedoświadczenia”. Zarzut nieuczciwości czy poszukiwania osobistych korzyści przez Marcinkusa nie wchodził w grę, jak też nie wchodzi w grę obecnie w związku z nową aferą, w której maczały palce ciemne figury związane z lożą masońską P2 (której centrala londyńska Wielkiego Wschodu wyparła się jako tworu mafijnego, świadczącego o degeneracji włoskiej tkanki życia polityczno-gospodarczego). Inna rzecz, że do Marcinkusa wielu dygnitarzy watykańskich i pracowników Kurii Rzymskiej nie żywi sympatii. Skoncentrował bowiem w swych rękach także inne atrybuty władzy jako naczelny organizator papieskich podróży, supernadzorca bezpieczeństwa osobistego Papieża i niedawno mianowany wiceprzewodniczący Zarządu Miasta Watykańskiego (*Governatorato della Città del Vaticano*).

Sedno rzeczy tkwi jednak gdzie indziej, nie w aspekcie personalnym. Chodzi o to, że I.O.R. nie podlega dotąd praktycznie żadnej kontroli. Zatwierdzanie dorocznych bilansów przez komisję kardynalską stanowi czystą formalność. Przychody i rozchody nie są przejrzyste, szereg transakcji nie figuruje w bilansie. Powstaje ponadto zasadnicze pytanie: czy instytucja, której statutowe zadania polegają na finansowaniu różnych „dział religijnych”, charytatywnych i misyjnych, może uprawiać spekulacje pieniężne? Faktem jest, że I.O.R. pokrywał dotąd w pewnej mierze deficyt budżetowy Stolicy Apostolskiej. Jan Paweł II wyznaczył w marcu br. komisję 15 kardynałów (dwóch z nich, Król z Filadelfii i Hoeffner z Kolonii, na sprawach finansowych zna się znakomicie) dla reorganizacji struktur gospodarczo-finansowych Watykanu. Kontrolę tych struktur utrudnia do tej pory okoliczność, że są one zdecentralizowane i rozproszone w wielu agendach. Kardynał Casaroli, Sekretarz Stanu, mianował natomiast w lipcu br. trzech ekspertów bankowych — Amerykani, Szwajcara i Włocha — dla dokładnego zbadania stanu fi-

1. Sąd włoski przesłał Marcinkusowi „notyfikację przestępstwa”.

2. Sindona odsiaduje karę 25 lat więzienia w USA za oszukańcze bankructwo.

nansowego I.O.R., ustalenia rozmiarów jego zadłużenia wobec Banku Ambrosiano i udzielenia „sugestii i porad”. Kardynał Casaroli w wywiadzie dla tygodnika *Espresso* kontestuje zarówno podstawy prawne *lettres de patronage* jak i sumę 1 miliarda i 200 milionów dolarów, którą rzekomo I.O.R. jest winny zagranicznym bankom stowarzyszonym z Bankiem Ambrosiano z tytułu lekkomyślnych operacji Calviego (abp Marcinkus był członkiem rady nadzorczej jednego z tych banków w Nassau na Bahamas). W powyższym wywiadzie na pytanie, czy „nieusuwalność” Marcinkusa nie wynika przypadkiem z tego, że „cieszy się dużym poparciem Papieża i dał pewną sumę polskiemu związkowi zawodowemu Solidarność”, Casaroli odpowiada: „Proszę mi wierzyć, znam dobrze Jego Świątobliwość, nie jest to człowiek, który mógłby ulegać wpływowi tego rodzaju rachub”. Najlepszy spec od spraw finansowych Watykanu, B. Lai, komentuje tę odpowiedź jako wymijającą i pisze: „Wiele osób oczekiwałoby mniejszego zdystansowania się”. Jeśli chodzi o to, czy Marcinkus faktycznie wyasygnował taką czy inną sumę na rzecz Solidarności, był to wymysł Calviego, który użył tego chwytu dla szantażowania Marcinkusa, kiedy przeczuwał zbliżający się krach swego imperium finansowego. Według tego samego eksperta, Jan Paweł II zmierza do tego, by pokrycie bieżących wydatków centralnego rządu Kościoła zależało wyłącznie od darów wiernych, by uwolnić od tego serwitutu dochody „banku watykańskiego”, które powinny być przeznaczane wyłącznie i rzeczywiście na „dzieła religijne”.

Pozostaje do odnotowania zasadniczy wniosek: wyznaczenie komisji trzech ekspertów dla zbadania finansów watykańskich oznacza, że po raz pierwszy od 1870 roku (kiedy powstała struktura finansowa Watykanu) Stolica Apostolska uznała bez ogródek, że jej instytut był uwikłany w spekulacje. Jan Paweł II i kardynał Casaroli podjęli tym samym decyzję odrzucającą podtrzymywaną przez długie lata tezę o autonomii I.O.R. w ramach Kurii Rzymskiej. Papież stawia na tzw. „środku ubogie” i jak sam oświadczył niedawno zaleca „ubóstwo ewangeliczne”. W praktyce oznacza to, że Kościołowi Powszechnemu i jego centralnemu rządowi, zatrudniającemu ponad 4 tysiące osób duchownych i świeckich i mającemu tyle potrzeb, pieniądze są i będą wciąż niezbędne, chodzi jednak o to, aby — jak powiedział biskup Bettazzi, przewodniczący *Pax Christi Internationalis* „lepiej wybierać metody i towarzystwo... by uczciwość i przyczynowość działań utwierdzały się coraz bardziej”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 10 września 1982 r.

## Kraj

### Czy porozumienie jest możliwe?

Ile razy słyszę o porozumieniu w Polsce między narodem i... no właśnie, kimś nieokreślonym, bo zwykle nie precyzuje się, czy ten ktoś to obecna PZPR, ZOMO, wojsko, WRON, czy aktualna ekipa przy władzy — tyle razy ogarnia mnie zwątpienie w możliwości umysłu ludzkiego. Przestaje być dla mnie ważne, czy to nowe, upragnione porozumienie, istniejące już w formie ponad 2000 odrębnych, bardzo ważnych porozumień cząstkowych, wywalczonych w toku zażartych dyskusji między związkowcami „Solidarności” a przedstawicielami ekipy rządzącej i partii, a które teraz całkowicie zostały przekreślone ręką Premiera-Generała - I Sekretarza, stojącego w posłusznym postawie zasadniczej do usłużnej dyspozycji kremlowskiego okupanta — czy to nowe porozumienie ma być zawarte z tym czy innym „polskim reprezentantem”. Ważne jest moim zdaniem rozwianie złudnych przesłanek o możliwości takiego porozumienia, gdyż rozbraja to i mamy naród, powiedziałbym usypia w obliczu realnego niebezpieczeństwa. W oczekiwaniu na to upragnione, pokojowe załatwienie sprawy zaniedbuje się inne możliwości, a nawet wyklucza się je. Porozumienie, dialog, pokojowe załatwienie palących spraw zakłada dobrą, nieprzymuszoną wolę dwóch stron. W innym przypadku porozumienie będzie albo przyjęciem dyktatu jednej strony, oczywiście silniejszej, albo krótkotrwałym zawieszeniem broni, po którym, bądź w czasie jego trwania przygotowywać się będzie nową agresję, nowy atak w rodzaju 13 grudnia.

„Ten partner nigdy nie był ani nie będzie uczciwy. Oto dlaczego nie można się cofnąć ani pozwolić się wyeliminować, takie są bowiem ich metody” — napisał poniewczasie Lech Wałęsa — człowiek, który podpisywał „wieczystą” ugodę Polaka

z Polakiem, a potem chyba kilkaset innych porozumień. Czyżby te porozumienia były już niekorzystne, złe, nieważne dla narodu, tak że trzeba negocjować i podpisywać nowe? Wreszcie, czy to jest ten partner, z którym należy nowy traktat podpisywać? Jestem w tym wypadku zdecydowanie po stronie Wałęsy — nie wierzę w solidność partnera, i powiem więcej, uważam, że podpisaliśmy złe porozumienie z niewłaściwym partnerem. Ten partner nie reprezentuje już nikogo. Jest to niejednolita mieszanina skorumpowanych jednostek, nie wierzących już w żadne ideały, za to żądnymi walczących o możliwość oddawania usług Kremłowi. I tu dochodzimy do sedna! Wszystkie drogi prowadzą w tym wypadku do Moskwy. Jeśli więc porozumienie, to nie z psem ani smyczą, lecz z ręką, która psa trzyma. Jak śmiesznie zatem brzmi tytuł wypowiedzi „Zmusić władze do porozumienia” (*Kultura* Nr 6, s. 159, 1982). Jak surrealistycznie brzmią głosy Episkopatu i Rady Ekumenicznej na tym tle! Trwożliwe nawoływania o spokój i modlitwę w miejsce zdecydowanej walki o fragmentaryczną choćby wolność ocenić można jedynie jako zasłonę zaciemniająca sytuację i możliwości rozwiązania.

Jeśli zmuszać kogoś do porozumienia, to oczywiście Kreml, a nie PZPR, która miała zostać rozwiązana i praktycznie już się nie liczy politycznie, czy też garstkę przestępców naruszających podstawowe prawa gwarantowane Konstytucją i wieloma innymi zapewnieniami o charakterze międzynarodowym. Rozmawiać i pertraktować można i trzeba jedynie z przedstawicielami Kremla. Ale nie łudźmy się, przedtem muszą być niepokoje, strajki i walka powodująca duże wydatki i straty Imperium Sowieckiego. Po tym dojść może do dialogu. Porozumienia zawarte z tym przeciwnikiem mogą mieć pewne prawdopodobieństwo trwałości, pod warunkiem, że będzie ono pewnym wyjściem dla Kremla, pewnym interesem, np. w postaci spokoju w Polsce, umożliwiającego dalszą penetrację pokojową Zachodu, lenna płynącego z Polski w miejsce kolosalnych wydatków lub dodatkowo pewnych gwarancji politycznych. Nie należy jednak zapominać, że dla Kremla będzie to ustępstwo, które uzyskamy pod przymusem wpływającym z krytycznej sytuacji, i jeśli zniknie ten przymus, zniknie solidarność i gotowość narodu do obrony wywalczonych pozycji i swobód, Kreml nie zawaha się odebrać nam przywilejów. Pocięszające jest, że przesłanki walki przebijają w wypowiedziach przywódców „Solidarności”.

○ Będąc z dala od kraju doskonale zdajemy sobie sprawę z trudności i odpowiedzialności podejmowania decyzji przez kierownictwo „Solidarności”, zwłaszcza w obliczu braku alternatywy, walki długiej i wyczerpującej, walki jednak, która nęka nie tylko

naród polski, ale przede wszystkim wschodnie mocarstwo. To nie my jesteśmy odpowiedzialni za wynikłą sytuację, za konieczność podjęcia walki. Strajki i niepokoje będą się pojawiać bez naszej inicjatywy. Natomiast sytuacja wymaga od kierownictwa „Solidarności” szybkiej decyzji: walczyć z perspektywą pojawienia się sytuacji, z której może wynikać, że lepiej było nie rozpoczynać.

Poprę te wywody swoimi przeżyciami. W marcu 1981 był taki moment, że o mały włos zabrakłoby „Solidarności” partnera do podpisywania dalszych porozumień. Partia rozsypała się, a rząd przestał sprawować funkcje namiestnika. Nawet Sejm przestał być pewny dla komunistów. I wówczas, przy poradzie Kościółka i części ugodowych i przestraszonych wizją „niechybnej” interwencji sowieckiej doradców, czołówka „Solidarności”, ku zaskoczeniu pozostałych orientujących się w zagadnieniu, spuściła z tonu i umożliwiła powrót partii na tron. „Solidarność” uratowała tę ekipę od niechybnej porażki i odsunięcia od władzy. Wałęsa, zapytany po fakcie o przyczyny tego posunięcia, w krzyżowym ogniu pytań odpowiedział: „Musimy dać porządek Jaruzelskiemu, niech się wykaże co potrafi, musimy mu zawierzyć, bo jeśli nie Jaruzelski to... kto?” Tak oto przebił kompleks niezbędności „polskiego partnera”. Perspektywa jego braku przeżyła.

A tymczasem „polski partner” od początku liżał rany, ustępował tylko pod naporem związkowców „Solidarności”, a nie z chęci poprawy sytuacji, tam gdzie mógł sabotował porozumienia już zawarte, pozorował opracowywanie reformy gospodarczej. Jak to później nazwał min. Obodowski: „... rząd i partia podpisywały porozumienia z pistoletem przystawionym do głowy... i czy takie porozumienia można uważać za ważne?”. Toteż nie brano w rządzie tych porozumień poważnie, łamano je celowo na każdym kroku, w następstwie czego pojawiała się groźba strajku oburzonych ludzi pracy (Wałęsa był wtedy zdecydowanym przeciwnikiem tych strajków), trzeba było znów rokować i podpisywać porozumienia do porozumień.

A czas biegł i przygotowania do grudniowego puczu przebiegały planowo. Dziś, po szkodziu, wiemy już wszyscy, że „polski komunizm” nie jest reformowalny i niemożliwe są żadne trwałe porozumienia. Sowietyzm w polskim wydaniu jest zdolny do ustępstw jedynie pod wpływem „pistoletu przystawionego do głowy”, lecz przy pierwszej okazji pojawi się zawsze stan wojenny i „normalizacja”. Ci ze sfery rządzącej, którzy na serio wzięli porozumienia musieli odejść (Jagielski, Fiszbach, Kołodziejowski). To samo czekało „postępowych marksistów” (Iwanow, Bratkow-

ski). Oni chyba już też nie wierzą w możliwość porozumienia. Reasumując:

1. Bazując na kardynalnych zasadach międzynarodowych, z Jałtą włącznie, nikt nie może negocjować praw narodu polskiego do samostanowienia. Tym samym wszelkie dialogi, dyskusje i porozumienia zawierane z grupkami niereprezentacyjnymi i nie stającymi o woli narodu są bezprzedmiotowe. Obecny „rząd polski” jest skompromitowany i nie można liczyć na jego trwałość, przeciwnie, należy się liczyć z rychłymi zmianami personalnymi i politycznymi. Porozumienia zawarte z takim partnerem mogą się okazać jutro znowu nieaktualne.

Oprócz tego, kto podejmie się rozmów w imieniu robotników z oprawcami i katami narodu? Kto jeszcze raz podejmie ryzyko podpisania porozumienia ze świadomością nierzetelności i niereprezentatywności „strony rządowej”?

2. Właściwe porozumienia powinny być zawarte z dysponentem i władcą Imperium Sowieckiego. Do takich rozmów może dojść jedynie po długiej i wyczerpującej walce całego narodu z rodzimą targowicą. W przypadku zwycięstwa i kompletnego rozpadu „sfery rządzącej” Sowietci będą musieli rozmawiać, lub wkroczyć zbrojnie. Interwencja zbrojna jest jednak nieprawdopodobna w obecnej sytuacji politycznej w świecie. Nie tylko, że zmieniłaby ona układ sił światowych i sygnalizowała jawne odejście od Układu Jałtańskiego — nadal bardzo korzystnego dla Kremla — ale nie rozwiązywałaby sprawy. Po doświadczeniach afgańskich jest wykluczone, by Moskwa zdecydowała się na interwencję, jednocześnie zabiegając o kontynuację „polityki odprężenia”. Z ruiną tej polityki upadłaby polityka „pokojujowej erozji Zachodu”. Kreml musiałby całkowicie zmienić taktykę, dla której nie ma alternatywy i do której nie jest przygotowany. W dialogu z Sowietami — obojętne, czy odbywałby się jawnie czy w formie utajonej, to co głosi „Solidarność” jest do przyjęcia dla obu stron. A więc Polska pozostałaby w Bloku Sowieckim i w Pakcie Warszawskim, pozostałaby we wspólnocie gospodarczej tego bloku, jednak przy swobodnym obraniu systemu gospodarczego i administracyjnego. Przy władzy obranej w sposób demokratyczny istniałaby reprezentacja o charakterze namiestnictwa, wyrażającego wolę i interesy sowieckie (zreformowane PZPR lub obecna ambasada ZSSR w Polsce). W tym miejscu należy podkreślić, że takie porozumienie może zostać utrzymane jedynie przy pełnej solidarności i gotowości narodowej do obrony. Każde osłabienie czy odwrócenie uwagi zostanie z pewnością

natychmiast wykorzystane przez Sowiety do ograniczenia swobód w Polsce.

3. Wszelkie inne rozwiązania, tj. jakieś porozumienia ugodowe z obecną ekipą, zwłaszcza w formie proponowanej przez Kościół, a nawet rezygnacja (nieprawdopodobne!) przywódców „Solidarność” — nie rozwiąże krytycznej sytuacji w Polsce. Nie może być mowy w takim wypadku o poprawie sytuacji społecznej, gospodarczej i politycznej. Postępująca pauperyzacja i niezadowolenie społeczeństwa powodować będą coraz to bardziej desperackie wystąpienia i zaburzenia społeczne. Kadencja I sekretarza będzie krótsza, a nowi sekretarze i generałowie przelewać będą robotniczą krew i oskarżać poprzedników o „błędy i wypaczenia”.

Wojciech GRUSZECKI

Berlin

## Zbrodniarze w mundurach i w cywilu

31 sierpnia był w całej Polsce dniem twardej, wytężonej pracy. W 15 województwach panował całkowity spokój. Pomimo trudności ekonomicznych i uciążliwości życia w warunkach kryzysu, uczciwi ludzie pracy wykazali rozwagę i odpowiedzialność, dając dowód swemu pragnieniu normalizacji. Tylko w Warszawie, Wrocławiu, Głogowie, Lubinie, Gdańsku, Krakowie, Szczecinie, Częstochowie oraz w kilkudziesięciu innych miastach małe grupki rozwydrzonych wandalii uległy namowom zakonspirowanych ekstremistów z „Solidarność”, zachodnich rozgłośni nadających po polsku i dywersyjnych ośrodków państw NATO. Podjęte przez otumanionych wyrostków próby zorganizowania na ulicach naszych miast tzw. pokojowych manifestacji zakończyły się jednak klęską. Przyłączyło się do nich zaledwie kilkaset tysięcy osób, głównie młodzieży, na ogół nigdzie nie zatrudnionej, w tym również stoczniowcy, górnicy, hutnicy, metalowcy, budowlani i inni. Tak więc klasa robotnicza dała zdecydowany odpór przeciwnikom socjalizmu, którzy dążą do zmiany ustroju w Polsce.

Neuściepliwie realizując linię porozumienia narodowego, wytyczoną przez WRON i popartą przez PRON, siły porządku użyły gazów łzawiących i armatek wodnych, a w dwóch miejscowościach

ciach również broni palnej. Według danych na dzień 3 września, 148 milicjantów zostało rannych; 42 z nich znajduje się w szpitalach, w tym 3 — w stanie ciężkim. Jest też 6 rannych strażaków. W toku demonstracji 63 osoby cywilne odniosły obrażenia spowodowane głównie kamieniami rzuconymi z tłumy, butelkami z benzyną oraz strzałami oddanymi przez nieznaną sprawców. 5 osób zostało zabitych: 3 w Lubinie, 1 we Wrocławiu i 1 w Gdańsku; pozostaje to jednak zgodne z regulaminem, nie zakazującym siłom porządku używania broni. Zatrzymano 4.050 osób. Przeciw prowodyrom zająć toczy się śledztwo. Przywódcy KSS KOR zostaną ukarani z całą surowością. Żadnych rozmów z kierownictwem „Solidarności” nie będzie. Rząd nie odstąpi od linii porozumienia narodowego, wytyczonej przez WRON i popartej przez PRON.

Tak oto wygląda 31 sierpnia w Polsce z punktu widzenia władzy. Albowiem przytoczony tu syntetyczny komunikat składa się niemal wyłącznie z fragmentów enuncjacji PAP i oświadczenia rzecznika rządu PRL na konferencji dla dziennikarzy zagranicznych 3 września. Forma i treść zostały w miarę możliwości zachowane. Z tych samych źródeł zaczerpnięto wszystkie przytoczone dane liczbowe, z wyjątkiem wzmianki o kilkuset tysiącach uczestników manifestacji. Ale i w tym przypadku użyto tylko wyznań władzy, uzupełniając je o jedno założenie i stosując tabliczkę mnożenia. Wyznanie: manifestacje odbyły się w ponad 50 miejscowościach. Założenie: w jednej manifestacji brało przeciętnie udział co najmniej kilka tysięcy osób. Szacunek taki wydaje się bardzo ostrożny. Jeśli nawet PAP przyznaje, że w Nowej Hucie było kilka tysięcy demonstrantów, to ilu ich było naprawdę? I ilu — kilkanaście tysięcy czy jeszcze więcej — było ich we Wrocławiu, gdzie starcia trwały 10 godzin i ogarnęły całe miasto? A przecież dość podobnie działo się, jak świadczą komunikaty PAP, w Warszawie i w Trójmieście. Jeśli zaś w takim np. Gorzowie — ok. 100 tysięcy mieszkańców — milicja zatrzymała 120 osób za zachowanie „szczególnie agresywne”, to ile ich wyszło na ulicę? 10 razy tyle? 20 razy tyle? Jeszcze więcej? A co z Lubinem i Częstochową, gdzie manifestacje trwały dwa dni? I w ilu miejscowościach było tak samo?

Nawet w świetle danych urzędowych wolno zatem uznać, że 31 sierpnia w manifestacjach, które objęły co najmniej 34 województwa na 49, wzięło udział kilkaset tysięcy osób. Dokładniejszy szacunek nie wydaje się chwilowo możliwy. Te kilkaset tysięcy to dużo, czy mało? Nim odpowiemy, przypomnijmy, choć wiadomo o tym powszechnie, że od 13 grudnia 1981 Polska żyje w warunkach stanu wojennego. Znaczący to, że czołowi działacze „Solidarności” i opozycji demokratycznej są trzymani od ponad 9 miesięcy w ośrodkach odosobnienia lub odbywają długotrwałe na ogół kary więzienia. Że prowadzenie działalności związkowej jest bezwzględnie tłumione. Że wysokie wyroki spadają nie tylko na organizatorów strajków i demonstracji, ale również na ich uczestników. Że stosuje się zasadę odpowiedzial-

ności zbiorowej. Że liczba więźniów politycznych stale rośnie. I że rośnie też liczba studentów relegowanych z uczelni, uczniów wyrzucanych ze szkół, pracowników zwalnianych w trybie karnym, a więc i rodzin pozbawionych środków do życia.

Tę politykę przemocy i odwetu władze prowadzą konsekwentnie od 13 grudnia. Trzeba było ogromnych zasobów dobrej woli oraz gotowości przebaczenia krzywd i zdrady, by w tych warunkach dążyć do pokojowego i politycznego rozwiązania konfliktu. By traktować przywódców PZPR i WRON jako możliwych partnerów dialogu mającego doprowadzić do wiarygodnego porozumienia, choć przeczył temu w sposób oczywisty niemal każdy mijający dzień. A tak przecież traktował ich Kościół, przedstawiając i wielokrotnie przypominając swój program pojednania. I tak potraktowało ich również kierownictwo podziemnej „Solidarności”, gdy ogłosiło dokument zatytułowany „5 razy TAK” i wezwało do ograniczenia w lipcu akcji protestacyjnych. Oczekiwano, w oparciu o precedensy, że władza skorzysta ze swego święta i podejmie kroki otwierające perspektywę rokowań.

Odpowiedzią była odmowa poczynienia jakichkolwiek znaczących ustępstw i dobitne oświadczenie, że WRON uważa za rozmówcę tylko PRON, który ze swej strony uznał raz na zawsze za jedynie słuszne wszystko, co robi WRON. W swym wystąpieniu sejmowym wicepremier Rakowski postawił „Solidarności” ultimatum: albo przystąpienie do PRON, albo rozwiązanie. A gdy kierownictwo „Solidarności” ogłosiło dokument zatytułowany „5 razy NIE” i zapowiedziało obchody drugiej rocznicy podpisania porozumień w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu, władze rozpoczęły kampanię zarazem prowokowania i zastraszania. Użyto do tego celu wszystkich środków. Co dzień inna postać urzędowego życia publicznego wygłaszała przemówienie z pogroźkami; jako ostatni zabrał głos sam generał Jaruzelski. Równocześnie wzmożono terror w stosunku do działaczy i członków „Solidarności”. Góra mówiła, dół — działał.

Wedle informacji Naczelnej Prokuratury Wojskowej w sierpniu wszczęto postępowanie karne w trybie doraźnym przeciw 224 osobom; jest to więcej niż w poprzednich miesiącach. Są wśród nich zapewne jacyś przestępcy pospolici. Większość stanowią jednak członkowie „Solidarności” podejrzani o to, że „w okresie zawieszenia działalności związkowej nie odstąpili od niej, biorąc udział w zebraniach organizacyjnych oraz w wydawaniu i rozpowszechnianiu szeregu nielegalnych pism”. W sierpniu skierowano również do sądów w trybie doraźnym akty oskarżenia przeciw 127 osobom, w tym m.in. przeciwko 20 członkom „Solidarności” z Opola na czele z byłym przewodniczącym Zarządu Regionu.

Służba Bezpieczeństwa nie miała tego lata czasu na wypoczynek. Tylko w MSW wiedzą, ilu działaczy „Solidarności” wezwano w ciągu sierpnia na „rozmowy”, z których każda była połączeniem przesłuchania i szantażu. Oto fragment jednej takiej „roz-

mowy", która odbyła się w Komendzie Wojewódzkiej MO we Wrocławiu między funkcjonariuszami SB a dziewięcioma pracownikami zakładów „Elwro”, byłymi działaczami „Solidarności”, w obecności dziennikarza *Gazety Robotniczej*:

*„Ppor. Stanisław Gaj: — Jesteście ludźmi, którzy w rozmaity sposób, czynnie bądź biernie, wspierają działania mogące spowodować określone zagrożenie w waszym zakładzie. Mielіśmy do wyboru — albo czekać aż w konsekwencji takiego postępowania zostanie podjęta akcja strajkowa, albo spotkać się z wami i porozmawiać. Myślę, że byłoby źle, gdyby każdy z panów powiedział tylko tyle, że on takiej działalności nie prowadzi.*

*Józef Łomecki — ślusarz, przed zawieszeniem związku przewodniczący koła „Solidarności” w PKZ, a także członek Komisji Zakładowej: — To jest tylko domniemanie o naszej działalności przeciwko prawu w okresie stanu wojennego. Ja po zakończeniu strajku 15 grudnia podpisałem oświadczenie, że akcji strajkowej podejmować nie będziemy i trzymam się tego. Z pana wypowiedzi wynika, że jeśli coś będzie w „Elwro”, to my będziemy represjonowani. Za co? Czy to ma się za nami ciągnąć w nieskończoność? Dlaczego?*

*Ppor. S. Gaj: — To nie jest tak. Jeśli pan Łomecki nie będzie brał udziału, nie będzie represjonowany. Nie ma „czarnej listy”.*

*J. Łomecki: — Ale pan chce, żebyśmy przeciwdziałali temu, co może się wydarzyć. W jaki sposób? Przecież nam nie wolno działać! Wystarczy, że zbierze się na wydziale trzech ludzi, od razu kierownik wrzeszczy, żeby się rozejść. Jak mamy to robić?*

*Ppłk Jan Wieczorkowski: — W zakładzie są prowadzone zbiórki pieniędzy na internowanych, rozprowadza się ulotki. Nie powiecie chyba, że nic o tym nie wiecie? I nic was to nie obchodzi? Przecież ludzie na was patrzą, macie wśród tych ludzi autorytet. Myślę, że od was, działaczy zawieszonoego związku, należy czegoś oczekiwać. Chyba, że wam zależy na tym, żeby był bój na ulicach.*

*Witold Rorbach: — drukarz z „Elwro”, sekretarz zawieszonoego Regionalnej Komisji Koordynacyjnej Pracowników Poligrafii „Solidarności”: — Proszę pana, jak my możemy coś zrobić, skoro nie mamy nawet prawa wyjść z pokoju bez meldowania się przełożonemu? Jeśli bym coś takiego zrobił, zaczął rozmawiać z ludźmi — wyleciałbym za bramę. Ja jestem w dyspozycji działu kadr. Do was też przyszedłem z polecenia dyrekcji zakładu. Normalnie siedzę i czekam, kiedy odwieszą związek. (...)*

*Roman Korfini — robotnik, członek Komisji Zakładowej „Solidarności”: — Jest jedno wytłumaczenie, dlaczego te bibuły się*

ukazują. Bo u nas nie ma prawdy. Gazety swoje, telewizja swoje, bibuła swoje. Jak ja sobie to wszystko pooglądam, to mogę wyciągnąć swoje wnioski.

*Ppor. S. Gaj: — A czy ta bibuła to jest prawda?*

*(Życie Warszawy, 20 sierpnia 1982).*

Jeśli tak wygląda pokazowa rozmowa funkcjonariuszy SB z działaczami „Solidarności”, to co dzieje się, gdy nie zaprasza się usłużnego dziennikarza? Dochodzące z Kraju informacje pozwalają odpowiedzieć na to pytanie. Mówi się wtedy mężowi, że jego żona może być zgwałcona przez nieznaną sprawców, żonie, że może pewnego dnia znaleźć zwłoki męża w kostnicy, rodzicom, że ich dziecko, jeśli jest chore, nie będzie przyjęte do szpitala, a jeśli jest zdrowe, to może mieć wypadek lub być wyrzucone ze szkoły. Przychodzi się dzień po dniu do mieszkania, powtarza się pogroźki, wzywa na przesłuchania, organizuje systematyczną nagonkę, by doprowadzić do załamania psychicznego. Rzekome samobójstwo syna i synowej Mariana Jurczyka albo było po prostu zabójstwem, albo zostało spowodowane ich zaszczuciem przez SB. W każdym przypadku za śmierć tych dwóch osób, jak za wszystkie inne śmierci, których liczba stale rośnie, odpowiadają rządzący Polską zbrodniarze w mundurach i w cywilu.

Dopiero, gdy uwzględnia się te i podobne fakty, ma się obraz nacisków, jakim podlegają działacze i członkowie „Solidarności”, zwłaszcza na prowincji, gdzie władze czują się zupełnie bezkarne i gdzie nie muszą, jak w Warszawie i Krakowie, zachowywać pozorów. I wtedy dopiero można zasadnie stwierdzić, że kilkaset tysięcy osób, które 31 sierpnia odpowiedziały na wezwanie podziemnego kierownictwa Związku, to bardzo dużo; tym więcej, że obok strachu działa również pogłębiające się zmęczenie życiem codziennym i poczucie beznadziejności. Niepoprawni marzyciele, którzy oczekiwali, że tego dnia na ulice miast wyjdą miliony, czują się zapewne zawiedzeni. Wystarczy jednak spojrzeć na udział w demonstracji z punktu widzenia jej uczestnika, który już wie, do czego zdolne są ZOMO, by uznać, że 31 sierpnia, nawet jeśli nie stał się — bo stać się nie mógł — jednoznacznie zwycięstwem „Solidarności”, jest jednoznacznie klęską władzy i osobiście generała Jaruzelskiego.

Świadczą o tym zresztą pierwsze oficjalne reakcje łączące w sposób zupełnie niezborny pomniejszanie rangi wydarzenia z podkreśleniem jego rozmiarów i grozy; tę ostatnią ma, rzecz jasna, ilustrować liczba rannych milicjantów, ponad dwukrotnie większa od liczby rannych uczestników demonstracji. Nie mogą przyznać, że po 9 miesiącach stanu wojennego „Solidarność” zachowała autorytet, ale nie mogą też podać, że 31 sierpnia nic się nie stało, rzeczniczy WRON zmuszeni są do łamańców



stylistycznych, wyrażających niemożliwość pogodzenia, nawet na papierze, polityki, której głównym narzędziem jest pałka milicyjna, z retoryką porozumienia narodowego.

Toteż powoli zastępuje się tę retorykę inną, która lepiej służy uzasadnieniu rządów pałki triumfującej nie tylko w Gdańsku i Kwidzynie, gdzie w sierpniu ZOMO bestialsko skatowały internowanych, ale również na szczytach władzy. Albowiem to ona najwyraźniej podejmuje decyzje, jak o tym świadczy oskarżenie sześciu członków rozwiązanego od blisko roku KSS KOR o „podjęcie przygotowań zmierzających do obalenia przemocą ustroju PRL”, za co grozi co najmniej pięć lat więzienia lub kara śmierci. Jawny absurd tego oskarżenia polega na tym, że cztery spośród inkryminowanych osób, które znajdują się w kraju, są internowane od 13 grudnia, o czym nie było ani słowa w urzędowym komunikacie. Ale jest to absurd przerażający, gdyż artykuł 123 kodeksu karnego nie skłania bynajmniej do żartów.

Po 13 grudnia nie tylko na Zachodzie ale i w Polsce zachowywano jeszcze złudzenia co do prawdziwych intencji autorów zamachu stanu. Dziś nie ma już na nie miejsca. Pod rządami generała Jaruzelskiego Polska wkracza w okres terroru i bezprawia.

Krzysztof POMIAN

12 września 1982

## Jeszcze raz o Polsce

Stefanowi Kisielewskiemu  
— bardowi geopolityki

Minęło pół roku od grudniowej pacyfikacji. Po początkowym *Blitzkrieg'u* władze poniosły szereg porażek psychologicznych, moralnych i politycznych. Dyskusja o sytuacji w Kraju i programach działania, ilość czasopism i publikacji wydawanych w podziemiu oraz ponawiane akcje protestacyjne świadczą o tym, że juncie nie udało się sparaliżować aktywności społeczeństwa. To procentuje 15 miesięcy jawnego działania „Solidarności”, a okres ten wyda jeszcze swoje owoce.

O rozwoju niezależnej publicystyki najlepiej świadczy fakt, że nawet tutaj na Zachodzie trudno nadążyć z lekturą wszystkich materiałów napływających z Kraju (a przecież dociera tylko ich część i to zazwyczaj ze znacznym opóźnieniem). Czytając te teksty można starać się odtworzyć atmosferę umysłową i emocjonal-

na, która patronuje wypowiedziom publicystycznym. Odnoszę wrażenie, że publicystyka — ze swej natury skazana na aktualność — zapomina czasem o pewnych sprzecznościach współwzrastających sytuację w Kraju, które odegrają jeszcze poważną rolę w poszukiwaniu rozwiązań. Co więcej, częstokroć dowolnie łączy się sformułowania propagandowe (bardzo potrzebne dla podtrzymania ducha oporu i mobilizowania opinii) z ustępami analitycznymi, miesza się zdania opisowe z sądami wartościującymi czy wreszcie hasła i symbole z diagnozą społecznej rzeczywistości. Łączy się także moralistykę z polityką, a tymczasem obie te dziedziny niewiele mają ze sobą wspólnego. We współczesnym świecie, a zwłaszcza świecie komunistycznym, polityka dawno straciła szlachetne cnoty arystotelesowskiej proveniencji i stała się makiawelską umiejętnością obrony władzy i eliminowania jej przeciwników, dodatkowo spotworniałą przez wszystkie przewagi, jakie rządzącym daje system sowiecki. Czy u źródeł błędów „Solidarności” nie leżało aby błędne przekonanie, że władze będą działać w interesie narodowym, kierując się tymi samymi wartościami co związek? Wielu ludzi zdaje się także wierzyć, że dobro — niejako samo przez się — musi zwyciężyć. Tymczasem trudno oprzeć się wrażeniu, że prawda i wolność okazują się bezsilne w konfrontacji z kłamstwem i przemocą, a na politycznej mapie świata demokracja stale i nieubłagane traci teren na rzecz sowieckiej dyktatury.

Wydaje się, że propagandowym hasłem „zima wasza — wiosna nasza” próbowano zastąpić „pracę organiczną” nad konsekwentnym programem podziemnej „Solidarności”. Wiosenne demonstracje wcielając w życie to hasło ułatwiły władzom prowokacje, których skutki są znane: brutalne szarże ZOMO i masowe aresztowania. Jednak dla rozwoju podziemnych struktur ruchu oporu nie przyniosło to żadnego zgoła pożytku.

Powtarza się nadal, choć rzadziej niż przed paroma miesiącami, „racje Ślimaka”. Czy w obecnej sytuacji Kraju bojkot pracy jest wskazany i zmusi władze do ustępstw? Odpowiedział na to pytanie S. Bratkowski — choć w nieco zastanawiającej formie — „nie leńcie się bracia”<sup>1</sup>.

Jeszcze jeden przykład: dyskutuje się argumenty na rzecz proklamowania strajku generalnego, ale pomija się pytanie, czy w ogóle istnieje w tej chwili możliwość jego przeprowadzenia? Trudno to ocenić z paryskiej perspektywy, docierają do nas bowiem głównie relacje o mocnym zabarwieniu propagandowym („protesty w całym kraju”, „masowe wystąpienia społeczeństwa” itp.), a działalność dziennikarzy zachodnich nadal ogranicza się

1. S. Bratkowski, „Do Przyjaciół”, *Puls* nr 14, str. 124.

do terenu Warszawy. Oto kilka przykładów: duch oporu i psychologiczny stosunek do władz nie mogą zastąpić racjonalnego i konsekwentnego programu politycznego. Ale — podkreślmy — program ten zdaje się dopiero wyłaniać.

Niezależna publicystyka także przed 13 grudnia omijała pewne tematy, które później nierzadko skutecznie wykorzystywała propaganda reżymowa jako argumenty na rzecz proklamowania wojny. Są w Polsce ludzie, choć w zdecydowanej mniejszości, którzy stan wojenny zaakceptowali czy nawet przyjęli z uczuciem ulgi. To nie tylko sprzedawczycy, ale także ta część społeczeństwa, która uwierzyła oficjalnej propagandzie uruchomionej długo przed 13 grudnia i dowodzącej, że wszelkie uciążliwości życia codziennego są skutkiem działania „Solidarności”. Podobnie ci zachodni komentatorzy, którzy wręcz chwalili Jaruzelskiego za „przywrócenie ładu i porządku”, przyjęli za dobrą monetę argumentację władz. Tymczasem wiele atutów junty to karty fałszywe; warto im się przyjrzeć z bliska, by wyeliminować je z gry.

Nie mamy ani w literaturze ani w publicystyce pełnego opisu polskiej codzienności z okresu jawnego działania „Solidarności”. Nie jest to tylko kwestia krótkiego czasu, jaki upłynął od tych kilkunastu miesięcy. W znakomitym przemówieniu na Kongresie Kultury Polskiej A. Kijowski mówił: „Nigdy nie doczekaliśmy się opisu codzienności powstańczej roku 1830. Gdy w wiele lat po Powstaniu Warszawskim 1944 roku jeden z pisarzy dał próbę opisu takiej codzienności, spotkał się z ostrą krytyką i pomówieniami o tchórzostwo i zdradę uczuć narodowych. Mobilizacje uczuciowe są bardzo względne”<sup>2</sup>. Istnieje analogia między rokiem 1830, 1944 a ruchem wolnościowym „Solidarności”. To nie historia się powtarza, lecz działają te same czynniki emocjonalne.

Oficjalna propaganda PRL-u zyskała monopol na pisanie o chaosie gospodarczym, wzroście przestępczości, eskalacji poczucia niepewności i zagrożenia. Winę za to wszystko miała ponosić „Solidarność”, ze szczególnym uwzględnieniem „ekstremistów” i „elementów kontrewolucyjnych”. Sprowadzanie zagadnienia wyłączenie do kłamstw oficjalnej prasy jest równie szkodliwe, jak sama działalność komunistycznej propagandy. Można podziwiać społeczeństwo za wytrwałość, z jaką znosiło wszystkie koszmary życia codziennego w PRL. Ale fakty pozostają faktami: w kolejkach nierzadko rozgrywały się sceny dantejskie, do ogromnych rozmiarów rozrósł się czarny rynek i wreszcie zwiększyła się przestępczość. Jakie jednak były przyczyny takiego stanu rzeczy? Czy „Solidarność” ponosi zań odpowiedzialność? Nie. Ujaw-

2. A. Kijowski, „Literatura i kryzys”, *Kultura* nr 6/417 (1982), str. 11.

niały się kryminogenne cechy samego systemu komunistycznego, aktywizował się tzw. margines społeczny (jego wielkość — w każdym kraju bloku sowieckiego — przeczy pojęciu 'margines'), procentował brak kultury prawnej, której trudno wymagać od ludzi żyjących od dziesięcioleci w ustroju, gdzie władza arbitralnie narzuca prawa i dowolnie przestrzega je bądź łamie. I wreszcie ujawniała się tłumiona latami nienawiść do komunistycznej władzy. Przykład Otwocka, gdzie tylko działacze KOR-u uratowali milicjantów przed linczem, jest wysoce symptomatyczny; cały incydent został spowodowany przez przypadek — milicjant chciał kupić papierosy poza kolejką (choć ponowne podpalenie budynku komendy było ewidentną robotą UB). Do podobnych sytuacji mogło dojść w dziesiątkach innych miast, gdzie lokalne posterunki policji cieszyły się równie złą sławą jak w Otwocku. Policja symbolizowała w świadomości społeczeństwa zniechęconą władzę i przyczyny wszystkich jego poniżeń i udręk. Wśród zdesperowanych załóg robotniczych nierzadko pojawiały się hasła: „wieszać komunistów!”. I znów trzeba podziwiać ludzi za to, że mimo wielu ubeckich prowokacji ani razu nie doszło do starć.

Atmosfera zagrożenia była umiejętnie podsycana przez reżymowe środki przekazu, ale powstawała także dlatego, że wreszcie można było mówić i pisać o problemach przedtem zakazanych: o ilości przestępstw i liczbie skazanych, o warunkach w więzieniach i obozach koncentracyjnych, o alkoholizmie i o narkomanii wśród młodzieży. Natomiast telewizja — ściśle wedle koszmarnych wzorów sowieckich — specjalizowała się w eksponowaniu rzekomych zagrożeń zewnętrznych. Pokazywano sprawozdania z konferencji prasowych wysokich oficerów kontrwywiadu, którzy informowali o setkach szpiegów działających jako zachodni dziennikarze, o nawiązywaniu przez nich kontaktów z ludnością i wypytywaniu jej o warunki życia w Polsce, o masowym werbunku rodaków wyjeżdżających za granicę do współpracy z CIA. Wszystko to stanowić miało bezpośrednie zagrożenie interesów państwa i narodu wydanego na żer amerykańskiego imperializmu i „zachodnich ośrodków antypolskich”.

Idźmy jednak dalej. Przecież braki na rynku w znacznym stopniu były świadomie powodowane przez władze, które nasilając kampanię propagandową przeciw „Solidarności” równocześnie nie godziły się na społeczną kontrolę dystrybucji towarów. A czy chaos gospodarczy był wyłącznie wynikiem strajków? To przecież władze paraliżowały próby reformowania gospodarki i wprowadzenia samorządności przedsiębiorstw.

Tak oto wygląda argument o „normalizacji” i „przywróceniu ładu i porządku”, jeden z głównych atutów WRON-y. Drugim propagandowym „tuzem” jest wersja o sowieckim szantażu. Temu

zagadnieniu poświęciłem już swego czasu nieco miejsca, dorzucmy zatem tylko kilka uwag.

Za rzecz najważniejszą dla świadomości Polaków uważam zastąpienie emocjonalnego odruchu nienawiści do Rosji właściwym rozeznananiem stopnia i charakteru zagrożenia substancji narodowej przez system sowiecki (czy ktoś postawi kiedyś pytanie, w jakim stopniu sami Polacy są odpowiedzialni za dramat 13 grudnia?). Oczywiście poza wszelką dyskusją jest to, że raz jeszcze tragicznie doświadczyliśmy skutków przymusowego udziału w tzw. „obozie socjalistycznym”. Nie zmienia to jednak faktu, że „zagrał” także drugi z koronnych (a fałszywych) argumentów Jaruzelskiego — szantaż sowiecki. Ten chwyt zastosowano nawet wobec członków Rady Państwa, gdy przedłożono im do podpisu dekret o stanie wojny; „400 metrów stąd Kulikow czeka na decyzję”. Czy gdyby członkowie rady odmówili złożenia podpisu, do Polski natychmiast wkroczyłaby Armia Czerwona? Sądzę, że zastosowanoby wówczas inny, także nielegalny wybieg dla proklamowania autookupacyjnej wojny.

Jeśli przyrzeć się taktyce ZSSR wobec Polski doby „Solidarności”, można dostrzec pewien logiczny schemat: kordon sanitarny, restrykcje polityczne i gospodarcze, jawne groźby. Ale gdyby 13 grudnia był scenariuszem przygotowanym w Moskwie, to czyż Kreml nierozsądnie podejmowałby tyle akcji, które później posłużyłyby Reaganowi dla dowodzenia zakresu sowieckiej ingerencji w Polsce? Istnieje natomiast wiele dowodów (listy aresztowanych czy tekst znany pod nazwą „Jak zniszczyć 'Solidarność'”), że 13 grudnia był przygotowywany od wielu miesięcy przez polskie władze. I warto w tym miejscu przypomnieć zaopoznany a ważny epizod z najnowszej historii stosunków polsko-sowieckich: w grudniu 1970 roku Gomułka traktując wystąpienia robotników w kategoriach kontrrewolucji, zdecydowany był „bronić socjalizmu” przy użyciu policji i wojska, tymczasem Breżniew optował wówczas za rozwiązaniem politycznym.

Do tej pory nie podjęto analizy różnic między rokiem 56 na Węgrzech, 68 w Czechosłowacji i 81 w Polsce. Opatrywanie wszystkiego wspólnym mianem sowieckiej interwencji jest intelektualnie nierzetelne, pomija bowiem fakt umacniania się systemu komunistycznego: dla obrony interesów ZSSR w Polsce tym razem nie były potrzebne czołgi „przyjaciół”.

Upraszcza sprawę S. Kisielewski<sup>3</sup>: „to wszystko wymyślili Rosjanie”. Myślały nad tym — i to długo — polskie głowy. I stąd teza aby, skoro nie możemy Rosji pokonać — przekonać ją, grzeszy oderwaniem od politycznych realiów systemu. Prze-

konywać konkwistadorów z Kremla, że komunizm jest zły — zaiste, oryginalny pomysł! Kisielewski proponuje, aby najpierw wyjednać zgodę ZSSR na zmiany w Polsce, tymczasem 65 lat systemu sowieckiego pokazuje wyraźnie, że najbardziej realistyczna polityka wobec Moskwy to metoda faktów dokonanych. Trudno oczekiwać błogosławieństwa Kremla dla desowietyzacji Polski, ale można do niej dążyć wymuszając ustępstwa na sowieckiej ekspozyturze w Warszawie.

Jeśli miałbym wybierać między dwiema interpretacjami polskiej wojny: czy Jaruzelski został zaszantażowany przez Moskwę, czy też z nią współdziałał? — wybrałbym tę drugą odpowiedź. Interesy władzy komunistycznej w Polsce i interesy jej sowieckich protektorów są bowiem te same.

Zatem operacja 13 grudnia to nie „przywrócenie ładu i porządku”, nie ratowanie kraju przed katastrofą i nie ślepe wykonanie rozkazów Moskwy: to obrona aparatu władzy, którego jedynym prawdziwym argumentem jest przemoc.

Wspomniałem na początku o zasadniczych sprzecznościach kształtujących obecną sytuację w Polsce a które będą wpływać na przyszły *modus vivendi*. Najważniejszy jest czynnik psychologiczny: istnienie „Solidarności” unicestwiło jeden z elementarnych mechanizmów zniewolenia w systemie komunistycznym — równowagę strachu i nienawiści. Zadekretowana autookupacja nie zdołała przywrócić balastu strachu w takiej postaci, w jakiej istniał on przez dziesięciolecia. Operacja 13 grudnia wielokrotnie nienawiść społeczeństwa do władzy. Błędne koło polega na tym, że obecnie wszelkie ustępstwa reżymu poczytywane są za jego słabość i przyczyniają się do wystąpień ludności (*vide*: wypadki majowe). Równocześnie cała akcja propagandowa prowadzona przez podziemie (prasa, ulotki, hasła na murach etc.) mobilizuje nastroje społeczne przeciw władzy, ta ostatnia z kolei kontynuuje politykę represji. Czy w tej sytuacji realna jest w ogóle ugoda narodowa lub postulat przywrócenia atmosfery zaufania? Większość tekstów programowych głosi wszakże ideę „ugody narodowej”, co byłoby — *mutatis mutandis* — powtórzeniem porozumień z sierpnia 1980 roku. Władza, nauczona doświadczeniem kilkunastu miesięcy, kiedy coraz bardziej ograniczano jej egzekutywę, nie chce powrócić do podobnej sytuacji. Z punktu widzenia jej logiki jest to całkiem zrozumiałe; władza — ujmując rzecz ontologicznie — przestawała być władzą, groziło jej unicestwienie i 13 grudnia był odruchem (choć rzetelnie przygotowanym) samoobronnym, dla zachowania władzy w jej „normalnym” statusie. Po wtóre w Sierpniu i później w czasie wielu rozmów „Solidarności” z rządem skutecznie działał mit jedności narodowej („Polak z Pola-

3. S. Kisielewski, „Was nun, kleiner Pole?“, *Der Spiegel* nr 14 (1982).

kiem”), a skuteczność ta wynikała ze społecznej potrzeby przyjęcia mitu za rzeczywistość. Po 13 grudnia z mitu pozostały żałosne szczątki, uparcie ekshumowane przez oficjalną propagandę. I wreszcie rzecz najważniejsza — spójrzmy na sprawę z szerszej perspektywy — Sierpień wcale nie zażegnał konfliktu społeczeństwo-władza, a wprost przeciwnie — zapoczątkował go w nowej, szerszej formie, i niejako zadekretował. Treści umów i porozumień nie były przy tym najważniejsze (z wyjątkiem głównego punktu — legalizacji autentycznych związków zawodowych, co było tożsame z uznaniem podmiotowości społeczeństwa); poprzez zmianę sytuacji każdego obywatela wydobyto na światło dzienne zasadniczą sprzeczność między władzą typu sowieckiego a opanowanym przez nią społeczeństwem, sprzeczność skrytą uprzednio w powszechnie obowiązujących w systemie komunistycznym konwencjach życia zbiorowego. Dalsze „linie frontu” były już zależne tylko od taktycznych posunięć władz (do 13 grudnia była to — generalnie rzecz biorąc — taktyka defensywna) i kierunku żądań społecznych, zależnych z kolei od problemów lokalnych, inicjatyw działaczy związku, sytuacji społecznej czy zawodowej danej grupy ludności.

Naszkicowany tu schemat obowiązuje w pełni po 13 grudnia, zmieniała się tylko taktyka władz i w pewnym stopniu treści społecznych żądań, co jest prostym następstwem stanu wojny z jego dorobkiem inwentarza (obozy, represje, procesy itp.). Postulowana ugoda mogłaby tylko zamaskować zasadniczy konflikt między ludnością a władzą. Konflikt ten — prędzej czy później — będzie musiał się zaostrzyć; władza komunistyczna i społeczeństwo dysponujące choć jednym demokratycznym prawem — to woda i ogień. Źródło napięcia wykracza daleko poza plan polityczny; jest nim podstawowa sprzeczność postaw — władza typu sowieckiego, która nie może przestać być sobą i społeczeństwo, które nie zrezygnuje ze zdobytej podmiotowości.

Władza komunistyczna nigdy nie działała i nie będzie działać na korzyść społeczeństwa jej podporządkowanego, nie będzie podpisywać umów by ich przestrzegać — przestałaby wówczas być sobą, co równałoby się jej świadomemu samobójstwu. Wszystkie ustępstwa władzy sowieckiej na przestrzeni 65 lat, zarówno wobec własnych społeczeństw jak i świata zewnętrznego, miały na celu jej obronę i przygotowanie pozycji dla odzyskania utraczonych terenów. Jaruzelski przeprowadził operację 13 grudnia nie po to, by rozwiązać dramatyczną sytuację i ratować polską gospodarkę (wierzy w to wielu zachodnich komentatorów), lecz by bronić władzy komunistycznej i niszczyć autentyczny dorobek społeczeństwa.

Z czysto logicznego punktu widzenia jedynym pozytywnym dla nas rozwiązaniem byłaby likwidacja władzy sowieckiej w Polsce. Polityka to jednak sztuka realiów i ten ma rację, kto potrafi je właściwie ocenić. Nawet dostrzegając nieprzystosowalność postulatów „ugody narodowej” do samej istoty rozgrywającego się w Polsce konfliktu, występowanie z programem ostatecznego obalenia komunizmu uznać należy za absurd.

Władze wykonały szereg gestów: znosi się stopniowo prawo wojenne (nigdy zresztą nie było ono egzekwowane z całą surowością), zwalnia internowanych etc. Są to sygnały, za pomocą których rządzący chcą zapewnić ludność o swej „dobrej woli” i gotowości do pewnych koncesji w porównaniu z okresem przedsierpniowym (towarzyszy temu krytyka „błędów i wypaczeń” lat gierkowskich i subtelne ewokowanie poczucia solidaryzmu narodowego z roku 56). Z pewnością jednak nieprzekraczalną dla władz granicą jest sprawa przywrócenia wolności związków zawodowych (widzieliśmy, jak z jednego wyłomu w strukturze sowieckiego ustroju rodziły się wszelkie inne demokratyczne prawa, z wolnością słowa i sumienia włącznie). Dlatego też — pomimo tej restrykcji — należy niezależnie od postulatów „ugody narodowej” i wbrew władzom — rozszerzać zakres autentycznej podmiotowości społecznej, jeśli trzeba — to w podziemiu, z pełną świadomością, że podziemie to może potrwać wiele lat.

Kiedy dziś, z perspektywy 6 miesięcy, patrzy się na „polską wojnę”, z satysfakcją można stwierdzić, że wiele dokonano dla destrukcji reguł systemu komunistycznego. Pomimo represji wielu ludzi przełamuje dyktowaną przez reżym barierę postaw czy gestów dozwolonych, powstaje osobliwa gra znaczeń jako symboliczny wyraz sprzeciwu (przypomnijmy chociażby spacerzy czy noszenie oporników). Zmalał strach — w akcjach protestu uczestniczą dziesiątki tysięcy ludzi. Zbiorowa świadomość wyzwala się z wielu obciążeń i szablonów: obecnie mówi się częściej o „okupacji wewnętrznej” niż o „sowieckiej interwencji”, rogatywki na głowach okupantów nie przekonują nikogo o ich służbie narodowym interesom. Zaniechano zacieklej walk personalnych prowadzonych przed wojną w kierownictwie związku i wreszcie podjęto dyskusję o stanowisku Kościoła. Ten ostatni problem jest typowym przykładem ujemnych skutków polaryzacji ocen, którą narzuca sam fakt istnienia dyktatury. Uprzednio głosy krytyczne pod adresem Kościoła (*Kultura*) wywoływały burzę i poczytywane były wręcz za oszczerstwo. To prosty rezultat zachwiania proporcji; po latach przemilczeń każda opinia krytyczna i sama jej przyczyna urastają w społecznym odbiorze do niezastępowalnej wielkich rozmiarów. Uważam, że pomimo politycznych potknięć i

dwuznacznych wypowiedzi przedstawicieli Episkopatu Kościół cały czas broni interesów społecznych i nie grozi mu utrata niezależności czy autorytetu moralnego. Otwarta dyskusja o statusie hierarchii może tylko dopomóc Kościołowi w lepszym wyczeniu nastrojów i oczekiwań społeczeństwa.

I jeszcze jedno: sytuacja w Polsce nie jest wewnętrznym problemem naszego kraju. Przypominam tę banalną prawdę, bowiem propaganda bloku sowieckiego gorliwie eksploatuje pozór „wewnętrznego problemu Polski” w antyamerykańskiej kampanii, zaś niektórzy zachodni politycy znajdują w tej formule alibi dla faktycznej akceptacji stanu wojennego. Otóż „Solidarność” w Polsce stanowiła i stanowi ogromne zagrożenie dla całego światowego komunizmu sterowanego z Moskwy. Po wtóre: zmiany w każdym kraju komunistycznym są w znacznym stopniu uzależnione od postawy Zachodu wobec całego bloku sowieckiego. Jak ta postawa wygląda — wiemy dobrze i nie trzeba było do tego wybuchu konfliktu między Stanami Zjednoczonymi a Europą Zachodnią na tle rozszerzenia sankcji amerykańskich wobec ZSSR. Sprawę przesądził nieudany szczyt w Wersalu, gdzie ostatecznie nie powiodła się próba Reagana doprowadzenia do reorientacji polityki ekonomicznej Zachodu wobec bloku sowieckiego. Z „polskiej wojny” nie wyciągnięto zatem żadnej nauki i jest rzeczą oczywistą, że nawet w wypadku zaostrzenia konfliktu w Polsce i wzmocnienia sowieckich nacisków nie możemy liczyć na skuteczne kroki całego Zachodu (kto rozumie komunizm ten wie, że deklaracje oburzenia i słowne protesty nie mają się tego systemu w najmniejszym stopniu). Problem sprowadza się do biegunowej odmienności dwóch systemów politycznych — zachodnioeuropejskiego i sowieckiego; rozwój współpracy gospodarczej uzależnia Zachód od ZSSR, a nie odwrotnie.

Polskie perspektywy nie są zatem zbyt optymistyczne, a w nadziejach naszych musimy uwzględnić niekorzystny współczynnik światowej sytuacji politycznej. Wola oporu nie słabnie jednak i chociaż Jaruzelski zdołał zadać wielkie straty społeczeństwu, gospodarce i kulturze narodowej, władza nie wygra tej wojny. Może się ona zakończyć rozejmem, który da społeczeństwu szerokie możliwości działań wolnościowych. Ale — powtórzę się raz jeszcze — ich skuteczność zależeć będzie nie tylko od heroizmu i poświęcenia, lecz także od rewizji wielu emocjonalnych postaw i stylu politycznego myślenia, które winno sprostać tej osobliwej i nowej sytuacji, w jakiej znalazła się Polska.

Tomasz MIANOWICZ

Paryż, w czerwcu 1982

## Relacja z Nowej Huty

Dni poprzedzające 31 sierpnia 1982 roku były niezwykle nerwowe: — W radio i telewizji pogrozki przeplatane informacjami o sukcesach milicji w demaskowaniu podziemia. Część tych informacji była z pewnością nieprawdziwa, jak np. ta o aresztowaniu w Krakowie kilkunastu osób związanych z jednym z nielegalnych wydawnictw.

— Ulice w Krakowie były opustoszałe. Rynek wyludniony. — Mnożyły się „zatrzymania”, wezwania i przesłuchania osób, nawet luźno związanych z „Solidarnością”.

— Część mieszkańców Krakowa wyjechała, niekiedy na polecenie kierownictwa podziemia, a część mieszkała poza domem.

Jedynym tematem rozmów były zbliżające się wydarzenia, ewentualne nadzieje władzy, masowość udziału robotników... Powszechnie obawiano się rozlewu krwi — możliwości użycia broni. Praktycznie nawet osoby bardzo zaangażowane w pracę podziemia nie były w stanie przewidzieć, jak masowe będą demonstracje, jak będą przebiegać i jak przygotowani są robotnicy do spotkania z ZOMO.

— Na ogół bardzo pozytywnie oceniano list Episkopatu z ostatniej niedzieli, który „nie zabraniał” manifestacji i udziału w nich.

31 sierpnia rano miałem umówione spotkanie w Krakowie, w związku z czym do Nowej Huty dotarłem na kilkanaście minut przed wyjściem robotników z kombinatu.

Wiem, że wielu krakowian już rano pojechało do Nowej Huty, licząc się z trudnościami dotarcia przed kombinat w czasie bezpośrednio poprzedzającym manifestację.

Dojechałem taksówką bez przeszkód, najpierw pod kościół, który był już otoczony przez bardzo liczne grupki ubeków, siedzących po kilku na ławkach, spacerujących lub stojących w grupkach wokół kościoła. Dojeżdżając do kombinatu widziałem zebrany po obu stronach drogi tłum spoglądający w stronę kombinatu. Wśród tłumy znajdowali się chłopcy rozrzucający ulotki (dwie z nich podniosłem później z chodnika, były niepodpisane, z treścią „nie oddamy Sierpnia” i ze znakiem Polski Walczącej; był to chyba stempel — wydrukowane były bardzo prymitywnie).

W tłumie przeważali mężczyźni w wieku 25-35 lat, ale było także dużo osób starszych i młodszych.

W poprzek ulicy stali zomowcy w pełnym rynsztunku bojowym; na razie nie zaczepiali nikogo. Z taksówki wysiadłem jakieś 200 metrów przed kombinatem, gdyż taksówkarz nie chciał jechać dalej. Z bramy wychodził już tłum robotników, który szedł mileżąco prawym chodnikiem.

Byłem kilkadziesiąt metrów od czoła pochodu, widziałem jak część robotników wsiada do tramwajów, zapelnili dwa, a trzeci do połowy. Tramwaje odjechały, nie zatrzymywane przez nikogo.

Po lewej stronie, już w mniejszych grupkach, ale nie wyprzedzając czoła, także szli robotnicy. Byłem niestety właśnie po tej stronie. Próbę przejścia przez płotek z siatki, oddzielający mnie od głównego pochodu, uniemożliwił mi atak ZOMO, które przy pomocy gazu i wody podzieliło zasad-

nicy pochód na dwie części. Czoło zostało zepchnięte w kierunku „zalewu” (zielone tereny stadionu po prawej stronie), reszta tłumu cofnęła się do głównego wejścia.

ZOMO zaatakowało również robotników po lewej stronie drogi, którzy „w zasadzie” nie demonstrowali. Ponieważ byłem właśnie wśród nich, dalszy opis wypadków pochodzi od innego uczestnika. Był on wysłany przez RKU w celu obserwowania manifestacji. Jego relacja jest więc w dużym stopniu wiarygodna. Jeśli idzie o mnie, to udało mi się dotrzeć do głównego pochodu dopiero przed samym kościołem, mimo że zomowcy starali się nas zatrzymać. Strzelano do nas gazami, ścigano sikawkami, widziałem że aresztowano tych, których dopadli — wśród nich i kobiety, nie wyłączając ludzi stojących na przystankach, zupełnie spokojnych i „niezaangażowanych”. Ludzie z tej grupy dochodzili do kościoła praktycznie pod koniec mszy; przez cały czas słychać było odgłosy walki z tymi, którzy właśnie udawali się na mszę.

Wracając do relacji z głównego pochodu: czoło pochodu, odepchnięte w kierunku „zalewu”, przebiegło przez stadion, dołączając w okolicy Orbisu do głównego pochodu, który po pierwszym ataku cofnął się, ale następnie już bardziej zwarty i nieatakowany podszedł pod sam kościół.

Wielu uczestników mówiło o wielkim portrecie Wałęsy z fajką, o sztandarach z napisem „Solidarność” i transparentach z nazwami zakładów pracy, które wysłały swoje delegacje na manifestację. Ja osobiście widziałem tylko jeden napis „Solidarność” wielkości półtora metra na metr i bardzo nieudany portret Wałęsy, a obserwator na którego relacji się opieram tak samo nie widział ani wielkich transparentów, ani portretu.

Pochód jednak był zwarty. Robotnicy nieśli ze sobą kamienie i nic więcej, wznosili okrzyki „Reżym precz!”, „Solidarność, Solidarność!”, „Zwolnić Lecha!”.

Kamieni użyto tylko raz przeciwko autobusom wypełnionym zomowcami. W okolicy Placu Centralnego kolejno nadchodzące grupy robotników rzucały kamienie do autobusów, wybito wszystkie szyby, zomowcy leżeli na podłogach, przykrywając się tarczami.

Pochód ominął napotkany oddział ROMO, nie zaczepiając go (ROMO to robotnicy przebrani w mundury milicji). Nie gwizdano nawet, ale i nie zaprzestano skandowania na widok odświętnie umundurowanych w tym dniu milicjantów, kierujących ruchem, którzy zatrzymywali autobusy, żeby przepuścić tłum.

Streszczając można by powiedzieć, że ZOMO głównie ścigało niezorganizowanych, zaś główny pochód, nie licząc pierwszego ataku, przeszedł triumfalnie przez miasto, dotarł do kościoła na jakieś pół godziny przed mszą, wypełnił kościół i okolice, spokojnie czekając na księży.

Uroczystą mszę św. celebrowało 25-ciu księży, koncelebrował ks. Gorzelany, proboszcz parafii w Bieńzycach. Po Ewangelii ksiądz powiedział, że w związku z istniejącą sytuacją rezygnuje z kazania i prosi zebranych, aby „solidarnie wzięli się za ręce i indywidualnie pomodlili za Ojczyznę”.

Wszyscy wzięli się więc za ręce i podnieśli je w górę. Kiedy ksiądz poprosił, abymy uścignęli sobie dłonie w poczuciu jedności i braterstwa, widziałem, że wielu ludzi płakało.

Po mszy, klęcząc — też na prośbę księdza — śpiewaliśmy „Boże coś Polskę...”.

Przed Błogosławieństwem ksiądz poprosił, abymy spokojnie rozeszli się do domów, dodał że jesteśmy „otoczeni” i żebyśmy się nie dali sprowokować. Zanim jednak skończyliśmy się modlić, ZOMO zaatakowało nas gazem.

Nad kościołem pojawił się samolot lecący bardzo nisko, pomalowany na czerwono z gwiazdą na ogonie. I wtedy stało się coś, czego nie oczekiwałem. Tłum, jeszcze przed sekundą klęczący, poderwał się i ruszył do ataku na ZOMO. Kolejne grupy wychodzące spokojnie z kościoła z uniesioną w górę ręką i ze znakiem „V”, widząc co się dzieje, podrywały się do biegu. Widziałem jak próbowano przewrócić dwa autobusy z ZOMO (niestety bezskutecznie). Ludzie byli tak podnieceni, że dopiero atak skotów i polewaczek przegonił nas w kierunku osiedla. Widziałem jeszcze, jak kilka samochodów ZOMO podjechało do kościoła i ostrzelało go gazem, naboje wpadały do środka.

Biegnący tłum powstrzymywali ostrożniejsi, nawołując do zatrzymania się i obrony. Faktycznie zatrzymano się i zaczęto odrzucać gazowe naboje. Udana próba wrzucenia takiego naboju do samochodu milicyjnego, już w pierwszej minucie walki, dodała wielu ludziom animuszu i pobudziła do odważniejszego zachowania się.

Zaczęła się regularna walka z ZOMO na całym osiedlu. Tłum podzielił się jakby na trzy grupy: obserwatorów, walczących i — jak by to powiedzieć — harcowników.

Obserwatorzy niekiedy podrywali się do walki. Bojownicy czasem zmieniali się w harcowników, tym niemniej do końca utrzymał się powyższy podział. Obserwatorzy biegali, krzyczeli, gwizdali, bili brawa w zależności od sytuacji i cały czas zagrzewali do walki. Walczący wyłamywali płyty chodnikowe (w ten sposób zniszczono kilkunasto-, a niekiedy i kilkudziesięciometrowe odcinki chodnika). Obrzucano nimi skoty, polewaczki i samochody milicyjne. W czasie takiego ataku w powietrzu było szaro. Jedyne „harcownicy” mieli szanse na kontakt z ZOMO. Ścigali kilkunasto-, kilkudziesięcio- (do trzydziestu) osobowe oddziały, także przy pomocy kamieni. Walczący zatem skutecznie przeganiali pojazdy, a harcownicy — zomowców. Strzelano do nas z gazu, ale zwykle z takiej odległości, że trzeba było podbiec, by móc odrzucić nabój.

Widziałem chłopca, który wszedł na dach z transparentem „Solidarność”. Wszyscy bili mu brawo, milicja próbowała do niego strzelać gazowymi nabojami, ale jakoś nie trafiali, a chłopiec stał niewzruszony, nawet nie próbując się chować. Niestety był to jedyny element stwierdzający, że to „Solidarność” walczy, a szkoda, bo pojawienie się tego znaku „Solidarności” zostało przyjęte ogromną owacją.

Taka szarpanina trwała do godziny 18.30, kiedy to od Krakowa nadjechały posiłki: ponad 20 dużych samochodów ZOMO, ale zomowcy nawet nie wysiedli i po chwili wszyscy, łącznie z tymi którzy walczyli z nami od początku, odjechali w kierunku Krakowa.

Ludzi zaskoczyło to łatwe zwycięstwo. Nie rozchodzili się do domów, spacerowali, śmiali się, opowiadali sobie swoje spostrzeżenia — słowem świętowali zwycięstwo. Uformował się nawet mały pochodzik, który przemaszerawał między blokami, skandując zwykle hasła.

Podobno, ale tego już nie wiedzieliśmy, zatrzymano trzy autobusy udekorowane symbolami „Solidarności” i zmierzające do Nowej Huty z delegacjami z innych miast. Mówi się także, że łapano i bito milicjantów w cywilnych ubraniach, przy których znaleziono dowody świadczące o ich przynależności, i że rozbito samochód milicyjny, z którego filmowano zajścia.

Około godziny 19-tej, widząc, że nic się już nie dzieje, i sądząc, że główne zajścia odbywają się w Krakowie, co sugerował wyjazd ZOMO w tamtym kierunku, pojechałem do Krakowa. Tu jednak było spokojnie, czy w miarę spokojnie. Ludzie gromadzili się na Plantach, a ZOMO zagrażało wejście na Rynek. Od czasu do czasu podbiegali do nas w szyku bojowym, czasami nadjeżdżała polewaczka, ale w sumie nie dochodziło do walki. Trwało to do godziny 21-ej.

Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że w Nowej Hucie walki zaczęły się od nowa około godziny 21-ej i że walczone do 4-ej rano, zbudowano dwie barykady, że do końca walczone zwycięsko, zdobywając m.in. posterunek MO (nie ten główny, ale jakiś mniejszy w Bieńczycach), mówiono o spalonych samochodach milicyjnych.

Po 4-ej rano jeździła milicja i aresztowała najbardziej zagorzałych.

Z relacji z aresztu wiemy, że bardzo się nad nimi znęcano.

Według lekarza ze szpitala w Hucie wśród przywiezionych do szpitala nie było ofiar śmiertelnych. Najbardziej poszkodowani byli ci, których dosięgły z bliska pociski gazowe, którymi faktycznie strzelano do tłumu.

Reakcje po 31 sierpnia były wszędzie jednakowe: wszyscy widzieli w nich zwycięstwo. Strach przed ZOMO jak gdyby zniknął. Ludzie zaczęli rozmawiać między sobą śmieiej, wyraźnie nabrali oddechu. Podobne reakcje widzi się w Warszawie i w Gdańsku.

Wypowiedź Urbana z 1 września tym razem ubawiła ludzi, zamiast ich rozłościć, jak zwykle.

Tragiczne wiadomości z Lubina przyjmowano spokojnie. Pość uczestników zajęć oceniano na 40 tysięcy.

### LIST GOŃCZY\*

Komenda Wojewódzka Milicji Obywatelskiej we Wrocławiu poszukuje na podstawie listu gończego wydanego przez prokuratora rejonowego dla dzielnicy Wrocław - Śródmieście: Bolesława GLEICHGEWICHTA, s. Adama i Marii z d. Maierane, ur. 30. IV. 1919 r. w Warszawie, ostatnio zamieszkałego we Wrocławiu ul. Norblina nr 21, zatrudnionego w Uniwersytecie Wrocławskim wydział matematyki, fizyki i chemii.

Wymieniony podejrzany jest o to, że jako członek Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w Uniwersytecie Wrocławskim nie odstąpił od kontynuowania działalności związkowej, mimo jej zawieszenia, lecz wziął udział w organizowaniu strajku w gmachu głównym tej uczelni oraz kierował jej przebiegiem.

Jednocześnie ostrzega się, że za ukrywanie poszukiwanego lub dopomaganie mu w ucieczce grozi kara pozbawienia wolności od 3 do 15 lat.

\* Poważne angielskie pismo naukowe *Nature* (vol. 298, p. 782, z 26 sierpnia 1982) zamieściło kopię listu gończego za Bolesławem Gleichgewichtem. List gończy ukazał się we wrocławskiej *Gazecie Robotniczej*. *Nature* przypomina, że profesor Bolesław Gleichgewicht jest jednym z najwybitniejszych polskich matematyków, że działał w Uniwersytecie Łatającym i był jednym z założycieli Solidarności na Uniwersytecie Wrocławskim.

### MASAKRA W OBOZIE W KWIDZYNIU

Wyrażamy nasz stanowczy protest z powodu brutalnego pobicia w dniu 14 sierpnia naszych kolegów internowanych w obozie w Kwidzynie. Potępiamy ten fakt dokonany z całą premedytacją. Domagamy się ukarania winnych znęcania się nad bezbronnymi. Wyrażamy naszą solidarność kole-

gom internowanym w Kwidzynie. Zwracamy się do autorytetów moralnych, do opinii publicznej w kraju i za granicą o obronę więzionych i internowanych przed aktami samowoli i brutalności.

Internowani w Darłównku: Krzysztof Sliwiński — Jan Ajzner — Wiktor Woroszyński — Stanisław Ugniowski — Józef Kuśmierk — Wojciech Bogaczyk — Andrzej Stojda — Andrzej Celiński — Tadeusz Mazowiecki — Bronisław Geremek — Stefan Amsterdamski — Wojciech Brojer — Andrzej Drawicz — Dariusz Kupiecki — Wiesław Kęcik — Piotr Mroczyk — Andrzej Czuma — Jerzy Krzysztof Borowiecki — Wojciech Zygmunt Łomiński — Jarosław Suzy — Andrzej Zieliński — Zygmunt Golawski — Stefan Niesiołowski — Adam Brodziak — Krzysztof Korczak.

### BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 333 — PAWEŁ ZAREMBA

## HISTORIA DWUDZIESTOLECIA

(1918 - 1939)

(w 2-ach tomach)

Do druku przygotował Marek Łatyński

Tom I-szy str. 240.

Tom II-gi str. 432.

Cena I/II F. 170,00.

„Historię” można nabywać tylko w całości.

TOM 343 — MARIA JANUSZKIEWICZ

## KAZACHSTAN

Polacy w Kazachstanie w czasie wojny 1939-1945 i później aż do repatriacji do Polski. — Resztki zesłańców polskich z Ukrainy z lat trzydziestych.

Str. 200.

Cena F. 55,00.

## Sąsiedzi

### W sowieckiej prasie

W depeszy TASS-a z 1 września br. wydarzenia 31 sierpnia przedstawione są następująco: „Dziś o zmierzchu pojawiły się na ulicach Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Gdańska i kilku innych miejscowości chuligańskie elementy, które uformowały się w pochody. W stolicy Polski punktem zbiegowiska był Plac Zamkowy, na którym znajdują się miejsca kultu...”. Po tej delikatnej aluzji do roli Kościoła TASS stwierdza, że „antysocjalistyczne podziemie sprowokowało konflikt”, żeby pokazać, że „siły kontrrewolucji nie zostały jeszcze ostatecznie złamane”. TASS konkluduje z zadowoleniem: „Absolutna większość przedsiębiorstw i zakładów pracy spędziła dzień w atmosferze spokoju i normalnego procesu pracy... Polski lud pracujący nie poparł prowokatorów”. Depesza TASS-a z 1 września nosi tytuł „Sytuacja w Polsce”; depesza z 2 września nazywa się już całkiem spokojnie „Atmosfera w Polsce”. W drugiej depeszy TASS informuje z satysfakcją, że „[polscy] ludzie pracy przyznają słusność twardej linii rządu”. 3 września gazety ogłosiły kolejną depeszę z Warszawy pod tytułem „Posiedzenie WRON”, a 4-go pod tytułem „Posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR”. Miało to znaczyć, że w Polsce panuje porządek, a „nasi ludzie” twardo trzymają władzę w rękach.

Czytając polskie materiały z prasy sowieckiej, nietrudno dojść do wniosku, że w Moskwie oczekiwano konfrontacji. Począwszy od drugiej dekady sierpnia, coraz częściej pojawiały się artykuły i korespondencje na temat przestępczej działalności „sprzedawczyków”, „prowokatorów” i „dywersantów”. 11 sierpnia np. korespondent *Literaturnoj Gazety* doniósł z Paryża, że udało mu się zdemaskować w stolicy Francji „trzy pokolenia dywersantów”. Do pierwszego pokolenia zaliczył „znajdujący się pod Paryżem miesięcznik *Kultura*, który” — strach pomyśleć! — „jeszcze w okresie zimnej wojny domagał się zmiany umów jałtańskich”. Mało tego, *Kultura* „popadła w zależność od CIA”. Na to sowiec-

ki korespondent może nareszcie przedstawić dowód. Cytuje mianowicie list Jana Józefa Lipskiego, „skarbnika KSS KOR” do redaktora *Kultury*, Jerzego Giedroycia. W liście tym czytamy czarno na białym: „Pragnę z całego serca podziękować Panu za inicjatywę zbierania pieniędzy dla naszej organizacji...”. Sowiecki czytelnik musi podziwiać odwagę sowieckiego dziennikarza, któremu udało się zdobyć tajny list o zbiorce pieniędzy „dla organizacji”... Wiadomo przecież, że organizacja ta „została założona w maju 1975 roku przez agenturę CIA w Genewie”... Ponieważ sowiecki dziennikarz „wie”, że KOR został założony przez CIA, a Jerzy Giedroyc podjął inicjatywę zbierania pieniędzy dla KOR-u, nie ulega wątpliwości, że Jerzy Giedroyc „popadł w zależność od CIA”.

Do „drugiego pokolenia dywersantów” sowiecki dziennikarz zalicza, o dziwo, francuskie reformistyczne związki zawodowe CFDT, „Force Ouvrière” i stowarzyszenie „Solidarité France-Pologne”, do trzeciego zaś Seweryna Blumsztajna i Aleksandra Smolara.

Nie ograniczając się do opisów knozań „wrogów socjalistycznej Polski” za granicą, sowieccy dziennikarze nie żałują śliny i jadu na opłukiwanie uwięzionych „prowodyrów” KOR-u i „Solidarności”. Artykuł opublikowany 25 sierpnia w *Literaturnoj Gazecie* wyróżnia się spośród licznych mu podobnych subtelnym chwytem literackim: demaskując Jacka Kuronia, autor nieodmiennie nazywa go „panem Kuroniem”. Niemało jest jeszcze obywateli sowieckich, którzy pamiętają pieśń *pomniat psy-atamany, pomniat polskije pany konarmiejskije nasi klinki* — ci łatwo rozszyfrują aluzję. Poza tą aluzją nie ma w artykule oskarżeń, które by się nie powtarzały we wszystkich innych: KOR „przywłaszczył sobie kasę związkową”, „oddawał się hulaszczemu życiu” itd. Autor dorzuca pikantny szczegół: „13 grudnia, w noc internowania, pana Kuronia zastano w towarzystwie dwóch pań lekkiego prowadzenia”. Konkluzja autora to wyrok bez apelacji: „Garbatego tylko mogiła wyprostuje”.

Znacznie ciekawsze są korespondencje z Polski specjalnego wysłannika *Literaturnoj Gazety* Wiktora Coppi. W pierwszej z nich — z 18 sierpnia — wyłożył oficjalne stanowisko Kremla wobec polskich wydarzeń z ostatnich dwu lat; w drugiej — z 8 września — sformułował program na przyszłość.

Pierwsza korespondencja nosi tragi-optimistyczny tytuł, zgodny z zasadami socrealizmu: „Chcieliby ukrzyżować Polskę”. Ukrzyżowanie Polski to dla sowieckiego dziennikarza tragedia. Ale tylko chcieli, nie udało im się! W korespondencjach Wiktora Coppi roi się od wspaniałych Polaków nienawidzących „Solidarności”, co drugie słowo cytujących Lenina, dziękujących sowieckim ludziom za pomoc i przekonanych o świetlanej przyszłości socjalistycznej Polski. Sowiecki dziennikarz nie wymienia ich z nazwiska (podaje tylko imiona — Stanisław, Zygmunt, Jerzy), bo jego bojowi rozmówcy boją się, że ich „powieszą”.



Pierwsza korespondencja specjalną uwagę poświęca strajkowi w stoczni gdańskiej. Rozmówca W. Coppiego, „inżynier Stanisław”, tam był, wszystko widział i odważnie się chował, „żeby go nie powiesili strajkujący”. Stanisław wszystko wie: „Pożar (chodzi mu o strajk i ruch „Solidarności”) był wynikiem umyślnego, przestępczego podpalenia. Mechanizm antysocjalistycznego, antypolskiego spisku budowano od wielu lat”. Począwszy od ranka 14 sierpnia 1980, wszystko toczyło się „według scenariusza, dokładnie opracowanego przez podziemną kontrrewolucyjną grupę KSS KOR”. Zgrzytając zębami z oburzenia, „Stanisław” opowiada jak to nikczemni kontrrewolucjoniści w pierwszym rzędzie zmusili do strajku pracowników stoczni im. Lenina, huty im. Lenina, kopalni im. Lenina. Jeden z rozdziałów korespondencji zatytułowany jest „terror pod osłoną ołtarza”: „Znany w naszych krajach z zagorzałego antykomunizmu ksiądz Hilary Jastek wygłosił kazanie w stoczni im. Komuny Paryskiej”. Swą niekończącą się relację „Stanisław” zamyka ufnie: „Wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia ubiegłego roku wstrzymało proces demontażu socjalizmu”.

Druga korespondencja nazywa się rzeczowo: „Nie wałęsować, a pracować!”. Opublikowana została już po wydarzeniach z 31 sierpnia: „wszystkie przedsiębiorstwa i zakłady pracowały normalnie” — zapewnia gazeta. — „Kontrrewolucja tym razem nie przeszła”. Problemy jednak zostały. Zdaniem korespondenta *Literaturnoj Gazety* najtrudniejsze już za nami, pozostaje tylko rozwiązać parę drobnych kwestii. Autor od niechcenia rozwiązuje „drobną kwestię” Lecha Wałęsy, „człowieka z żelaza”, o którym Andrzej Wajda „naprędce skleił film pod takim właśnie tytułem”. Lech Wałęsa, „postawiony” (przez kogo? — A.K.) na czele „niezależnego związku zawodowego Solidarność” — to „pospolity mieszczuch do szpiku kości, który w życiu nie przeczytał ani jednej książki, człowiek o bardzo wąskim horyzoncie politycznym”.

Z Lechem Wałęsą rozprawić się łatwo, bo jest w izolacji. Pozostają jednak inne problemy. W prasie sowieckiej niewiele znajdziemy materiałów nie sprowadzających się do obelg, lecz wytaczających poważne zarzuty Moskwy; kiedy się jednak pojawiają, brzmią zawsze tak samo. Przede wszystkim chodzi o główną skazę na polskim socjalizmie — „istnienie prywatnego sektora — bazy sił rewizjonistycznych” (*Prawda* z 26 sierpnia). Wiktor Coppi szczegółowo tłumaczy, o co chodzi: stosunki między miastem i wsią to najtrudniejszy problem, socjalistyczna własność środków produkcji stoi w sprzeczności z prywatną własnością w rolnictwie, które „zatrudnia 3 miliony indywidualnych rolników”. Od nich pochodzi „lwia część produkcji rolnej”, a są wśród nich „biedniacy, średniacy i kułacy”. „Nie przypadkiem — pisze sowiecki dziennikarz — reakcyjne kierownictwo Solidarności apelowało do wiejskich wyzyskiwaczy-bogaczy i skleiło z nich świętej pamięci 'Solidarność wiejską’”. Coppi nie

mówi jeszcze w jaki sposób należy rozwiązać ten problem, ale oznajmia, że wielu jego rozmówców jest bardzo niezadowolonych z tego, że „socjalistyczne państwo nadal sprzedaje chłopom państwową ziemię”.

Poza tym Coppi dostrzega w Polsce jeszcze cztery problemy: bałwochwalczy stosunek do wszystkiego, co zachodnie (w dośrodku stalinowskich czasach nazywało się to „ukłonem przed Zachodem”), liberalizm władzy, która „patrzyła rzez palce na prawie jawną działalność kontrrewolucyjnych grup”, niedostatek uwagi poświęcanej wychowaniu młodzieży i nieumiejętne kierowanie inteligencją.

Reasumując dwuletnią walkę między polskimi władzami komunistycznymi a narodem, prasa sowiecka dochodzi do optymistycznych wniosków: niebezpieczeństwo destabilizacji reżymu zostało zażegnane. Pozostały problemy, z których tylko jeden — zasięg prywatnego sektora w rolnictwie — ma charakter strukturalny. Wszystkie pozostałe łatwo rozwiązać w drodze represji: wystarczy zdelegalizować wszystkie kontrrewolucyjne ugrupowania, zerwać, na ile to możliwe, związki z Zachodem, i wychowanie oddać w ręce partii. Za optymizmem sowieckiej prasy kryje się jednak strach. W Moskwie lepiej niż gdziekolwiek zdają sobie sprawę z rewolucyjnego charakteru polskiego ruchu robotniczego, z którego zrodziła się w 1980 roku „Solidarność”. Szczególne miejsce, jakie Polska zajmowała w obozie socjalistycznym, wynikało ze specyfiki polskiej historii (przede wszystkim stosunków polsko-rosyjskich i religii). Gdańscy stocznioicy pokazali wszystkim krajom socjalistycznym trzecią drogę — drogę solidarności.

Cechą wszystkich krajów socjalistycznych jest całkowity krach oficjalnej ideologii. Zniknęła wiara, został rytuał. Wobec braku konkurencji rytuał bez reszty zastępuje wiarę. Brak wiary ostro odczuwa znaczna część mieszkańców krajów socjalistycznych, przede wszystkim Związku Radzieckiego. Pisarze tacy jak Walentin Rasputin, Wasilij Szukszin, Wiktor Astafiew wiernie opisali stan ducha ludzi, cierpiących na „głód mitu”: religia jest zakazana, wierze w socjalizm zadała kłam rzeczywistość, kapitalizm jest nie do pomyślenia... Polska „Solidarność” to nowa wiara, nowy mit, który znajdzie drogę do serc obywateli socjalizmu.

8 września 1982 roku troje pozostałych na wolności członków moskiewskiej Grupy Helsińskiej ogłosiło komunikat o jej rozwiązaniu. Założona w 1976 roku w Moskwie, Grupa Kontroli Przestrzegania Umów Helsińskich stała się wzorem dla podobnych ugrupowań na Ukrainie i w innych republikach. W maju 1978 roku aresztowany został założyciel tego ruchu, Jurij Orłow. Potem represje spadły na innych członków grup helsińskich. W 1980 roku zesłano do Gorkiego duchowego ojca ruchu obrony praw człowieka, Andrieja Sacharowa. Groźba aresztowania jaka zawisła nad Zofią Kalistratową, adwokatką dysydentów i człon-

kiem grupy, dopełniła czary. Zrodzona w latach 60-tych forma sowieckiej opozycji (ruch obrony praw człowieka) przestała istnieć. Środki, jakimi walczone — obrona praw człowieka, walka o przestrzeganie sowieckiego prawa, szukanie pomocy na Zachodzie — zostały wyczerpane. Nie oznacza to oczywiście końca przeciwników ustroju sowieckiego w ZSSR. Poszukują oni nowych form działania. Przykład i doświadczenie Polski nabierają coraz większego znaczenia. W ostatnich biuletynach SMOT-u (Wolny Ruch Międzyzwiązkowy, wydający jedno z ostatnich nielegalnych pism w ZSSR), jakie dotarły na Zachód, ogłoszono materiał wskazujący, że sowiecka opozycja przyswaja sobie polskie doświadczenia. *Biuletyn* nr 25 (grudzień 1981) zaczyna się od oświadczenia redakcji w związku z ogłoszeniem stanu wojny w Polsce: „...Warszawscy kolaboranci, sterowani przez kremlewskich wodzów, uciekli się w walce przeciwko narodowi do zamachu wojskowego. Komuniści zawsze tak robią, poczynając od roku 1917 i rozpędzenia Konstytuanty...”. Redakcja kończy zdaniem: „Nie tracimy nadziei, że Polacy nie pozwolą zamienić swej ojczyzny w 30-milionowy obóz koncentracyjny. Polacy, jesteście z Wami!”. Odpowiadając na list robotnika w sprawie strajków, redakcja powołuje się przede wszystkim na Polskę: „Jest to naczelné pytanie naszych czasów, nabierające szczególnej ostrości i aktualności w świetle walki polskich sił demokratycznych i patriotycznych”. Stwierdzając, że wielu ludzi uważa walkę strajkową za jedyną alternatywę dla ruchu terrorystycznego w ZSSR, redakcja wyraża pogląd, że „warunki u nas nie dojrzały jeszcze do organizacji masowych strajków...”. *Biuletyn* popiera natomiast zaproponowany w liście bojkot „czynów społecznych”.

Pod koniec 1981 roku w Moskwie przeprowadzono wśród 15 osób ankietę na temat perspektyw ruchu oporu. Wyniki ankiety opublikowano w samizdacie. Pytano m.in. o stosunek do wydarzeń w Polsce (przed grudniem 1981). Prawosławny publicysta odpowiedział, że „wydarzenia w Polsce są najważniejszą lekcją dla wszystkich grup opozycyjnych w ZSSR” i dorzucił, że „robotnicy starszego pokolenia, ogłupieni sowiecką propagandą, źle się odnoszą do Solidarności (*chleb nasz żrą!*), natomiast młodzi, którzy słuchają radia, na pewno dobrze”. 32-letni doker potwierdził: „W środowisku robotniczym pojawienie się Solidarności przyjmuje się różnie. Ten, kto choćby powąchał coś innego niż gazety — dobrze. A ten, kto się żywi *Prawdą* — źle”.

Wspomniany doker ocenił sytuację lakonicznie i trafnie (jak przykazano u Marksa). Wpływ polskich wydarzeń na Związek Sowiecki nie ulega wątpliwości: jedni popierają, inni się oburzają, wszyscy jednak — myślą. Władze moskiewskie opracowały kompleksowy plan środków zaradczych przeciw szkodliwym polskim wpływom. Dawno minęły miesiące niepewności, kiedy na Kremlu nie zdawano sobie do końca sprawy, co się w Polsce dzieje, a słów „strajk” i „związki zawodowe” trzeba było używać w znaczeniu, do którego ucho sowieckie nie przywykło. Okres

niepewności należy do przeszłości. Dziś dla Kremla jest jasne: grupa spiskowców-kontrrewolucjonistów oszukała i pociągnęła za sobą część ludności Polski. „Zrozumiawszy” to, Kreml poczuł ulgę: po 13 grudnia, kiedy udało się okupować Polskę siłami polskiego wojska, Moskwa przestała uważać wiecznie otwartą ranę na zachodniej granicy za niebezpieczną dla życia. „Położenie w Polsce” jest nieprzyjemne, kłopotliwe, ale zastoso- wane środki gwarantują — zdaniem Moskwy — że rana się zagoi. Problem Polski rozpatruje się dziś mniej więcej tak jak problem Afganistanu, tej drugiej niegojącej się, ale także izolowanej rany. W obu przypadkach Moskwa trzyma się surowej recepty: czas leczy wszystkie rany.

W Moskwie rozumieją oczywiście, że Polska to nie Afganistan, ponieważ jej przykład pozostanie żywy nawet jeśli uda się ją spacyfikować. Dlatego w polityce wewnętrznej ostatnich dwu lat kierownictwo sowieckie bierze przede wszystkim pod uwagę polską lekcję. Polska stała się poligonem, na którym wypróbowuje się środki do walki z potencjalnym ruchem oporu w ZSSR. Program, jaki korespondent *Literaturnoj Gazety* zaproponował swoim rozmówcom w Polsce, odpowiada dzisiejszej polityce wewnętrznej Moskwy. Bezlitosne represje, których zasięg przewyższa wszystko to, co Związek Sowiecki widział w ostatnich dwu dziesięcioleciach: bezwzględne wytrzebieenie wszystkich ruchów dysydenckich, aresztowania potencjalnych opozycjonistów, przesładowania grup religijnych, wzmożony nadzór nad fotokopiarkami i maszynami do pisania, drzwi na Zachód — i tak zamknięte na głucho — zaryglowane na drugi spust... Sowieckie supermocarstwo rezygnuje z automatycznych połączeń telefonicznych z Zachodem i przechodzi na połączenia zwykłe, przez centralę (podczas przebudowy sieci telefony wyłącza się całkowicie, albo psuje na całe doby).

Jednak nie represje są główną bronią partii. Represje dotyczą określonych grup i ludzi, ale prawdą jest, że — jak mówi sowieckie przysłowie — biją jednego, żeby wszyscy się bali. Na całość społeczeństwa skierowano o ileż potężniejszą broń — propagandę i agitację. Określenie „pranie mózgow”, zrodzone w idyllicznym okresie zimnej wojny, wydaje się dziś równie śmieszne jak lanca w porównaniu z kafasznikowem. Dziś mózg sowieckiego obywatela jest dosłownie wygotowywany. Głównymi obiektami szturmów ideologicznego są: inteligencja, która może zacząć myśleć i mieć wątpliwości, czy rzeczywiście konieczna jest kontrola partii nad myślą np. techniczną lub kulturalną; młodzież, która poddaje się „rozkładającym wpływom Zachodu” i aż się dusi w szarzyźnie realnego socjalizmu; ludzie wierzący, jeśli chcą się wydostać spod skrzydeł oficjalnej Cerkwi i Żydzi — syjonisci na etacie „wroga wewnętrznego”.

Na temat poziomu sowieckiej techniki, nawet wojskowej, można się spierać: latają sputniki, a brak igieł i szklanek. Wyższość sowieckiej techniki „wygotowywania mózgow” nie ulega kwestii. Od niedawna weszło na Zachodzie w modę określenie

dezinformacja, znane językowi sowieckiemu od pół wieku. We wrześniu br. ukazała się w Paryżu doskonała powieść francuskiego pisarza rosyjskiego pochodzenia, Władimira Wołkowa, poświęcona teorii i praktyce sowieckiej dezinformacji. Inteligentna, z wirtuozerią napisana książka, zatytułowana „Montaż”, opowiadająca o tym jak organizuje się dezinformowanie Zachodu, zasługuje na osobne omówienie. O jej charakterze daje jednak wyobrażenie choćby proponowana przez autora klasyfikacja sposobów dezinformacji; Władimir Wołkow (a ściślej jedna z postaci jego powieści — wysoki urzędnik KGB) wylicza dziesięć sposobów sporządzania tendencyjnej informacji: 1) kłamstwo, którego nie można sprawdzić; 2) mieszanina prawdy i kłamstwa; 3) zniekształcenie prawdy; 4) zmiana kontekstu; 5) prawda częściowa; 6) natarczywy komentarz; 7) ilustracja; 8) uogólnienie; 9) nierówno rozłożone akcenty; 10) równo rozłożone akcenty. Te na pierwszy rzut oka niejasne recepty stają się jasne na przykładzie. Władimir Wołkow bierze prosty przypadek — bezsporny fakt historyczny: Iwanow застаје żonę w łóżku z Pietrowem. Oto jak można podać ten fakt w prasie: 1) Jeśli nie było świadków, można napisać, że Pietrow zastał żonę w łóżku z Iwanowem; 2) Świadkowie byli — oświadczacie, że wprowadzicie Iwanow zastał żonę w łóżku z Pietrowem, ale dodajecie, że w zeszłym tygodniu Iwanowa zastała męża w łóżku z Pietrową; 3) Przyznajecie, że obywatelka Iwanowa znajdowała się w mieszkaniu Pietrowa, ale o żadnym łóżku nie może być mowy, bo Iwanowa siedziała na stole (albo na krześle), a do Pietrowa przybiegła, bo jej mąż — Iwanow — pije i tłucze ją; 4) Tak, to prawda że Iwanow zastał żonę w łóżku z Pietrowem, ale któż nie zna Pietrowa, maniaka seksualnego i gwałtciela, to on zaciągnął niešťczęsną Iwanową do siebie i akurat powalił ją na łóżko, kiedy zjawił się jej mąż i uratował niewinną ofiarę; 5) Wymieniacie szczegóły, które można sprawdzić, z których jednak nie wynika pełny obraz sytuacji: Iwanow wszedł do Pietrowa bez pukania, Iwanowa podskoczyła, bo jest nerwowa, a Pietrow był zdumiony brakiem manier Iwanowa; 6) Zostawiacie fakt historyczny bez zmiany, a główną uwagę poświęcacie np. problemowi wspólnych mieszkań, które coraz szybciej znikają z życia Związku sowieckiego; w tym miejscu opisujecie nowe dzielnice pełne nowoczesnych bloków i mieszkań; 7) Podkreślacie szczęście obywateli sowieckich zajmujących nowe mieszkania i kończycie informację o nowym budownictwie okrzykiem „co za postęp w stosunku do wspólnych mieszkań, w których mogło się zdarzyć, że mąż zastawał żonę w łóżku obcego mężczyzny!"; 8) Potępiacie niešťtałość i lekkomyślność Iwanowej, nie wspominając ani słowem o Pietrowie, albo na odwrót — odcinacie się od demoralizatora Pietrowa, nie mówiąc ani słowa o Iwanowej; 9) Proście czytelników, aby się wypowiedzieli na temat zajścia: drukujecie jeden list potępiający Iwanową — chociaż przyszło ich ze sto — oraz dziesięć listów popierających ją — chociaż otrzymaliście ich akurat dziesięć; 10) Zamawiacie u znanego uczonego i doświad-

czonego polemisty 50-stronicowy artykuł w obronie kochanków i takiej samej dłażności artykuł przeciwko nim u niezdarne go pismaka, wystawiają sobie w ten sposób świadectwo całkowitego obiektywizmu.

Władimir Wołkow wziął dla przykładu zdarzenie proste. Wystarczy jednak otworzyć jakąkolwiek polską gazetę — nie mówiąc już o sowieckiej — aby znaleźć na każdej stronicy dziesiątki przykładów stosowania przepisów z grubej książki kucharskiej sowieckiej dezinformacji (sporo przykładów jest i w niniejszym przeglądzie). Trudno nie przyznać racji jednemu z bohaterów powieści Wołkowa, wysokiemu urzędnikowi KGB, który ujawnia tajemnicę: kto ma w ręku klucz do dezinformacji, ma także klucz do informacji, a klucz do informacji otwiera świat.

Adam KRUCZEK

13 września 1982 r.

## Jak dr Melamed utracił tytuł doktora

W roku 1976 weszły w życie nowe przepisy dla sowieckiej Wyższej Komisji Kwalifikacyjnej, odpowiedzialnej za nadawanie stopni naukowych kandydata (odpowiednik polskiego stopnia doktora — przyp. tłumacza) i doktora (odpowiednik naszego doktora habilitowanego — przyp. tłum.). Pełny tekst nie został wtedy opublikowany (przyrzeczono broszurę na „później”), ale *media* nadały znaczny rozgłos faktowi, że nowe przepisy wymagają dokładnego zbadania politycznej postawy kandydata na stopień naukowy.

Wygląda na to, że ten warunek może działać wstecz. W ostatnim roku co najmniej sześciu żydowskich uczonych zostało pozbawionych tytułów naukowych za wykazywanie postawy „antypatriotycznej” przez podanie o emigrację do Izraela. Dokument — który jak twierdzą jest protokołem z takiego procesu o pozbawienie stopnia — dotarł właśnie do *Nature* i jest przytoczony niżej w nieco skróconej formie\*.

Vera Rich

\* Od tłumacza: Poniższy tekst ukazał się 6 maja 1982 w angielskim *Nature* (vol. 297, p. 4). Dziękuję redakcji *Nature* za zezwolenie na druk tłumaczenia w *Kulturze*.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA RADY NAUKOWEJ  
WYDZIAŁU GEOLOGII

UNIwersytetu Moskiewskiego, 20 STYCZNIA 1982

*Przewodniczący (Profesor Adonis G. Gajanow):* — Członkowie prezydium znają już porządek dzienny dzisiejszego posiedzenia: *inter alia* pozbawienie Władimira Grigoriewicza Melameda jego akademickich tytułów z powodu działalności antypatriotycznej, niegodnej sowieckiego uczonego.

Melamed jest nieobecny, jest chory. 18 stycznia, na dwa dni przed sesją, zawiadomił mnie, że ma zaświadczenie lekarskie. (*Czyta zaświadczenie lekarskie dr. Melameda*).

Odczuwam szczególną konieczność zwrócenia uwagi na jego nieobecność z następującego powodu. Zgodnie z paragrafem 5 przepisów WKK o prowadzeniu posiedzeń dla pozbawiania stopni naukowych, osoba, której tytuł naukowy ma być odebrany, musi być obecna na posiedzeniu.

(*Po pewnej dyskusji — z naciskami ze strony publiczności włącznie — postanowiono prowadzić posiedzenie w nieobecności Melameda*).

*A. G. Lubimow:* — Pozwólcie mi przeczytać materiały zebrane przez specjalną komisję prezydium, powołaną do zbadania działalności W. G. Melameda, który wyraził chęć emigracji do Izraela:

Melamed pracował na Uniwersytecie Moskiewskim przez około 30 lat. Ostatnio kierował jednym z laboratoriów i pracował nad zmianami, jakie w procesie permafrostacji wywołuje ciśnienie. Wyróżniał się energiczną postawą i dlatego został przyjęty do partii. W roku 1975 uzyskał stopień doktora nauk, ze specjalizacją w geologii.

W listopadzie 1980 roku złożył podanie o emigrację do państwa Izrael, które jak wiadomo jest kapitalistyczne i nie jest przyjacielem Związku Sowieckiego. W świetle wzrastającego napięcia międzynarodowego i wszystkiego, co powiedziano uprzednio, uznajemy decyzję Melameda za akt antypatriotyczny, niegodny sowieckiego uczonego.

Według naszej opinii artykuł 104 przepisów WKK o pozbawianiu stopni naukowych może być tu zastosowany.

Data: 18 grudnia 1981. Podpisano przez wszystkich członków komisji.

*Przewodniczący:* — Czy ktoś chciałby to skomentować?

*Profesor Epinatiewa:* — Mam pytanie dotyczące naukowego profilu Melameda. Czy mógłby pan opisać jego osiągnięcia na polu nauki?

*Przewodniczący:* — To nie ma nic do rzeczy. Zajmujemy się czymś innym niż nauka. Nie zamierzamy dyskutować prac naukowych Melameda, to nie ma więc znaczenia.

*Profesor Dimitriew:* — Czy protokół posiedzenia komisji będzie dołączony do dokumentów, które WKK od nas otrzyma?

*Przewodniczący:* — Tak.

*Dimitriew:* — W takim razie chcę zwrócić uwagę na błąd. Melamed nie obronił swego doktoratu w roku 1976, jak twierdzi komisja, lecz w roku 1977. Prócz tego nieszczęśliwie dobrano wyrażenie „i wszystkiego, co powiedziano uprzednio”. To może bowiem sugerować, iż ma on być pozbawiony swego tytułu nie tylko z powodu chęci emigracji ze Związku Sowieckiego, ale także dlatego, że pracował na Uniwersytecie Moskiewskim przez trzydzieści lat.

*Przewodniczący:* — Dobrze, poprawimy to. Inne uwagi? (*Cisza*). Dobrze. Proszę o zabranie głosu Arkadego Wasiliewicza Kalinina, członka komitetu.

*Kalinin:* — Nasze prezydium ma dzisiaj raczej trudne zadanie, które jest, tym niemniej, całkowicie zgodne z przepisami WKK. Jak wiadomo, artykuł 104 przepisów WKK dotyczy pozbawiania stopni naukowych za popełnienie czynów niegodnych sowieckiego uczonego. Uwzględnia to takie przestępstwa jak antypatriotyzm. To stawia przed naszym prezydium zadanie zdecydowania, czy postępowanie Melameda może być interpretowane jako antypatriotyzm, czy nie.

Zgodnie z prawem emigracja jest dozwolona ze względu na łączenie rodzin. Melamed poinformował urząd, który wydaje paszporty, że to właśnie jest jego zamiarem. Jednakże żadne prawo nie zabrania organizacjom społecznym osądzić postępowania Melameda.

Tytuły akademickie w Związku Sowieckim nadawane są w oparciu nie tylko o naukowe kryteria... Uważamy, że funkcja tytułu naukowego jest ważniejsza niż w świecie kapitalistycznym. Daje on prawo nie tylko do działania, ale także do pensji. Jeśli Melamed pozostanie doktorem, będzie on robił rzeczy, do których nie ma już prawa... Jego tytuły powinny być mu odebrane.

*Profesor Nikityn:* — Muszę dodać coś, aby ukazać dwa aspekty

antypatriotyzmu Melameda. Po pierwsze, był on członkiem partii przez wiele lat, w dodatku propagandzistą. Gdy złożył podanie o paszport, odwrócił się tym samym od swych wcześniejszych ideałów. Po drugie, jest on wykwalifikowanym specjalistą, uczonym. Teraz wyjeżdża, aby pracować dla nauki Izraela, pracować dla naszych przeciwników, naszych wrogów. A to jest nawet więcej niż antypatriotyzm.

*Przewodniczący:* — Dziękuję. Czy ktoś jeszcze chciałby zabrać głos? Sprawa jest zapewne zupełnie jasna i możemy rozpocząć głosowanie.

*J. W. Miedwiedkow:* — Pozwólcie zabrać mi głos, bowiem nie wszystko zostało powiedziane. Mam szczególne kwalifikacje do zabrania głosu. Zanim zająłem się gleboznawstwem, studiowałem prawo.

Zdajecie sobie sprawę, że pozbawienie Melameda tytułów naukowych nie jest tylko sprawą moralnej oceny czy opinii kolegów... dają one bowiem prawo do działalności naukowej, pensji, możliwości pracy odpowiadającej osiągniętemu poziomowi, dostępu do bibliotek itp.

Przypadki takie jak ten traktowane są zupełnie jednoznacznie przez specjalny akt prawny. Mam na myśli Akt Końcowy Porozumień Helsińskich z 1975 roku. Chciałbym zacytować za dziennikiem *Izwiestia* z 2 sierpnia 1975 roku:

Złożenie podania o połączenie się z rodziną nie może prowadzić do zmiany w prawach i obowiązkach osoby, która podanie złożyła, ani do zmiany w prawach i obowiązkach członków jej rodziny.

Z tego powodu jest rzeczą niedopuszczalną, by prezydium starało się ograniczyć prawa Melameda z racji wyrażonego przez niego życzenia połączenia się z rodziną zamieszkałą w Izraelu.

Nie słyszałem żadnego dowodu na to, że czyny Melameda stanowią przestępstwo antypatriotyzmu.

Nie jest przypadkiem, że w tak kompletnym źródle jakim jest *Sowiecki Słownik Encyklopedyczny* (Moskwa, 1979) termin „antypatriotyzm” w ogóle nie występuje. Można użyć bliskoznacznego wyrażenia „antysowietyzm”, które występuje w *Słowniku*. Na stronach 63-64 mówi się, że antysowietyzm jest próbą zniesławienia lub przeinaczenia tego, co Związek Sowiecki osiągnął na polu ekonomii, polityki i kultury.

Gdy stwierdza się, że Melamed popełnił czyn antypatriotyczny, oskarża się go wyraźnie także i o antysowietyzm.

Przez kogo i gdzie zostało udowodnione, że Melamed zrobił cokolwiek, aby zniekształcić lub pomniejszyć to, co Związek So-

wiecki osiągnął? Podanie o emigrację zostało przez niego złożone bez żadnego rozgłosu. Jest to akt mieszczący się w ramach istniejącego prawa i standardów.

Obawiam się, w rzeczy samej, iż Związkowi Sowieckiemu bardziej zaszkodzi ci ludzie, którzy zwrócili się do naszego prezydium z żądaniem ukarania Melameda.

*Przewodniczący:* — Dalsze komentarze?

*Pani Melamedowa:* — Mój mąż jest w tej chwili chory. Nie rozumiem jak jest możliwe rozpatrywanie jego sprawy *in absentia*... Dyskutuje się dzisiaj o czymś, co dla mego męża ma zasadnicze znaczenie. Całe 30 lat jego kariery w służbie sowieckiej nauki poddawane jest dzisiaj w wątpliwość. Czy może ktoś nazwać taką karierę antypatriotyczną?

Dlaczego członkowie prezydium nie honorują podpisu Związku Sowieckiego pod Aktem Końcowym Porozumień Helsińskich?

*Profesor Epinatiewa:* — Co innego, gdy pracownik normalnego instytutu badawczego lub nawet Akademii Nauk wyrazi chęć emigracji, a zupełnie co innego, gdy robią to pracownicy uniwersytetu. Ci ostatni mają do czynienia, nieprawdaz, z młodzieżą. Czyn popełniony przez Melameda może wypaczyć światopogląd naszej młodzieży.

*S. A. Kac:* — To dotyczy zrujnowania całego ludzkiego życia. A wy ograniczacie się do dwóch krótkich zdań. Jeśli ta sprawa rozpatrywana byłaby przed sądem, procedura musiałaby być zupełnie inna.

*Profesor Kalinin:* — Jestem przeciwny zrównywaniu „antypatriotyzmu” z „antysowietyzmem”. Kiedy Herzen opuścił Rosję, był to akt, który nazywamy „antycaryzmem”, nie „antypatriotyzmem”. Stwierdzenie, że Melamed jest antysowiecki byłoby ponad miarę. Ale czy możemy nazwać jego postępowanie uprzejmym wobec ojczyzny? Nie zamierzał on opuścić Uniwersytetu Moskiewskiego po to, by uczynić nasze życie lepszym. Tak więc my nie musimy czynić lepszym jego życia... Nie sądzę, abyśmy nie byli w zgodzie z Porozumieniami Helsińskimi.

*G. O. Marszubuk:* — Osobiście nie pochwalam czynu Melameda, powiedziałem mu o tym. Ale potępienie jest jedną sprawą, a oskarżenie go o antypatriotyzm i surowe karanie przez pozbawienie prawa do pracy jest czymś zupełnie innym.

*I. S. Irlin:* — Nie ma wątpliwości, że zachowanie się Melameda mieści się w granicach prawa... W ostatnich sześciu czy siedmiu

latach około trzydziestu tysięcy osób opuściło Związek Sowiecki, by połączyć się ze swymi rodzinami. Wśród nich było wielu z tytułami doktora czy docenta. Ale osobiście nie znam żadnego przypadku, aby ktokolwiek został pozbawiony tytułu. W mojej opinii prezydium chce stworzyć precedens.

*Profesor V. V. Kraus:* — Zgodnie z artykułem 104 przepisów WKK trzy warunki muszą być spełnione przez osobę posiadającą tytuł naukowy: kwalifikacje, patriotyzm i przestrzeganie standardów etycznych... Patriotyzm jest miłością do ojczyzny, która nas wychowała. Ale Melamed zdecydował się opuścić ojczyznę w chwili ogromnego napięcia międzynarodowego i to po to, by wyjechać do kraju, który propaguje złośliwą wrogość do Związku Sowieckiego... Prawo do pracy nie będzie mu odebrane, dlatego jednak miałby on dostawać dodatkową pensję za działalność naukową?

*Przewodniczący:* — Proszę o głosowanie nad wnioskiem o pozbawienie Melameda tytułu doktora nauk matematyczno-fizycznych. Kto za wnioskiem?... Przeszedł jednogłośnie. Ogłaszam zebranie za zamkniętą.

(Tłumaczył z angielskiego M. A.)

Vera RICH

## Kronika niemiecka

847 tysięcy osób zwiedziło b. obóz koncentracyjny w Dachau w 1981 roku; 300 tysięcy więcej niż w roku 1977. ■ *Dziennik Frankfurter Rundschau* zamieścił apel ośmiu naukowców zachodniemieckich skierowany do gen. Jaruzelskiego, w którym wyrażono protest przeciwko więzieniu przez juntę prof. Leszka Nowaka: „Naszym zdaniem Leszek Nowak należy do najbardziej interesujących i twórczych marksistowskich socjologów naszych czasów. Oburza nas fakt, iż władze PRL uznały za konieczne utrudnianie polskiemu filozofowi prowadzenia pracy naukowej”. Prof. Leszek Nowak, który w 1980 roku wystąpił z partii jest więziony w łazrze w Ostrowie Wielkopolskim. Wiele zaproszeń wystosowanych przez zagraniczne ośrodki naukowe — pozostało bez odpowiedzi\*. ■ Dopiero teraz dowiadujemy się, że zachodniemiecka firma *Adidas* produkująca ubiory i sprzęt sportowy, przekazała do dyspozycji kościelnych punktów rozdania darów w Polsce tysiące

\* Właśnie dotarła do nas wiadomość, że prof. Leszek Nowak został zwolniony z „tymczasowego aresztu”. Obecnie leczy chorobę serca w poznańskim szpitalu przy ul. Szkolnej.

par obuwia sportowego dla dzieci i młodzieży. Parafie katolickie (np. w Zakopanem) rozdawały tenisówki wyłącznie uczniom uczęszczającym na lekcje religii. Czy młodzież innych wyznań musi chodzić boso? ■ 13 sierpnia minęła 21 rocznica powstania muru berlińskiego. Metalowy parkan biegnący wzdłuż granicy z RFN zostanie zastąpiony równie betonowym murem o wysokości 3-4 metrów; długość — 1393 km. *Wolna Europa* słusznie zauważyła, iż będzie to „ukoronowanie epoki dynastii Honeckera”. ■ *Tygodnik Powszechny:* „Do pracy fizycznej w NRD zgłaszają się coraz częściej absolwenci polskich szkół wyższych”. ■ Kopalnia węgla brunatnego Belchatów cierpi na dotkliwy brak smarów, wskutek czego nawalila wielka koparka czerpakowa produkcji RFN, która po prostu była przyzwyczajona do smarowania... ■ Niemiecki *Instytut Badania Gospodarki (DIW)* przewiduje, że w 1982 roku przeciętna liczba bezrobotnych w RFN wyniesie ponad 1,8 mln. ■ We wschodnich regionach NRD, m.in. w Chemnitz (dzisiaj Karl-Marx-Stadt) wprowadzono kartki na mięso (1 kg mięsa i 0,5 kg wędlin tygodniowo) oraz na kaszę dla dzieci. ■ Polacy w Berlinie Zachodnim, zainteresowani polepszeniem swojego statusu socjalno-bytowego, powołali *Radę Socjalną Polaków*, która otrzymała mandat reprezentowania swoich wyborców wobec władz niemieckich. (*Polska Rada Socjalna w Berlinie*, c/o Witold Kamiński, Naunynstr. 24, 1000 Berlin 36). ■ Berlińska księgarnia *Stodieks* posiada bogaty wybór książek polskich wydawanych w Paryżu i Londynie. ■ W siedmiu okręgach NRD, dysponujących ośrodkami wypoczynkowymi przebywały na letnich wakacjach grupy polskich dzieci (głównie z rodzin funkcjonariuszy partyjnych, *MO* i *ZOMO*); kolonie miały charakter międzynarodowy; przybyły dzieci z podobnych rodzin ze Związku Sowieckiego i CSSR. ■ Po wydaniu czwartego numeru *Wiadomości Koloriskie* (red. Tadeusz Folek) przestały się ukazywać. Pismo informowało o prawie azylowym, sytuacji w Polsce, podawało najważniejsze adresy i interweniowało w urzędach niemieckich. Większość najnowszych uchodźców w ogóle niczego nie czyta, potrafi się tylko skarżyć na wszystko i wszystkich. ■ Działająca w RFN organizacja *Forum Pokoju (Bonner Friedensforum)* rozpoczęła szeroką akcję zbierania podpisów pod petycją do władz PRL domagającą się zwolnienia Lecha Wałęsy i innych więźniów junty. Petycja ta przekazana ma zostać 13 grudnia br. w pierwszą rocznicę wprowadzenia stanu wojennego ambasadzie PRL w Kolonii (bez ambasadora od roku; ostatnim był Jan Chyliński, syn Bieruta). W czasie konferencji prasowej w Bonn *Forum Pokoju* zwróciło się z apelem do społeczeństwa niemieckiego o poparcie tej akcji prowadzonej pod hasłem *Wolność dla Wałęsy, pokój dla Polski*. ■ Ponad 2 tys. osób z Berlina Zachodniego i RFN nie ma prawa korzystania (pod groźbą aresztowania) z dróg tranzytowych łączących Niemcy Zachodnie z Berlinem. ■ *Międzynarodowe Towarzystwo Obrony Praw Człowieka (IGFM)* z siedzibą w Frankfurtu n/Meinem ogłosiło szczegółowy raport na temat zatrudniania przez *GUŁag* więźniów politycznych przy budowie gazociągu syberyjskiego (ok. 10 tys.). ■ Zachodniemiecka grupa pn. *Wspólnota robotnicza 13 sierpnia* opublikowała listę przedsięwzięcia w NRD, które również zatrudniają więźniów politycznych. Są to głównie firmy eksportujące do Niemiec Zachodnich. W zakładach penitencjarnych NRD znajduje się ok. 5 tys. więźniów politycznych. ■ Polskie rzemiosło artystyczne z okresu XIV-XIX wieku ekspozowano w Getyndze. ■ W lipcu br. *Konsulat PRL* w Kolonii wydał ponad 20 tys. wiz wjazdowych obywatelom RFN, głównie podróżującym do Polski w odwiedziny do krewnych. ■ Z okazji 60-lecia powstania Związku Polaków w Niemczech, działającego obecnie w RFN powstaje w poznańskim *Zakładzie Badań nad Polonią Zagraniczną PAN* praca zbiorowa: monografia *Związek Polaków w Niemczech 1922-1982*. ■ Celnicy w Szczecinie podczas kontroli czterech ciężarówek z żywnością,

odzież, lekarstwami i sprzętem medycznym, darami *Niemieckiego Czerwonego Krzyża* — znaleźli 8 fotokopiarek, farbę drukarską i papier fotograficzny. O skrupulatności PRL-owskich celników donosi z tryumfem *Trybuna Ludu*. ■ 1 sierpnia br. weszła w życie w RFN nowa ustawa o postępowaniu azylowym, zatwierdzona przez *Bundesrat*; ustawa skraca postępowanie azylowe w wypadkach „jawnej niezasadności wniosku”. Ogranicza także możliwości odwoływania się do wyższych instancji po odrzuceniu wniosku. ■ Grupa polonijnych nauczycieli z RFN przebywała i w tym roku na miesięcznym kursie metodyki nauczania języka polskiego w Lublinie, zorganizowanym przez *Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej i Towarzystwo „Polonia”*. ■ W tym roku ukończyła studia w *Wojskowej Akademii Technicznej im. Jarosława Dąbrowskiego* pierwsza grupa oficerów *Narodowej Armii Ludowej NRD*. ■ W Norymbdze gościła delegacja *Krakowskiej Komisji Organizacji Młodzieżowych (ZSMP, SZSP, ZMW i ZHP)*. W ten sposób w praktyce realizowana jest dwustronna umowa z 11 czerwca 1976 roku, w której artykuł 10 mówi o dążeniu do „szerokiej wymiany młodzieży”. ■ 41 pozycji książkowych — tłumaczeń z języka polskiego wydano w RFN w 1981 roku. W tym samym czasie niemieccy autorzy dostarczyli swoim czytelnikom 19 książek o tematyce polskiej. Szczegółową bibliografię w tym zakresie opublikował Klaus Staemmler (*Deutsch-Polnische Gesellschaft der BRD e. V.*, Düsseldorf 1982). ■ Sad Berlina Zachodniego uniewinnił sprawców uprowadzenia 12 lutego 1982 roku do tego miasta samolotu typu *AN-24*, odbywającego lot na trasie z Warszawy do Wrocławia z 19 pasażerami na pokładzie. Samolot uprowadzili piloci — Czesław Kudłek i Andrzej Baruk. ■ Hamburskie biuro *Grupy Roboczej „Solidarność”* zostało zamknięte na skutek braku środków finansowych i wewnętrznych sporów. ■ W latach 1980-1982 prof. Jakub Goldberg z *Uniwersytetu Hebrajskiego (Jerozolima)* prowadził zajęcia z historii Polski na *Uniwersytecie Kolońskim*: szereg wykładów było poświęconych m.in. stosunkom polsko-żydowskim w XVI-XVIII wieku, tolerancji i braku tolerancji religijnej w Xięstwie Litewskim oraz narodowym konfliktom we wschodniej Polsce. ■ Helmut Sauer, poseł do *Bundestagu* z ramienia *CDU* zwrócił się do *Konferencji Biskupów Niemieckich* z apelem o rozpoczęcie rozmów z *Episkopatem Polski* w sprawie zapewnienia niemieckiej mniejszości w Polsce przysługującej jej opieki duszpasterskiej w języku niemieckim. ■ Pierwszy solista warszawskiego *Teatru Wielkiego*, Jerzy Barankiewicz podjął w tym sezonie współpracę z teatrem muzycznym w Hof (Bawaria). Kierownictwo baletu sprawuje polski choreograf — Jerzy Makarowski. Oprócz Barankiewicza, w Hof pracują także inni polscy tancerze: Ewa Owczarek i Krzysztof Pastor z *Łódzkiego Teatru Wielkiego* oraz Jerzy Graczyk z Warszawy. ■ Na skutek uchybień statutowych musiało dojść do zwołania nadzwyczajnego zjazdu *Związku Polaków „Zgoda”*, który odbył się w nowej siedzibie w Recklinghausen. Prezesem został — zgodnie z wolą ambasady PRL w Kolonii — Władysław Janik. ■ Wiktor Spiess (Moskwa) i Grażyna Ziółkowska (Warszawa), laureaci międzynarodowego konkursu tłumaczy poezji i prozy Theodora Storma (1817-1888), z niewyjaśnionych dotąd powodów nie przybyli do Husum (Szlezwig-Holsztyn) na uroczyste wręczenie nagród. W konkursie wzięło udział 51 tłumaczy z 14 krajów. ■ Związek Sowiecki zablokował automatyczne połączenia telefoniczne RFN - Moskwa (także z Francją, Austrią i Finlandią); z terenu RFN prowadzono ok. 1.600 rozmów telefonicznych z Moskwą w ciągu dnia; poczta zachodniemiecka zarejestrowała również poważne zakłócenia w doręczaniu przez pocztę sowiecką przesyłek nadchodzących z RFN. ■ Stefan Dietrich ogłosił w ilustrowanym dodatku do *Frankfurter Allgemeine Zeitung* całokolumnowy reportaż o działaczach i pracy *Biura „Solidarność”* w Bremie („niebezpieczeństwa kryją

się w konflikcie interesów politycznych: — z jednej strony darzy się sympatią *Solidarność*, z drugiej ojcowie miasta wyrażają potrzebę utrzymania specjalnych kontaktów Bremy z Gdańskiem”). Wydaje się, że *Senat Bremy* chciałby się jak najszybciej pozbyć działaczy „*Solidarność*”. Szkopuł polega na tym, że gdańscy działacze związkowi przyjechali na zaproszenie miasta... Bremy. Tymczasem Gdańsk naciska bezustannie: prezydent miasta — Rynkowski i gen. Cygan z WRON-y wyrażali swoje oburzenie w czasie pobytu w Polsce posła *SPD* — Walthemathe, również z powodu uruchomienia na *Uniwersytecie* w Bremie *Ośrodka Badań Niezależnej Literatury i Ruchów Społecznych w Europie Wschodniej*. ■ Z iniejatyw i pod patronatem kolońskiego *Instytutu Sławiistyki* założono *Towarzystwo Orient-Occident*, które ma na celu pośredniczenie i udzielanie pomocy autorom w zakresie publikowania wschodnioeuropejskiej literatury w wydawnictwach niemieckojęzycznych. Do założycieli *Towarzystwa* należą m.in.: Heinrich Böll, Marion Gräfin Dönhoff, Pavel Kohout, Lew Kopelew, Wolfgang Kasack i Siegfried Lenz. ■ W *Loeper Verlag* w Karlsruhe ukazał się zbiór polskich wierszy, poematów i pieśni robotniczych z okresu ostatnich 500 lat. Zbiór wydał Frank Geerk z ilustracjami Andrzeja Kowalskiego. Str. 192. ■ Handel RFN z krajami *RWPG* stracił w ostatnich latach na znaczeniu. Udział tych krajów w łącznym eksporcie zachodniemieckim spadł z 7,9 % w 1975 roku do 4,9 % w ub. roku. ■ Polska sprzedała w Berlinie Zachodnim w 1981 roku towary za ok. 400 mln marek (NRD — 1,9 mld); Holandia, Francja i Dania sprzedają w tym miesiącu warzywa w skali rocznej na ok. 1,5 mld marek (PRL — 20 mln marek). Radea Stajer z wydziału handlu *Polskiej Misji Wojskowej*: „Nie rozumiem, dlaczego ogórek z Hiszpanii może dojechać na czas, a z Rzepina nie może”; towar z Polski przyjeżdża do Berlina „często nie do handlu lecz do wyrzucenia”... ■ Ze zbioru opowiadań Marka Nowakowskiego pt. *Report o stanie wojennym (Instytut Literacki, Paryż 1982)* radiostacje *Westdeutscher Rundfunk i Norddeutscher* nadały dwa opowiadania (*Cień i Stan wojny*) w tłumaczeniu Margitty Weber. ■ 8 tys. robotników budowlanych z PRL zatrudnionych jest obecnie na różnych budowach w RFN. ■ *Grupa Robocza „Solidarność”* w Berlinie Zachodnim urządziła wystawę podziemnych publikacji okresu wojennego, niezależnych wydawnictw i fotosów z okresu organizowania się wolnego ruchu związkowego. ■ Prof. Hans Roos, znany historyk, specjalista od spraw polskich twierdzi w polemice z Tadeuszem Nowakowskim na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, że przetransportowanie postrzelonego przez *MO* Jana Naroźniaka do publicznego a nie więziennego szpitala „było jeszcze jednym potwierdzeniem, że władze wojskowe kierują się względami humanitarnymi”... Hans Roos, jako żołnierz Wehrmachtu był jeńcem a może bardziej — „przygarniętym” przez jeden z oddziałów *AK*. Umożliwiono mu nawet ucieczkę przed zbliżającymi się zagonami *Armii Czerwonej*. Były to gesty — na owe czasy — wspaniałomyślne, niemalże rycerskie. Do uciekającego z torbą ulotek Naroźniaka milicja strzelała celując w plecy, nie w nogi, stąd postrzał w rękę; chciano go zastrzelić na oczach przechodniów, bez ostrzeżenia. Dziś Polacy wnoszą pięści i krzyczą w kierunku oddziałów *ZOMO* i *MO*: Gestapo! Prof. Roos powinien się nad tym przez chwilę zastanowić, zanim znowu napisze o „humanitarnych gestach” PRL-owskiej junty. ■ Zorganizowane przez prof. Schlau kursy języka polskiego na *Uniwersytecie im. Gutenberga* w Moguncji cieszą się sporym zainteresowaniem. Koszta są pokrywane przez państwo i *Uniwersytet* w wysokości ok. 230 tys. marek rocznie. W tym roku 45 studentów z RFN spędziło 6 tygodni w Krakowie na kursie specjalistycznym (*UJ*). Studenci korzystali z bonńskiej dotacji w wysokości 900 marek na osobę. Z przebiegu kursu byli właściciele zadowoleni, ale zauważyli, że funkcjonariusze partyjni w niesłychanie nieprzyjemny sposób

„chęć pokazać do kogo władza należy”; „w ubiegłym roku jakby ich zmiotło, nie pokazywali się nigdzie, teraz wyszli z ukrycia, ale nie są pewni co będzie dalej” — powiedział jeden z niemieckich studentów. ■ Ośrodek *Marianum* w Carlsbergu (Palatynat), kierowany obecnie przez ks. prof. Franciszka Blachnickiego nie ogranicza prowadzonych kursów wyłącznie do tematyki religijnej. Niedawno przeprowadzono trzydniowe sympozjum na temat: *Suverenność wewnętrzna. Program porozumienia narodowego*. ■ W drugą rocznicę podpisania porozumienia gdańskiego 31 sierpnia br. w szeregu miast niemieckich odbyły się demonstracje wyrażające poparcie dla „Solidarności”. Prasa niemiecka i telewizja odnotowały pochody i wiece m.in. w Kolonii, Berlinie Zachodnim, Hamburgu i Monachium. W Kolonii, przed wejściem do ambasady PRL demonstranci ułożyli krzyż z kwiatów i zapalili świece. W 300-osobowej grupie osób, przeważnie Polaków, dostrzec można było delegacje niemieckie: *Komitetu Solidarność* z „Solidarnością” oraz licznych studentów reprezentujących chrześcijańsko-demokratyczny związek *RCDS*. ■ Kanclerz RFN, Helmut Schmidt, odwiedził *Instytut Kultury Polskiej (Deutsches Polen-Institut)*, kierowany przez wybitnego tłumacza literatury polskiej Karla Dedeciusa. W ramach współpracy *Instytutu* z wydawnictwem *Suhrkamp* ukazały się ostatnio następujące pozycje w wyborze i tłumaczeniu Karla Dedeciusa: *Das Junge Polen (Literatura Młodej Polski)*; *Die Dichter Polens (Setnik poetów polskich)* i wiersze Czesława Miłosza — *Gedichte 1933-1981* (współtłumaczem była Jeanine Łuczak-Wild). Na zaproszenie *Instytutu Kultury Polskiej* przebywała ostatnio w RFN z 10-dniową wizytą grupa dziesięciu polskich lektorów z Warszawy, Wrocławia i Poznania, odpowiedzialnych za przekłady literatury niemieckiej. ■ Prymas Polski, ks. abp Józef Glemp, metropolita krakowski, ks. kardynał Franciszek Macharski i z-ca sekretarza *Episkopatu*, ks. bp Jerzy Dąbrowski byli gośćmi wielkiego zjazdu katolików niemieckich — *Katholikentag* w Düsseldorfie. Na spotkaniu z przedstawicielami Polonii w Essen ks. abp Józef Glemp w nawiązaniu do demonstracji w kraju w dniu 31 sierpnia br. oświadczył m.in.: „Nie ma żadnego sensu rzucać kamieniami tam, gdzie przede wszystkim potrzebny jest dialog”. Podczas krótkiej rozmowy z grupką Polaków w Düsseldorfie ks. kardynał Fr. Macharski odmówił złożenia autografu na podsunętej przez młodego Polaka kartce ze znakiem *Solidarności*. Prymas Polski natomiast nie znalazł kilku pochrębiających słów dla stojących obok działaczy *Solidarności*. Powiedział tylko, że o ich wyczynach czyta sporo w prasie krajowej.

Andrzej J. CHILECKI

## Sprawy i troski

### Nobel dla Wałęsy

Zalansowaną przez *Kulturę* kandydaturę Lecha Wałęsy do Nagrody Pokoju Nobla poparło wiele osobistości i organizacji na Zachodzie, m.in. Aleksander Sołżenicyn; książę zu Löwenstein (w imieniu Niemieckiego Związku Wolnych Pisarzy), który był członkiem Komitetu Nagrody Pokoju Nobla dla von Ossietzkiego w 1934 roku; prezes Międzynarodówki Socjalistycznej Willy Brandt; noblista Heinrich Böll; Norbert Blüm, senator w Berlinie Zachodnim i poseł do Bundestagu (CDU), który zgłosił kandydaturę Wałęsy wiosną 1981 roku; szereg związków zawodowych, m.in. American Federation of Labor; niemiecka Centrala DGB, włoski UIL, australijski Związek Zawodowy metalowców (70.000 członków); Międzynarodowe Towarzystwo Obrony Praw Człowieka; Pen-Cluby kanadyjski i niemiecki; ponad 300 profesorów uniwersytetów w Niemczech Zachodnich podpisało apel do Komitetu Nagrody Nobla i akcja nie jest jeszcze zakończona; poseł australijskiej Partii Liberalnej, Peter Coleman złożył wniosek w parlamencie australijskim o poparcie kandydatury Wałęsy a 16 września także wniosek zgłosił Jaś Gawroński, poseł z Grupy Liberalnej i Demokratycznej do Parlamentu Europejskiego w Strasburgu, uzyskując prawie natychmiast 190 podpisów (aby wniosek uzyskał poparcie Parlamentu Europejskiego jako całości wymagana jest większość 218 głosów). Treść tego wniosku i jego uzasadnienia, oraz treść listu Al. Sołżenicyna do Komitetu Nagrody w Oslo podajemy poniżej.

Podane informacje są bardzo niepełne, gdyż nie mamy do chwili zamknięcia numeru wiadomości od jeszcze wielu innych osób i instytucji, które staraliśmy się zainteresować sprawą Nagrody Pokoju Nobla dla Lecha Wałęsy.



## WNIOSEK POSŁA GAWROŃSKIEGO

„Wniosek przedłożony przez posła Jasia Gawrońskiego zgodnie z art. 49 Regulaminu. Parlament Europejski, uznając rolę NSZZ Solidarność w poszukiwaniu, zawsze pokojowym, rozwiązania demokratycznego w Polsce, zważywszy że Lech Wałęsa reprezentuje najbardziej prawdziwy i uznany symbol tych związków, wysuwa kandydaturę Lecha Wałęsy do Nagrody Pokojowej Nobla. I wzywa Radę Ministrów Wspólnoty Europejskiej oraz dziesięć rządów do poparcia tej propozycji”.

„Polska kontynuuje swą walkę. Jeszcze na początku tego tygodnia nowe demonstracje wykazały jak głęboka jest wrogość narodu polskiego wobec władz wojskowych. Opozycja, daleka od poskromienia, wzmacnia się. Ludzie, powodowani bardziej rozpaczą niż nadzieją, wychodzą na ulice, nie zważając na ryzyko lat więzienia a niekiedy i życia. Dziewięć miesięcy reżymu Jaruzelskiego nie rozwiązało żadnego problemu, więcej — skomplikowało problemy już istniejące. Rząd wojskowy nie podjął żadnej inicjatywy zdolnej przyciągnąć dostateczne poparcie ze strony ludności, i zdaje się dążyć przede wszystkim do uniknięcia tego by Solidarność mogła powrócić do odgrywania ważnej roli w życiu kraju.

„Przepaść między rządzącymi i rządzonymi pogłębia się, trwa nadal sytuacja martwego punktu, braku dialogu między rządem i Solidarnością. Winę za to wszystko ponoszą nie Polacy na pewno, i może nawet nie Jaruzelski. Można dyskutować czy generał jest tym 'mniejszym złem' o którym wielu mówi, czy ocalił Polskę przed inwazją sowiecką. Ale jest prawdopodobne, że jeśli i gdy Moskwa postanowi zastąpić go kimś innym, nowy 'silny człowiek' każe żałować odejścia obecnego. Jestem przekonany, że prawdziwe zło znajduje się nie w Warszawie, lecz w Moskwie; i że dopóki nie zmieni się coś w Moskwie, nic nie będzie się mogło zmienić naprawdę w Warszawie. A zatem to na Moskwę przede wszystkim trzeba wywierać nacisk nowymi środkami retorsji, w nadziei — a chodzi tylko o słabą nadzieję — że bliscy spadkobiercy Breżniewa zdecydują się na rewizję stosunków Wschód-Zachód, przynosząc w ten sposób ulgę nie tylko Polsce, lecz wszystkim krajom bloku sowieckiego, a także reszcie świata.

„W oczekiwaniu tego ewentualnego 'cudu', to co możemy zrobić wskazuje mój wniosek przedstawiony do głosowania: na planie materialnym dopomóc Polakom w przetrwaniu; na planie moralnym i politycznym dać całą zachętę, na jaką nas stać, Solidarności i jej przywódcy Lechowi Wałęsie. Niezależnie od tego co można o nim myśleć jako o człowieku i przywódcy związ-

kowym, reprezentuje on symbol Solidarności, symbol tego czym Polska chciałaby lecz nie może być.

„I dlatego właśnie, by dodać odwagi Solidarności i w uznaniu dla jej pokojowego poszukiwania rozwiązania demokratycznego w Polsce, pozwalam sobie prosić ten parlament by przyjął wniosek, który przedstawiłem dziś rano i w którym wysuwa się Wałęsę do najbliższej Nagrody Pokojowej Nobla”.

## LIST SOŁŻENICYNA

Oslo

Komitet Nagrody Nobla

Gościwie popieram wysuniętą do Pokojowej Nagrody Nobla kandydaturę Lecha Wałęsy. Jego męstwo, mądrość, rozumne działania wywołują podziw. To są głębokie, fundamentalne drogi świata. W krajach komunistycznych takie działania wymagają nadludzkiego napięcia sił — i wywierają kolosalny wpływ na powszechną historię ludzką. Jesteśmy wszyscy dłużni Wałęsie — być może bardziej niż to sobie uświadamia dzisiejsza Europa.

Aleksander SOŁŻENICYN

14 września 1982

## JAN STANISŁAW WITKIEWICZ

## « WITKACY I WITKIEWICZOWIE »

Zbiór esejów biograficznych i literackich

Część I — Jan Witkiewicz

Część II — Stanisław Witkiewicz

Część III — Stanisław Ignacy Witkiewicz (Witkacy)

Str. 146 i 10 nlb.

Cena wraz z przesyłką lotniczą F.S. 30 lub równowartość.

Zamówienia wraz z należnościami należy kierować:

EDITION POCUBLICE

Postfach 3037, 3000 BERN 7, Szwajcaria

## Kronika kulturalna

### Lisy, jeże i lemingi

Sir Isaiah Berlin — angielski filozof i historyk idei, pochodzenia żydowsko-rosyjskiego, urodzony w 1909 roku, obecnie *fellow* All Souls College w Oxfordzie — należy do tych myślicieli, o których wiadomo, że są i że są ważni, ale których zna się przeważnie z drugiej ręki ponieważ ich pisma rozsiane są po trudno dostępnych publikacjach i elitarnych periodykach. Przed kilku laty podjęto na szczęście w Anglii pracę nad scalaniem dzieła Berlina i całość ma się ukazać w czterech tomach. Pierwszy z nich, który chcę tu omówić, nosi tytuł „Rosyjscy myśliciele”\* i składa się z dziesięciu esejów, poświęconych XIX-wiecznym pisarzom rosyjskim od Bielińskiego po Tołstoja. Wbrew pozornej nudzie tematu książka jest fascynująca, nie tylko z uwagi na jakość intelektualną analizy i prezentacji (przefiltrowane przez ciekawą umysłowość *wszystko* staje się ciekawe) i na fakt, że te napisane na przestrzeni 30 lat szkice dają zdumiewająco jednolity, konsekwentny obraz życia umysłowego Rosji przedrewolucyjnej, ale także i dlatego, że historia w ujęciu Berlina to nie tyle katalog minionych faktów, co raczej proces krystalizacyjny: twory z przeszłości rozpatruje on jako swego rodzaju konstrukcje osi i płaszczyzn, na których następnie osadzają się fakty, dążenia i idee epok późniejszych, tworząc powtarzający się wzór. Mówiąc prościej, Berlin odkrywa w Rosji ubiegłego wieku pewne typy rozumowań i postaw wobec świata, które trwają do dziś i na nie chcę tu głównie zwrócić uwagę, a także dorzucić własne *quamquam*.

Najdłuższy i chyba najciekawszy esej w książce poświęcony

\* Isaiah Berlin, *Russian Thinkers*, ed. H. Hardy & A. Kelly, The Hogarth Press 1978; także: Pelican Books 1979.

jest Tołstojowi, a właściwie jego osobliwej koncepcji historii, zilustrowanej powieścią „Wojna i pokój”. Esej ten nosi tytuł „Jeż i lis”. Jest to aluzja do zachowanego fragmentu greckiego poematu Archilochusa *poll' oid' alopex, all' echinos en mega* — co można przetłumaczyć jako: „lis zna wiele (spraw), zaś jeż jedną (ale za to) wielką”. Istnieją różne interpretacje tego wersu; przypuszczalnie poecie chodziło o stwierdzenie, że choć lis jest bardzo przebiegły, a jeż ma tylko jeden sposób obrony, to sposób ten jest niezawodny. Berlin ujmuje rzecz szerzej — „lis” jest dlań typem umysłu wielostronnego, zainteresowanego bogactwem i różnorodnością świata, podczas gdy „jeż” to umysł skoncentrowany na „idei”, na abstrakcjach, typach i powszechnikach. Dante to jeż, Szekspir to lis.

W odniesieniu do Tołstoja Berlin stosuje tę prostą typologię celem wyjaśnienia swoistego paradoksu „Wojny i pokoju”: powieść, w zamierzeniu mająca tylko ilustrować autorską koncepcję historii jako przepotężnej rzeki wobec której ludzkie zamierzenia i czyny są tylko śmieszną fanfaronadą, zawdzięcza swą sławę i przetrwanie właśnie swej „nieistotnej” stronie opisowej, podczas gdy większość czytelników przeskakuje z irytacją nad fragmentami historiofilozoficznymi. Zdegustowany okrzyk Flauberta po przeczytaniu pierwszych fragmentów dzieła tłumaczonych na francuski: „*il se répète et il philosophe!*” zdaje się im towarzyszyć do dzisiaj równie wiernie, jak podziw dla „lisiej” barwności samego opowiadania. Dla Berlina „zagadka Tołstoja” tłumaczy się tym, że samozwańczy prorok z Jasnej Polany był z natury lisem, choć całe życie wmawiał w siebie, że jest jeżem; natura — jego zdaniem — sprostowała to nieporozumienie: chudość „idei” została w dziele Tołstoja niejako bezwiednie zrekompenrowana bogactwem opisów i charakterów. Nim wrócę do tej koncepcji i zaproponuję pewną poprawkę typologiczną (leming zamiast jeża), chciałbym w skrócie naszkicować obraz myśli rosyjskiej XIX wieku tak, jak widzi go Berlin w omawianej książce. Dychotomia „lis” — „jeż” okaże się i tu przydatna.

Autor „Rosyjskich myślicieli” uważa, iż największym wkładem Rosji do skorowidzu współczesnych kategorii socjologicznych jest termin (a właściwie przedmiot tym terminem oznaczany) „inteligencja”, tzn. wyróżniona grupa społeczna cechująca się tym, że jej główna skala wartości oparta jest na rzeczach takich jak wykształcenie, chłonność umysłowa i oryginalność myślenia, nie zaś na konkretach w rodzaju pieniędzy, władzy czy powiązań rodzinnych. Grupa ta powstała w Rosji, zdaniem Berlina, dopiero w XIX wieku; dawniejsza wykształcona za granicą oligarchia manadżerska Piotra I i jego następców była jedynie warstwą biurokratyczną, nader czułą na wspomniane powyżej

wartości „konkretne”. Rozbrat z przyziernością nastąpił w okresie ponapoleońskim. Wciągnięcie Rosji w sprawy Europy uświadomiło ludziom wykształconym tego kraju, jak bardzo różna jest ich ojczyzna od połaci świata uchodzącej wówczas za najbardziej rozwiniętą, a równocześnie młodzi ludzie wysyłani na studia do Niemiec zarazili się dominującym tam wówczas prądem umysłowym, czyli romantyzmem wraz z jego implikacjami: pogardą dla codziennej przeciętności, podziwem dla spraw „wzniosłych i czystych” i przekonaniem, że świat jest spleśniałą bryłą, którą należy popchnąć na nowe tory. Romantyzm był w istocie tym co dziś nazywamy „ruchem kontestatorskim”, to znaczy w taki czy inny sposób dotyczącym całości społeczeństwa. Romantyk był — znów według dzisiejszej terminologii — „człowiekiem zaangażowanym”. Idea zaangażowania była głównym katalizatorem warstwy inteligenckiej, a ponieważ cenzura w Rosji po nieudanej rewolucji grudniowej 1825 roku ograniczała jeszcze bardziej niż przedtem możliwość komunikowania wprost, dyskusja na tematy społeczne *volens volens* przeniosła się na teren literatury. Pisarz stał się uosobieniem wszystkich cnót kolektywnych, tzn. „sumieniem narodu”, przywódcą i prawodawcą, a przynajmniej takiej właśnie roli oczekiwali od niego inni członkowie warstwy inteligenckiej. Nie trudno zauważyć, że była to sytuacja mocno totalitarna, a nacisk otoczenia wiodł w niej w jednym tylko kierunku: zostania „jeżem”. Nic dziwnego, że większość pisarzy rosyjskich XIX wieku to jeże. Bieliński, rodzaj rosyjskiego Woltera *à rebours*, głoszący ewangelię zaangażowania, ideowości i „*serioznost’i*” Bakunin, Czernyszewski, Dostojewski i dziesiątki pomniejszych, wszystko to pisarze z „misją” wywierającą wrażenie, choćby nawet misja ta była niejasna, jak w wypadku większości słowianofilów, czy też zenująco płytka, jak w wypadku większości „zapadników”. Aczkolwiek Berlin jest sumiennym i nie-złośliwym prezentatorem (jedynie Bakunina określa on jednoznacznie jako cynika i faszystę), jest wyraźne, że sympatyzuje jedynie z pisarzami, którzy z „jeżej” schematyczności umieli się wyzwolić: z Herzenem, Turgieniewem i Tołstojem. Herzena ceni za liberalizm, za przecucie, że abstrakcje ideologiczne prowadzą zawsze do tyranii, za uznanie wolności za główną wartość; zdanie Herzena, że „*poświęcenie wolności dla jakiegokolwiek innego celu jest składaniem ofiar z ludzi*” uważa on za podstawę całej jego filozofii politycznej i sądzi, że ta podstawa właśnie czyni go „*najciekawszym rosyjskim pisarzem politycznym XIX wieku*”. Turgieniew, autor sławnych „*Ojców i dzieci*” (1862), których bohater Bazarow jest archetypem intelektualnego nihilisty zasługującym nie tyle na nazwę „zbędnego człowieka” co na (późniejsze) określenie *graduszczyj cham* („cham, który

nachodzi”), uosabia w oczach Berlina dylemat mądrego, wrażliwego człowieka w spolaryzowanym społeczeństwie. Po burzy, jaką wywołała w Rosji wspomniana książka, Turgieniew — na co dzień człowiek łagodny i ustępliwy — nie ugiął się pod naciskiem środowiska i w 1867 roku wydał następną „zaangażowaną” powieść pt. „*Dym*”, w której zarówno reakcjonści jak postępowcy odmalowani zostali jako nieokrzesani barbarzyńcy, nie chwytający rzeczywistej złożoności życia. Można rzec, że Berlin uważa Turgieniewa za bohatera lisa, który nie rezygnuje ze swej natury mimo zbiorowego natarcia jeży. Przenośnia ta jest o tyle uzasadniona, że ataki rosyjskiej krytyki na niego po tej książce stały się tak kolczaste (Dostojewski nazwał go renegatem), że Turgieniew został właściwie zmuszony do wyjazdu za granicę, gdzie pozostał aż do śmierci.

O ile podzielam zdanie Berlina o tych dwóch pisarzach i dziele jego dla nich sympatię, o tyle nie całkiem zgadzam się z jego oceną Tołstoja. Uważam Tołstoja za niezwykle ważnego myśliciela rosyjskiego, bezsprzecznie, ale ważność ta mieści się dla mnie w czym innym: uważam go mianowicie za pisarza niesłychanie charakterystycznego dla rosyjskiej atmosfery umysłowej przełomu wieków i swego rodzaju zapowiedź tego, co się w Rosji stało w wieku XX-tym. Wymaga to nader długiego uzasadnienia, ale sądzę, że jest to temat ważny i nie wyłącznie akademicki. Wbrew Berlinowi uważam, że Tołstoj ma w sobie więcej z jeża niż z lisa, a ściślej, że jest lemingiem, który stosuje „*lisia*” technikę dla wzmocnienia siły przekonywującej swoich wywodów ideowych.

Co to jest leming? Według encyklopedii lemingi to „*drobne gryzonie z rodzaju Lemnus, z rodziny norników, zamieszkujące tundry północnej Eurazji i Ameryki Północnej, co pewien czas odbywające jednorazowe wędrówki, w czasie których większość z nich ginie z wycieńczenia*”. Zapewne wielu czytelników przypomina sobie z dzieciństwa wstrząsający opis lemingów w „*Cudownej podróży*” Selmy Lagerlöf: tysiące i dziesiątki tysięcy zwierzątek prą niepowstrzymanie naprzód, a gdy docierają do morza, bez wahania wkraczają w nie i toną. Przypuszczalnie ten właśnie opis nadał im znaczenie symboliczne istot z nieznanych przyczyn ogarniętych nagłą pasją samounicestwienia. Zoolodzy sądzą, że przyczyną wędrówek lemingów jest powtarzające się co jakiś czas przeludnienie ich habitatu: zwierzęta ruszają wówczas na poszukiwanie nowych terenów, ale ponieważ pozostają cały czas w gromadzie, ta „ziemia obiecana” rozwiewa się w mgłę, a pozostaje jedynie przymus wędrówki w nicość aż po zgon. Nie znam się na zoologii, ale wyjaśnienie to wydaje mi się przekonujące i proponuję zastosować je do pewnych zachowań

ludzkich i postaw umysłowych, których wspólnym mianownikiem jest mizantropia. Główną wylęgarnią mizantropii zaś są społeczeństwa zamknięte.

Zamknięte społeczeństwo jest jak przedział kolejowy, w którym każdy „bliźni” jest intruzem. Jedyną cnotą, jakiej się od niego oczekuje i wymaga to to, żeby go było jak najmniej: żeby nie śpiewał, nie kichał, nie potrącał. Im go mniej, tym jest „lepszy”. Im bardziej się wierci, z tym większą nienawiścią się nań patrzy i tym gorzej mu się życzy. Najlepiej, żeby go w ogóle nie było. Skoro już jest, wymaga się odeń *poko*ry: gdy zrozumie, że jest niczym, będzie się zachowywał jak należy, a może nawet wyniesie się do innego przedziału.

Poczucie „zamknięcia” w społeczeństwie ludzkim ma niewiele wspólnego z obszarem fizycznym, na jakim żyje dana grupa, a wszystko niemal ze swobodą wyboru własnej drogi życiowej przez pojedynczego człowieka. W istocie jest to problem wolności w obrębie własnej grupy, a wolność ta zależy od wewnętrznej organizacji tej grupy. Można żyć na ziemi miodem i mlekiem płynącej, ale być członkiem grupy, która dla jakichś tam powodów — religijnych, tradycyjnych, „filozoficznych” — ściśle reglamentuje spożycie owego miodu i mleka w taki sposób, że jednostka od progu życia wie, iż dostanie tylko tyle i tyle i nie więcej. Pod to symboliczne „mleko” można sobie podstawić bardziej urozmaicone dobra: pożywienie, wolność od zbędnego cierpienia, wolność od zbędnego przymusu, dostęp do informacji, poczucie własnej godności, wpływ na decyzje dotyczące większych zgrupowań jednostek i wiele innych rzeczy.

Nie potrzeba wielkiej znajomości historii by uświadomić sobie, że Rosja — mimo swego obszaru — była zawsze, a co najmniej od podboju przez Mongołów, społeczeństwem zamkniętym. Życie człowieka wyznaczone było tam prawie zawsze „stanem”, w jakim się urodził. Możliwości poprawienia tego stanu były niewielkie, natomiast możliwości upadku jeszcze niżej ogromne. Jedynym zabezpieczeniem przed upadkiem — w formie na przykład niełaski carskiej — było właśnie „stanie”: immobilizm, konformizm, serwilizm. Są dwa wyjścia z takiej sytuacji: próba *zmiany* organizacji społeczeństwa — czyli podejście re- lub ewolucyjne, oraz próba *poprawienia* warunków bytowania wewnątrz grupy bez naruszania jej struktury. To drugie wyjście jest w istocie próbą oddziaływania na bliźnich-współwięźniów tak, jak w naszkicowanej powyżej sytuacji ciasnego przedziału kolejowego. „*Bądźcie cisi i pokornego serca!*” — a wszystkim nam będzie lepiej... Przypuszczam, że takie było psychologiczne podłoże polaryzacji rosyjskiej inteligencji na „zapadników” — czyli ludzi dążących do upodobnienia Rosji do Zachodu w sensie jej zmiany

na lepsze, oraz „słowianofilów” — tzn. pseudochrześcijańskich głosicieli pokory i „dobroci”, usymbolizowanych przez mityczną dawną wspólnotę chłopską, czyli *mir*.

Tołstoj był oczywiście słowianofilem i ta oczywistość bije nie tyle z jego słynnych zgrzebnych gaci i *rubaszki* (*nota bene* jego „chłopskie” koszule były jedwabne i służba przesypywała je płatkami różanymi, bo pan hrabia lubił ten zapach), ile z tego co i o czym pisał. Jego *message* był zawsze ten sam: człowiek jest marnością nad marnościami, a próby poznania świata, pokierowania nim i własnym losem są tylko oznaką *hubris* — grzesznej pychy robaka, który zapomina, *kim* jest naprawdę. „Mądrością” dla Tołstoja jest zrozumienie własnej nicości, poddanie się biegowi rzeczy, wycofanie się („Śmierć Iwana Iljicza”); próby osiągnięcia szczęścia na własną rękę są nie tylko grzeszne, ale i pociągają za sobą zasłużoną karę („Anna Karenina”); niewinne na pozór przyjemności są „folgowaniem sobie” i jako takie zasługują na potępienie („Sonata Kreutzerowska”); wszelkie inne próby osiągnięcia mądrości są tylko mędrkowaniem, niepoważnym błazństwem. „Wojna i pokój” jest wykładem — ilustrowanym przykładami — tego ostatniego twierdzenia: Napoleon, Aleksander, generałowie wychowani na „niemieckim mędrkowaniu” to durnie, którzy nie rozumieją, że są niczym i że nic od nich nie zależy; jedynym, który to rozumie jest Kutuzow — prosty, pokorny, prawie Iwan Iljicz — a poza nim pod koniec powieści zaczyna przezierać tę „prawdę” Pierre.

Sądzę, że powieść ta ma wyłącznie cel propagandowy i widoczne to jest nawet w ewolucji pierwotnego jej zamysłu: Eichenbaum i inni badacze wykazali, że w kolejnych wersjach brulionu Tołstoj coraz bardziej odchodził od prawdy historycznej (Kutuzow był w rzeczywistości zarozumiałym i leniwym cymbałem), by coraz silniej uwypuklać swą przyjętą z góry tezę o zasadniczej bezwartościowości jednostki. Można by rzec, że w powieści tej Tołstoj dał najwyrazistszą wykładnię niepokojącego rosyjskiego terminu *lisznij czetawiek* — „człowiek zbędny”. W jego przekonaniu najgłębszym — może aż tak głębokim, że sam sobie tego w pełni nie uświadamiał — ludzie na świecie są zbędni. Najlepiej więc, żeby się „zbyli” — jak lemingi.

Jak supozycję tę pogodzić z jego sławną „dobrocią”, religijnością, umiłowaniem prostaczków i pacyfizmem? Sądzę, iż w istocie rzeczy nie ma tu nic do „godzenia” gdy się zrozumie, że u spodu tych wzniosłych idei leży mizantropia. Gdy człowiek jest istotą zawsze „niegodną”, jedyne co mu przystaje to pokora, poddanie się, wycofanie, zrozumienie własnej nikczemności. Podejrzewam, że jednym z motywów wszelkiego rodzaju prozelityzmu religijnego jest ta właśnie chęć „zdrobnienia” swych bliź-

nich: gdy zmusi się ich do uznania takiej czy innej „wyższej istoty” (od biedy mogą nią być nawet tajemniczy wysyłacze Latających Talerzy albo Nieznane Siły, powodujące wyginanie się łyżeczek od herbaty) będą mniej zadufani w siebie, a więc pokorniejsi. Za czasów Tołstoja nie trzeba się było jeszcze odwoływać do parapsychologii; wystarczył mglisty Bóg prawosławny, mitologia słowiańska oraz Nieubłagany Bieg Historii, podejrzenie podobny — ze względu na cele — do marksistowskiego Procesu Historycznego. I tu zbliżamy się do spraw aktualnych.

Podejrzewam i obawiam się, że ideologia tołstojowska — w unowocześnionej formie, ale o niezmienionej treści — nadal włada Rosją i zagraża światu. Na temat komunizmu napisano już tyle, że chęć dorzucenia tu czegoś nowego może się wydawać istotnie mędrkowaniem. Wydaje mi się jednak, że dotychczas zbyt mało uwagi poświęcono próbie wyłuskania zeń jego i s t o t n e j siły napędowej. Uważa się go zazwyczaj za rodzaj historycznego nieporozumienia: szlachetni idealisci chcieli dobrze, zostali zdominowani przez gangsterów i impreza się nie udała. Tłumaczenie to nie wyjaśnia, dlaczego impreza ta trwa tak długo, ma coraz to nowych adherentów (bynajmniej nie idealistów) i rozrasta się. Sprawa stanie się mniej zagadkową gdy uznamy, że komunizm *ma* określony cel — choć nie jest nim „uszcześliwienie” ludzkości w konwencjonalnym znaczeniu — i że cel ten jest atrakcyjny dla wielu. Moim zdaniem celem tym jest *namacalne uświadomienie innym ludziom, iż są niczym*.

Zrozumienie tego celu wyjaśnia wiele pozornych niekonsekwencji systemu komunistycznego. Można spytać na przykład dlaczego kraj, który potrafi wysłać rakiety na księżyc nie potrafi zapewnić swym obywatelom znośnego minimum życiowego? Z punktu widzenia naszkicowanej powyżej „ideologii lemingów” pytanie to nie ma sensu. „Tołstojowski” rząd kraju, który wysłał rakiety na księżyc (a więc jest czymś w rodzaju „wyższej istoty”) nie ma najmniejszego zamiaru zapewniać swym obywatelom jakichkolwiek *frills*; wręcz przeciwnie, w miarę możliwości obniży to minimum jeszcze bardziej. Z tego też punktu widzenia rozwój wypadków w Polsce po wojnie jest zrozumiały i logiczny, choć może nawet ci i owi „przywódcy” nie zdawali sobie całkiem sprawy, jakie cele i zamiary realizują. Komunistyczna mistyka Partii nie jest pozbawiona realnych podstaw: partia, mafia miernot złączonych wspólną ideologią leminga, jest istotnie siłą nadrzędną, która deleguje tylko takie czy inne jednostki do wykonywania założonego celu — powtarzam: namacalnego uświadomienia ludziom, iż są niczym — i utrzymuje je przy władzy tak długo, jak długo realizują one ten cel

w sposób zadawalający, a później usuwa je. Nie jest przypadkiem, że wszyscy przywódcy komunistyczni odchodzą z urzędu w nieładzie i że komunizm nie ma właściwie historii: poza chwilą obecną panuje tam niebyt, orwellowska Dziura Pamięci. Niebyt jest też punktem docelowym tego systemu. Jest wprawdzie tylko „celem idealnym”, a ponieważ na szczęście życie koryguje większość ideałów można mieć nadzieję, że nie skończymy wszyscy jak lemingi w powieści Selmy Lagerlöf. Ale nie można tej ewentualności wykluczyć — w Kambodży „ideologia lemingów” została urzeczywistniona w 40 % w ciągu trzech lat.

Powyższe refleksje na marginesie książki Berlina są próbą uchwycenia motywacji zdarzeń literackich i politycznych nie celem „obrzucania błotem” Tołstoja czy nawet komunizmu (nie bardzo wierzę w skuteczność inkantacji), a celem lepszego zrozumienia spraw, które dotyczą nas wszystkich. Zrozumienie czegoś zawsze jest użyteczne — osobiście na przykład dopiero w trakcie przygotowywania tego artykułu uświadomiłem sobie w pełni, dlaczego instynktownie nigdy nie znośłem Tołstoja.

M. BROŃSKI

## KONTRAST-OFFSET-DRUCK

BREITENSTEINSTRASSE 33 • D-8209 SCHLOSSBERG-ROSENHEIM  
TELEFON 08031 / 77 77

Jedyna w RFN POLSKA DRUKARNIA OFFSETOWA wykonuje:  
książki (kredyt możliwy!), periodyki, prace naukowe, katalogi, prospekty,  
brozury, odezwy, ulotki, zaproszenia, blankiety, karty świąteczne  
itp. organizacyjne, społeczne, handlowe i prywatne druki.  
**Solidne wykonanie - ceny umiarkowane!**

## Książki

### Horoskop

Między leniwy nurt obecnych wydawnictw krajowych i schyłkową literaturę „naszej” emigracji wdarł się, jak wywierzyisko, nurt trzeci: literatura polska niezależna od adresów autorów i miejsc wydania. Ten nurt, rosnący w siłę, nurt zadecyduje o przyszłych sędach historyków literatury a politologom podsunie temat: „Rola poezji w przebiegu procesów politycznych w Polsce w drugiej połowie XX wieku”.

Mamy za sobą 37 lat PRL, obejmujące stalinowski „okres błędów i wypaczeń”, odwilż, bunt kolejnych młodych generacji, wydawnictwa poza cenzurą, neo-odwilż połączoną z pseudo-ułaskawieniami niektórych pisarzy emigracyjnych, wreszcie zelżenie cenzury w okresie „intermezza” między sierpniem 1980 a grudniem 1981. I obecny czarny okres literatury krajowej. Wszystko przecięte cezurami pamiętnych dat z Poznania, Warszawy, Wybrzeża.

Dzień dzisiejszy wygląda inaczej w Kraju, inaczej w Paryżu, inaczej w Londynie. W Kraju zapoznanie się z bieżącą produkcją wydawniczą książkową daje wrażenie mylne. Dopiero teraz, w połowie 1982, pojawiają się książki zakwalifikowane do druku w okresie „solidarnościowym” przez cenzorów stosujących taryfę ulgową. Tym tłumaczy się ukazanie „Miazgi” Andrzejewskiego, „Ronda” Kazimierza Brandysa, „Pamięci Włoch” Wojciecha Karpińskiego i in. O książkach mających się ukazać krążą mętne obietnice wydawców. Są oni obecnie bardziej zaabsorbowani nie tyle tym, co będzie szło do druku i co puści cenzura, ile brakiem części wymiennych do zepsutych maszyn drukarskich i introligatorskich tudzież problemem dowozu dostatecznych ilości drzewa do nowej fabryki celulozy. Aby drukować *cokolwiek*, trzeba dysponować papierem.

Z prasy krajowej wynika, że drukuje się mało, a początek roku szkolnego odśloni zapewne rażące braki w zasobach pod-

ręczników. Ukazują się jednak nowe „cegły” literatury partyjnej, a wezwania do niedoficytowej gospodarki znajdują wyraz praktyczny w dodrukach popłatnych i szybko znikających z kiosków „kryminałów”. Kapaniną ukazują się książki „złożone do druku rok, dwa, trzy lata temu, a więc książki wyrastające z jakiegoś z tych przygniatających lub rozrywających społeczeństwo nastrojów” — pisze Ewa Starosta w artykule pt. „Bez związku” w nr. 11 bydgoskich *Faktów* z 3 lipca br. Wydarzenia okresu „intermezza” nie znalazły jednak dotąd w kraju odbicia w wydawnictwach książkowych a także we wznawianych powoli miesięcznikach. O tym, jaki wpływ mają na pisarzy wydarzenia ostatnich lat i miesięcy świadczą idące już w setki tytułów wiersze, reportaże, dzienniki, opowiadania a nawet powieści, ukazujące się „poza cenzurą” i poza Krajem, w *Kulturze*, *Pulsie*, w publikacjach o Wybrzeżu, „Solidarności”, stanie wojennym. Uzupełniają je i potwierdzają w pełni reportaże dziennikarzy z całego świata. Przewidywać jednak należy, że o ile sytuacja nie ulegnie radykalnej zmianie, w Kraju nieprędko będą mogły ukazać się ich odpowiedniki czy przekłady.

Piśmiennictwo nasze jest teraz zdecydowanie wielopostaciowe i jak nigdy dotąd rozlane po świecie. I kto wie, czy nie jest łatwiejsze do ogarnięcia na obczyźnie niż w samym PRL, gdzie jeśli nawet poweźmie się decyzję kupna nowości wydawniczej i wysuła złotówki na drastycznie podwyższone ceny, kupić jej i tak nie można, nawet spod lady, bo nakłady tak się mają do zapotrzebowania jak 20 tysięcy nakładu do 40 tysięcy bibliotek. Fakt że pojedyncze egzemplarze docierają jednak do mnie na drugi koniec Europy jest zjawiskiem nie dającym się logicznie wytłumaczyć. Luksusowe wydanie notatek malarskich i dzienników Jana Cybisa jest wśród nich dodatkowo trudnym do zrozumienia ewenementem.

Spodziewać się można, iż w Kraju ukazywać się będą przede wszystkim „cegły” z tekstami klasyków marksizmu-leninizmu i wydawnictwa „satelickie” w rodzaju już wydanego pamiętnika Jana Karola Wendego. Że — pod przymusem opinii — zwiększy się produkcja podręczników i lektur szkolnych, a względy prestiżowo-dochodowe wpłyną na publikowanie wydawnictw przeznaczonych dla turystów (przewodniki, informatory, książki na prezenty). Żle rysuje się przyszłość obsługi czytelnika masowego i bibliotek publicznych. Z zapowiedzi wyłania się tendencja ratowania sytuacji wznowieniami i sięganiem do repertuaru przekładów z języków obcych — bezpieczniejsze to od ryzykownych poczynąń autorów dziś krajowych, a jutro? Wstydliwym odgałęzieniem tego nurtu są skandaliczne zaniedbania w zakresie książek dla dzieci i młodzieży. Wydaje się też, że dla ratowania się przed zarzutami nietolerancji wydawać się będzie od czasu do czasu książki autorów publikujących swe utwory „poza cenzurą”. Wymowny jest w tym względzie *casus* Kazimierza Brandysa. Zagadką jest częściowe ułaskawienie Hemara, wyrażające się puszczaniem artykułu o nim w *Tygodniku Powszechnym*.

Równoczesne potępienia ks. J. Tischnera w *Trybunie Ludu* wskazują jednak, że diabeł nie śpi. Może zdrzemnął się na chwilę? Niewątpliwie mówić można o pewnym marginesie swobody wydawnictw katolickich ze „Znakiem” włącznie.

Z lektury *Tygodnika Powszechnego* wynika, iż cenzorzy działają niekiedy na własną rękę, co świadczyłoby o braku szczegółowych instrukcji. Tak np. w artykule Krzysztofa Dybciaka („Sacrum w literaturze”) powtarza się parokrotnie nazwisko Aleksandra Wata, starannie wykreślane w nieco wcześniej ogłoszonym wywiadzie z piszącą te słowa (w nr. z 30 maja).

Przewidzieć można, że nie poprawi się sytuacja debiutantów i autorów „drugiej” książki (po dobrze zapowiadającym się debiucie). Jest to punkt szczególnie bolesny. Około roku 1980 pojawiło się np. kilku pisarzy spod znaku „żywego słowa” (Łoziński, Schubert, Drzeżdżon, Stryk) — mają już po kilka książek. Ale teraz zniknęli! Na próżno szukałam wzmianek o nowych ich tytułach w „Zapowiedziach wydawniczych”. Inny przykład: Janusz Anderman, Jerzy Pluta, Jan Komolka — laureaci genewskich nagród Fundacji Kościelskich. I o nich głucho, wznowiono tylko „Ucieczkę do nieba” Komolki, wydaną po raz pierwszy po 6-letnim przetrzymaniu przez cenzurę. Wszystko to młodzi prozaicy, dla których okres „poza drukarnię” może mieć fatalne następstwa; to kradzież lat największych możliwości.

Lista poetów byłaby jeszcze dłuższa. A, jak świadczą pisma wydawane „poza cenzurą”, mówić można o wyłonieniu się nowych nazwisk, np. Jan Polkowski, Marek Baterowicz, Lothar Herbst, Lech Dymarski, Leszek Budrewicz i in. Obawiam się, że są lepiej znani za granicą niż w Kraju.

Senne numery leniwie wznawianej *Twórczości* wywołują wpływ tęsknoty do *Tekstów* i *Pisma*. Gdyby nie *Tygodnik Powszechny* ze skąpych dawkami najnowszej prozy i poezji, można by nie wiedzieć np. o świetnym debiucie O. Jana Góry („Mój dom”) i myśleć, że proza krajowa ogranicza się do Bratnego i Sokorskiego, a poezja do wszechobecnego Ożoga. Kto żyw drukuje „poza cenzurą”, choćby nawet tekst był cenzuralny.

Tradycyjna literatura emigracyjna wchodzi w stadium schyłkowe wobec pośpiesznego wymierania starych roczników i zdecydowanego braku *młodego* narybku (nie ratują sytuacji spóźnione debiuty emerytów). W wyniku wydarzeń politycznych punkt ciężkości literatury polskiej przenosi się na obczyznę. Wchodzimy w fazę, w której tysiące młodych Polaków wdrożonych do aktywnego korzystania z lektury, wrażliwych odbiorców poezji, przenosi się na krańce świata, bo rzekomo nie ma dla nich zastosowania we własnej ojczyźnie. Spośród nich wyłonić się powinni nowi Chciukowie, Bobkowscy, Straszewicze. Kto wie, czy nie oni przejmą kopię i otworzą nowy rozdział literatury emigracyjnej, — „literatury nadziei”. Już teraz są obecni nie tylko w *Kul-*

turze i wydawnictwach Instytutu Literackiego, nie tylko w transplantowanych pismach krajowych (*Pulsie*, *Zapisie* i in.) ale nawet w twierdzeniach emigracji powrześniowej takich jak *Tydzień Polski* czy *Orzeł Biały*. *Zapis* wypełnił trzy numery powieściami Konwickiego i Strykowskiego, *Puls* rozpoczął wydawanie własnej biblioteki powieścią Janusza Głowackiego „Moc truchleje” i esejami Mariana Brandysa. W Paryżu, obok Instytutu Literackiego, działa Towarzystwo Historyczno-Literackie patronujące w oparciu o „Libellé” serii „Historia i terażniejszość”. Także nad Sekwaną rozkręca się działalność Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej pod patronatem Miłosza. Wydaje się, że poza Krajem dostrzeżono wagę kontynuacji rzetelnego ruchu wydawniczego. Oby towarzyszyła temu troska o rozjeżdżających się nad dalekie morza przyszłych „latarników” i ich lektury.

Ubocznym efektem tych akcji jest wzrost znajomości literatury krajowej na emigracji. Twórcy znani do niedawna tylko garstce ekspertów są obecnie wspólną własnością ogółu Polaków. Nie zawsze jednak towarzyszy entuzjazmowi znajomość biografii twórców. Stąd pytania: „Kto starszy: Zbigniew Herbert czy Barańczak?”, „Czy Marek Nowakowski jest synem Zygmunta? — Nie. — To może bratem Tadeusza?” i brzmiające makabrycznie: „Jaki jest adres Marii Pawlikowskiej?”.

W fazie obecnej, gdy uwaga skoncentrowana jest na wydarzeniach krajowych, normalna działalność wydawnicza emigracji zdaje się schodzić na drugi plan. Niesłusznie. I tu zachodzą bowiem zjawiska zasługujące na uwagę, choć dwa ostatnie lata nie były okresem urodzaju. Doliczyłam się jednak ponad dwustu pozycji bibliograficznych, zasługujących na uwzględnienie w kontynuacji „Szkiców o literaturze emigracyjnej”. Na omówienie ich obecnie, w ramach „Horoskopu”, brak niestety miejsca. Zajmę się wyłącznie *zjawiskami charakterystycznymi* dla lat 1980-1982.

Jednym z nich jest wspomniane już wyżej *odmładzanie* istniejących już placówek wydawniczych, drukarni, księgarni itp. Przewidywać należy, że co energiczniejsi emigranci nie zadowolą się istniejącymi już możliwościami i po swojemu zaczną tworzyć nowe. Wydaje się to bardziej prawdopodobne od przejmowania placówek stworzonych w okresie wojennym. Ale i to jest forma odmładzania.

Innym zjawiskiem są *powroty* na obecną scenę literacką pisarzy niedostatecznie znanych lub zapomnianych, a dotyczy to nawet największych nazwisk z Gombrowiczem i Miłoszem na czele. Zjawisko to wyraża się wzmogonym zapotrzebowaniem w księgarniach i bibliotekach na książki już wydane albo przedrukami wyczerpanych tytułów. Z tej potrzeby narodziło się zbiorowe wydanie pism Miłosza, w którym przedruki książek wcześniej-

szych uzupełnia „Hymn o perle” wydany jako trzeci tom poezji zebranych. Instytut Literacki wznowił także „Dziennik” Gombrowicza i „Krótki żywot bohatera pozytywnego”, powieść Piotra Guzego. Staraniem „Kontry” ukazały się nowe wydania powieści Józefa Mackiewicza.

Bardziej skomplikowaną formą powrotu są podejmowane obecnie często *kumulacje tekstów rozproszonych*. Doskonałymi przykładami z tej dziedziny są: Józefa Czapskiego „Tumult i widma”, Macieja Brońskiego, *pseud.* „Teksty i preteksty” czy Konstantego A. Jeleńskiego „Zbiegi okoliczności” (wszystkie wydane w Bibliotece Kultury). Pewnym wariantem tej formy są książkowe wydania pogadanek radiowych np. „Historia Dwudziestolecia” Pawła Zaremby (w Bibliotece Kultury), — rozproszonych i ogłoszonych pod różnymi pseudonimami artykułów Zdzisława Najdera („Ile jest dróg?” — w Bibliotece Kultury). Krótkie poniedziałkowe felietony Stanisława Balińskiego ukazały się w wyborze pt. „Antrakty” staraniem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Tamże ukazały się nareszcie „Wiersze emigracyjne” Balińskiego; wyprzedziły od dawna zapowiadane wydanie krajowe. Innym wariantem kumulacji są książki automatycznie narastające w miarę biegu wydarzeń np. reportaże papieskie Tadeusza Nowakowskiego, wydawane przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie. Tu także mieści się „Dziennik pisany nocą” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, wyd. w Bibliotece Kultury.

Kilku pisarzy o znanych nazwiskach i pokaźnym dorobku przystąpiło do *podsumowania* swej wieloletniej twórczości w cyklach książek wydawanych w oparciu o firmy, pod egidą których teksty ujrzały druk. Tu na plan pierwszy wysuwa się niestrudzony Wit Tarnawski, conradysta, krytyk literacki, powieściopisarz, eseista, lekarz, którego *violon d'Ingres* jest literatura. Z wydanych dotąd tomów wyłania się zastanawiająco bogaty i różnorodny plon wielu pracowitych lat. Automatycznie podsumowuje się dorobek filozoficzno-religijny ks. Jerzego Mirewicza, niedocenionego eseisty: co roku ukazuje się staraniem ks. jezuitów nowy tom jego homilii, krótkich esejów z serii „Trzy minuty filozofii”, cykle poświęcone „Twórcom Europy” i in. Ciekawym eksperymentem jest niepokojąca różnorodnością i wagą poszczególnych tematów twórczość muzykologa i lingwisty Szymona Laksa, drukowana jak i pisma ks. Mirewicza w Oficynie Poetów i Malarzy. Najmocniejszą stroną Laksa są wspomnienia, a wyróżnia się wśród nich wyjątkowo spójny tom „Gry oświecimskie” (1979), odcinający się czystym tonem relacji od bardziej dla autora charakterystycznych przewlekłych polemik.

Jeszcze innym typowym dla ruchu wydawniczego na emigracji zjawiskiem jest nowa fala *pamiętników*. Tu schyłkowość „naszej” emigracji występuje najdobitniej. Jeśli nawet pisanie ich nie ma charakteru terapii zajęciowej, powstawało pod przymusem namów otoczenia i przeświadczenia, że ma się do odsłonięcia jakiś fragment historii politycznej, literackiej czy obyczajowej. Albo — że dodaje się jeszcze jedno świadectwo do istniejącej

już literatury dokumentalnej. Ogólnie biorąc jest to zjawisko dodatnie, choć często budzi się żal do autorów o odkładanie pisania do późnej starości. Są i rewelacyjne niespodzianki. Tak np. w pamiętniku Zbigniewa Zaniewickiego „Od Amazonki do Wisły” ukryta jest znakomita sylweta Miriama i tragiczna opowieść o wojennych losach rękopisów Norwida. Ale już wspomnienia ks. Eugeniusza Lubomirskiego zostawiają wrażenie niedosytu i świadomych niedopowiedzeń. Nie brak ich zresztą nawet u Zofii Kozarynowej, choć raczej za dużo niż za mało pomieścić chciała w „Stu latach” (wyd. Polska Fundacja Kulturalna).

Wreszcie zjawisko najkłopotliwsze do ujęcia a, niestety, bardzo dla literatury emigracyjnej charakterystyczne. Są nim *późne debiuty*. Pozytywną stroną reprezentują prace raczej naukowe niż literackie, typu „napoleońskich” monografii Stanisława Kirkora, w których historyk-amator bije erudycją i talentem pisarskim zawodowych historyków. Gorzej gdy darzą nas erotycznymi zwierzeniami panie w wieku kanonicznym, a zamożni emeryci przekształcają w powieści swoje „ciekawe życia”. Dalszym ciągiem są wydania kosztem własnym i próby odzyskania wkładu pieniężnego przy pomocy nakłaniania do nabycia dzieł „znakomych” lub „książek epoki”. Lubi dręczenie pytaniem „Kto jest księciem poetów?”. Często, niestety, zdarza się na emigracji, że o wydaniu książki decydują wygórowane ambicje ich autorów i grzecznościowe opinie otoczenia, a także — bo i to bywa — chęć zabłyśnięcia oryginalnymi koncepcjami twórczymi lub przeciwstawienia się „mafiiom” czyhającym na żwawych choć nieraz leciwych debiutantów(-tki). Tym tłumaczy się wtargnięcie do literatury emigracyjnej nie tylko stosunkowo łatwych do rozpoznania grafomanów ale i kandydatów na pisarzy z prawdziwego zdarzenia, publikujących własnym sumptem i kosztem wielu wyrzeczeń utwory niedonoszone, rozwlekłe czy skażone naiwną chęcią naśladowania wielkich wzorów. W Anglii czy Francji kandydat na pisarza przekakuje zazwyczaj kilka barier, nim wzdarty przez poprzedników maszynopis znajdzie amatora na wydawcę. Na emigracji w wypadku wydawnictw finansowanych z własnej kieszeni decyzję pobiera autor ze zgubnymi dla siebie skutkami, a więc frustracją i żalem do Bogu ducha winnych krytyków, którzy odważyli się zgłosić najłżejsze bodaj zastrzeżenie. Recenzje grzecznościowe mają znów to do siebie, że rozzuchwalają grafomanów i dezorientują czytelników, wściekłych że nabrano ich na kupno pięknie zresztą zazwyczaj wydanej tandety. Rozczarowanie zniechęca do dalszych zakupów, a „taryfa ulgowa” często stosowana na emigracji zaciemnia obraz produkcji wydawniczej i wywołuje zgryźliwe uwagi o jej poziomie. Jest to szczególnie przykre w okresie, gdy w wyniku sytuacji politycznej literatura emigracyjna stoi wobec nowych obowiązków nie tylko w stosunku do diaspory ale i Kraju.

Zjawiskiem dodatnim są natomiast *inicjatywy zbiorowe* wyrażające się podejmowaniem śmiało zaplanowanych zadań. Ta-



kimi dobrze zapowiadającymi się imprezami są np. *Pamiętnik Literacki* Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie i *Symposiones* Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO). Tu także zaliczyć należy książki zbiorowe przygotowywane przez organizacje kombatanckie i społeczne oraz dokumentarne relacje z doświadczeń wojennych, obozowych czy zsyłek. Nie wydaje mi się jednak, by stosować w nich należało formy zbeletryzowane. Przy niedostatkach archiwów ceni się bardziej niedołącznie nawet opowiedziane zdarzenia od gubiących granicę między prawdą a fikcją powieści. Sukces „Kuriera z Warszawy” Jana Nowaka jest najlepszą wskazówką, że dramatyczne przeżycia same ułożą się w porywający „serial” powieściowy.

Tradycyjny nurt literatury emigracyjnej ma przed sobą trudną przyszłość. Obdarzone talentem jednostki (np. Romanowiczowa, Iwaniuk, Grynberg) mają szanse wyjścia poza polskie podwórko, drastycznie zwężone po zamknięciu *Wiadomości* i „Oficyny Poetów”. Okres schyłkowy jest, jak napisałam wyżej, okresem trudnym. Nie jest jednak okresem upadku. Rzecz w tym, by pięknie schodzić ze sceny.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Feijó, Portugalia, 10 sierpnia 1982

## Kronika stanu oblężenia

Od początku do zakończenia obydwu tomów *Miesiący* mijają dokładnie trzy lata. Drugi tom<sup>1</sup> rozpoczyna się w kwietniu 1980, pierwszy, zaczęty w październiku 1978, kończy się w grudniu 1979. Ostatnie zdania drugiego tomu, zapisane w Nowym Jorku 13 grudnia 1981 roku brzmią: „Wiadomość ogłoszenia stanu wojennego w Polsce. Wszystkie połączenia odcięte”.

Data, którą pisarz kończy drugi tom *Miesiący* rozpoczyna w Polsce kolejną noc nierealności po osiemnastu miesiącach stanu wyjątkowego: determinacji narodu, aby decydować o własnym losie. Nigdy jeszcze w dziejach Polski, od Konstytucji 3 Maja i Targowicy, dwie siły nie zostały sobie tak jaskrawo przeciwstawione: dwie klasy, rządzone i rządzących, nie przewidziane przez Marksa w ustroju socjalistycznym.

Pierwszy tom *Miesiący* traktował o wolności, zdawał relację ze stanu społeczeństwa, które wywalczało sobie prawo do życia. Była to książka o przepoczwarzaniu się narodu, dokument histo-

1. Kazimierz Brandys, *Miesiące, 1980-1981*, Instytut Literacki, Paryż 1982, str. 223.

ryczno-socjologiczny, spisywany przez świadka dobrowolnie uwikłanego we wszystkie etapy przemian.

Drugi tom jest zarazem bogatszy i uboższy. Pierwszy przypominał bardziej *Nierzeczywistość*, był historią genealogii inteligencji polskiej ostatniego stulecia. Drugi jest w większym stopniu zapisem z teraźniejszości. Ale obydwu zdają się pełnić funkcję psychicznego regulatora; zapis prowadzony jest także dla samokontroli i osobistej higieny. Istnieją sposoby na zaklinanie zbiorowego nieszczęścia i osobistych zwątpień: „... wciąż przywoływać ulatniającą się pewność, że nawet jeśli wszystko się rozpadnie, dalej będę pisał i sam wystukam na maszynie tekst z trzema kopiami”.

Materia literacka obydwu tomów *Miesiący* jest bardzo przemieszana; to wiele gatunków ujednoczonych nadrzędną formą mniej lub bardziej chronologicznego zapisu, prawie jednolitą tonacją stylistyczną i równomierną emocjonalną ciepłotą. *Miesiące* są książką wielowarstwową; drugi tom, nieco mniej osobisty, mniej retrospektywny niż pierwszy — traktuje w równym stopniu o zmaganiu się z materią życia przy przemienianiu go w literaturę, co o zmaganiu się z samym życiem: „Od paru lat nie tworzę fabuł, ale może nigdy nie czułem tak wyraźnie, że jestem w fabule. I może nie zacząłbym pisać *Miesiący*, gdybym nie był się znalazł w toku akcji układanej z prawdziwych zdarzeń i postaci, gdybym tak silnie nie dał się w nią wciągnąć. Teraz jednak — myślę — znowu czas zadać sobie pytanie, czy sam porzuciłem swoje fikcje, by kiedyś jeszcze do nich powrócić, czy też bezpowrotnie zostałem przez nie opuszczony”.

Wymieszanie spraw i ich równorzędność jest zaletą i koniecznością *Miesiący*. Drugi tom jest mniej komponowany od pierwszego, ale składniki w tym tyglu są dokładnie te same, choć może w odwróconych proporcjach. Jedynym, jak się zdaje, kompozycyjnym założeniem Brandysa było spisywanie wypadków do końca grudnia 1981 roku. Historia przyspieszyła zakończenie książki o kilkanaście dni.

Jest to jeden z najbardziej pomieszanych, najdziwniejszych okresów w politycznej historii powojennej Polski. Życie w kraju biegnie różnymi, jakby nie wiedzącymi o sobie torami. Relacja z nieodbytego z powodu rewizji wieczoru autorskiego Brandysa sąsiaduje z informacją o czytaniu fragmentów *Nierzeczywistości* w krajowym radio i wydaniu jego książek przez NOW-ą. Scena z nieodbytego wieczoru autorskiego dobrze ilustruje ową dziwność. Są tu dwa mistrzowskie portrety milicjantów i atmosfera specyficznej, chyba jedynie w Polsce do pomyślenia „ludkości”: wrażenie wspólnie umówionej gry, nie z chamstwa czy wrogości. (To, oczywiście, tylko jedna z rewizji, wiadomo że inne odbywały się w innej konwencji). Brandys w pewnym momencie zastanawia się dość naiwnie (a może nie naiwnie!), czy on i jego przyjaciele dali swoim zachowaniem dobry przykład młodym milicjantom.

W drugim tomie materia życia bierze siłą rzeczy górę nad

refleksyjną. Dwa główne nurty *Miesiący* to społeczeństwo w śmiertelnym uścisku z rządem i twórczość literacka. Miesiące czekania na to, co stanie się z Polską i walka o pisanie. Codziennosc, której sprawdzianem jest czysta lub zapisana kartka papieru. Niekiedy w tonacji melodramatycznej: „Pytałem: co zrobisz ze sobą. W ciemności odpowiedź była jasna: zamienię życie na pisanie”. Chwilami poślizg w patos: „Ale pociesz się, jesteś pisarzem szczególnie w twoich czasach, nieskłonnych do wiary w człowieczeństwo, i również w twoim kraju, bo darzysz go miłością ironiczną, co na tej ziemi jest rzadkie niesłychanie. Polacy będą cię czytali”. Bez wątplenia. Ale czyż nie wszyscy wybitni pisarze polscy darzyli — i darzą — ten kraj miłością ironiczną, jedyną do pomyślenia? Jak powiada poeta: „na taką miłość nas skazali / taką przebodli nas ojczyzną”.

Drugi tom *Miesiący* jest o jeden element bogatszy od pierwszego. Brandys, który w pierwszej książce niemal odmówił komentarza na temat swojego akcesu do komunizmu i socrealizmu, pisze tutaj ze szczerością i bez uników: „Pisane przeze mnie w tych latach opowiadania takie jak „Hotel Rzymski” czy „Nim będzie zapomniany” stanowiły mieszaninę wstrząśniętej świadomości i resztek dawnych przekonań; oceniałem też niesprawiedliwie ludzi, którzy dostrzegli zło wcześniej niż ja i wyciągnęli śmielsze wnioski. W końcu, gdy uczniem ostatni, decydujący krok, poczułem ulgę. Byłem wolny”.

Trzeci nurt *Miesiący*: dwoje ludzi zdanych na siebie. Przy okazji kłótni z żoną Brandys napomyka, że ktoś bezskutecznie namawiał go do napisania powieści o małżeństwie. Nie tak bezskutecznie, skoro odbywa tomy *Miesiący* są także książką o małżeństwie. Jest to dla mnie organiczna i konieczna warstwa *Miesiący*. Szczególnie tam, gdzie Brandys cofa się w Dwudziestolecie i opisuje historię Polski poprzez historię dwóch rodzin: swojej i żony. Metoda, która nigdy nie zestarzeje się w prozie: „Ojciec M. chodził do pracy na biurowej posadzce jak na polowanie — w zielonej myśliwskiej kurcie; niepotrzebne już samochodowe rękawice sprzedawało się, żeby pójść do teatru”.

Dwoje splątanych, złączonych ze sobą ludzi, poddanych tym samym ciśnieniom historii i codzienności. Żona Brandysa jest niezmiennym (i niezbędnym) składnikiem kompozycji *Miesiący*, rodzajem ich barometru. Jej obecność jest obecnością współuczestnika, świadka i sędziego. Jej wyczuciem rzeczywistości koryguje Brandys własne widzenie, własne życie, własne pisanie: „Wybierając kobietę, bierze się przeciwnika lub ofiarę. Innymi słowy: wybiera się kobietę, w której przeczuwa się swoją nadwartość, lepszą możliwość własnej osobowości, lub taką, która utwierdzi możliwość gorszą, podwartość. (...) Można wybrać jedną z tych dwóch kobiet i będzie to wybór nie tylko rodzaju życia, lecz także swojej osoby”. Spodobały mi się te uwagi, chociaż nie bardzo w nie wierzę.

*Miesiące* są książką proroczą, spełniają się w niej złe pro-  
roctwa i prawie żadna z nadziei. Nad wszystkim góruje strach

przed decydującą rozgrywką, próbą sił. Brandys cytuje fragment przemówienia Jana Józefa Lipskiego w Związku Literatów: „Chciał ostrzec salę przed milczeniem; protestować należy już teraz, póki nie jest za późno. — Bo proszę państwa — powiedział — może znów nadejść czas, gdy ludzie będą się bali mówić. — Po czym dodał: — ...i kiedy ja także będę milczał”.

Brandys ostrożnie stawia diagnozy polityczne i ewentualne prognozy na przyszłość. Sierpień relacjonuje z Berlina Zachodniego, doceniając dobrodziejstwa dystansu: „(...) Wsadzono mnie pod inny klosz, więcej transmisji ze świata, mniej lokalnych opinii i podejrzeń. (...) Tutaj po dwóch miesiącach nieobecności warszawski kurz opada i widać tamtą codzienność z monumentalnej perspektywy; na znajomy widoczek rzutuje nieznaną przyszłość. (...) Klosz. Siedzę w nim, pokazują mi Wałęsę kłękającego przed Papieżem. Myślę: jakież to cudowne. Za pięćdziesiąt lat ktoś urodzony po naszej śmierci westchnie z podziwu dla naszego życia, które upływało wśród bajecznych scen”. To jedna z najlepszych uwag w całej książce, dzięki subtelnej ironii, na którą Brandys w *Miesiącach* rzadko sobie pozwala.

Nad Wisłą jednak zdarzył się cud, którego 13 grudnia nie może unicestwić. Z Warszawy Kijowski donosi Brandysowi o jego charakterze: „Ciekawe, jak zmienił się w ogóle polski sposób bycia. Zniknęło gdzieś komedianctwo, dowcipnisiostwo, zgrywa, ironia. Nie ma w ogóle dowcipów!... Z drugiej strony pojawiła się cecha nowa: cierpliwość organizacyjna. (...) To już nie jest kraj ani Gogola, ani Kafki, ani Mrożka, lecz zupełnie nowych jakości moralnych i zupełnie nowych tematów. Już ani Marek Nowakowski do niego nie pasuje, ani Iredyński”. Brandys reaguje ostrożnie: „Więc tak jest teraz w Polsce. Jak będzie dalej, przetrwamy, czy zostaniemy oddani pod but, swój albo obcy?”.

*Miesiące* są spisywane z powagą i ostrożnością człowieka, który wie, że wziął na siebie sporą odpowiedzialność przed ludźmi i historią. Stąd ów ton z lekka uroczyisty, tokowanie wokół własnego pisarstwa i zbyteczna miejscami troska o werytyczność *Miesiący*. Natężenie intelektualne nie może być i nie jest jednakowe. Ale utrzymuje się prawie zawsze w obrazach (choć te są natury emocjonalno-plastycznej). Są to obrazy uduchowione — i uduchowione! — obcością Polaka w każdym miejscu, w jakim by się nie znalazł, szczególnie w Europie Zachodniej, szczególnie we własnym kraju. Brandys jest sobą, i to sobą na najwyższym literackim poziomie, kiedy zderza swoją polsko-inteligencką egzystencję z pejzażem rodzimej, zabłoconej prowincji i zachodnioeuropejskich miast. Wśród pięknych, smutnych opisów Paryża uwaga z dawnych notatek: „Więc znów trzeba się powlec, znów być paryżaninem i dalej udawać, że jest się u siebie w tym wielkim obcym mieście, gdzie nikt nie ma pojęcia, że myszy Popiela zjadły”.

Obrazy: kolejki po południówkę w Oborach, biała lama ujrzana w wieczornym świetle na Kurfürstendamm. Podniętę daje

rzeczywistość zewnętrzna, ale właściwy literacki obraz wysnuwa Brandys z siebie: z rzeczywistości wewnętrznej, ustawicznie fabularyzującej, jakby w stanie ciągłego pogotowia i oczekiwania na bodźce. I w tych obrazach jest prozaikiem, którego polskiej literaturze brak. Nie miejsce, żeby się nad tym rozwodzić; powiem tylko, że polskiej literaturze brak nie tyle prozy realistycznej, co inteligentnej i cywilizowanej. Umiejętnie łączącej obraz z refleksją natury moralnej, estetycznej, poznawczej. I emocje z urodą i klarownością stylu. Ci, którzy — łącznie z Brandysem — twierdzą, że gatunek jest w ogóle na wymarcu, po prostu nie czytają. Nigdy nie mieli w rękach Bellowa i Singera.

*Miesiące* są tragedią bez *katharsis*, ale nie brak im kulminacji i chóru, który jak w wierszu Herberta *Postaniec* skanduje swoje „ciemne proroctwa i klątwy”. Na ostatnich sześćdziesięciu stronach następuje przyspieszenie katastrofy. „Rok od sierpnia do sierpnia był długi” — zapisuje Brandys. Ostatnie miesiące są opisem zbiorowej psychozy, strachu: „(...) Wszyscy zaczęli się bać. Od pewnego czasu zmory dręczą podświadomość społeczną, to ogół boi się dziś myśli o grożącej pustce”. I parę stron dalej: „Chodźmy podszyci dubeltową śmiertelnością, z jedną datą podyktowaną przez naturę, z drugą zapowiadaną podobno na grudzień czy październik (zanim skończę książkę)”. I jeszcze trochę wcześniej: „Więc strach, że to już koniec, i ulga, że już nie trzeba będzie pisać”. Wyznanie aż drastyczne w szerości.

Nie chcę kończyć głupekowatym: „Mam nadzieję, iż p. Brandys...”. Ale to prawda, że mam tę nadzieję, tak jak mam nadzieję, że kiedyś przyjadę do Krakowa pociągiem, w czysto posprzątanym wagonie. Nie jestem pewna, czy literatura nadaje sens dziejom, ale prawie pewna, że potrafi zbliżyć ludziom ów sens, którym jest zrozumienie własnego losu w zbiorowym. To nie to samo co pisanie „ku pokrzepieniu serc”. I jeszcze porównanie, za które jestem Brandysowi wdzięczna: „Mała, uparta Judea ze swoim Bogiem, co tak okrutnie ją doświadczał, zwariowany naród, który nie uklęknął przed Supermocarstwem”.

Janina KATZ HEWETSON

## Nadesłane nowości wydawnicze

Gdańsk 1980. *Fotografie*. Album zdjęciowy. Str. 64. (Wyd. Overseas Publications Interchange Ltd., London 1981).

IWAŃSKA (Alicja) — GRALEWSKI (Jan). *Wojenne odcinki*

(Warszawa 1940-1943). Str. 201 i 7 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1982).

BOHUSZ-SZYSZKO (Marian). *O sztuce*. Str. 309 i 3 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1982).

BEDNARCZYK (Czesław). *Z religijnych zamysłów*. Wiersze. Str. 30 i 2 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1982).

CYBULSKI (Kazimierz). *Trzy drogi*. Wiersze. Str. 60 i 4 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1982).

DYLAN (Thomas). *Pod Mleczną Drogą*. Adaptacja Tymona Terleckiego. Str. 49 i 3 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1981).

LAKS (Szymon). *Taryfa ulgowa kosztuje drożej*. Str. 118 i 2 nlb. (Wyd. OPIM, Londyn 1982).

JĘDRZEJEWICZ (Wacław). *Józef Piłsudski. 1967-1935*. Życiorys. Str. 303 i 5 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1982).

KAROLAK (Tadeusz). *Na fali*. Str. 112. (Wyd. nakładem Autora, fack 571, S-13525 Tyreso, Szwecja).

RUCH (Janusz Marian). *Solidarność kapłańska. Wspólnota przezbiterów diecezjalnych*. Str. 107 i 3 nlb. (Wyd. Century Publishing Co., Toronto 1982).

BUCZEK (Roman). *Był taki czas...* Str. 155 i 36 nlb. (Wyd. Century Publishing Co., Toronto 1981).

*Dzieje apokaliptyczne. Listy i Apokalipsa. O początkach Kościoła*. Str. 445 i 3 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1982).

TISCHNER (Józef, ks.). *Etyka Solidarności*. Wyd. II poszerzone. Str. 91 i 5 nlb. (Wyd. „Spotkania”, Paryż 1982).

MACKIEWICZ CAT (Stanisław). *Kto mnie nie chciał?* Str. 75 i 3 nlb. (Wyd. „Jedność”, Sztokholm 1982).

KORASZEWSKI (Andrzej). *Wiersze*. Ilustr. A. Ploski. Str. 52. (Wyd. „Jedność”, Sztokholm 1982).

*Czas walki — wrota borby*. Zbiór karykatur i rysunków z prasy zachodniej z komentarzami w języku polskim i rosyjskim. Str. 40. (Wyd. Polonia Book Fund, Londyn 1982).

CIOŁKOSZOWIE (Adam i Lidia). *Niepodległość i socjalizm 1835-*

1945. *Audycje radiowe*. Str. 70 i 2 nlb. (Wyd. Puls Publications w serii „Puls politicus”, Londyn 1982).

*Poezja stanu wojennego. Antologia*. Str. 100 i 2 nlb. (Wyd. Puls Publications, Londyn 1982).

SUSKI (Julian). *W służbie publicznej na dwóch kontynentach*. Str. 264 i 6 nlb. (Wyd. Century Publishing Co., Toronto 1982).

MIŁOSZ (Czesław). *Det trellbundne sinn*. Przeł. Ivar Lunde. Str. 221 i 3 nlb. (Wyd. H. Aschehoug et Co., Oslo 1981).

*Annali della Fondazione Luigi Einaudi*, vol. XIV - 1980. Str. 704 i 12 nlb. (Wyd. j.w., Turyn 1980).

WANKOWICZ (Melchior). *Historia de una familia polaca*. Str. 79. (Wyd. Biblioteca de „La Voz de Polonia”, Argentina 1982).

TARNAWSKA (Marta). *Zemetrus. Poeziji 1971-1980 roki i pereklady*. Str. 96. (Wyd. „Słowo”, New York 1981).

STEPANENKO (Mykoła). *Borec za ideji ukrajinskoji nacji. Petluriana*. Str. 59 i 1 nlb. (Wyd. „Ukraina”, Waszyngton - Filadelfia 1982).

*Kalendar „Słowo” na juwylejnyj 1982 rik*. Str. 144. (Wyd. „Wilne Słowo”, Toronto 1982).

Symon Petlura. *Zbirnyk studijnonaukovoji konferenciji w Paryzi (trawen 1976)*. *Statti, zamitky, materjaly*. Red. Wołodymyr Kosyk. Str. 237 i 3 nlb. (Wyd. Ukrajinskyj Wilnyj Uniwersytet, Monachium - Paryż 1980).

*Notatky z mystectwa. Ukrainian Art Digest*. Nr 21, lipiec 1981. Str. 79. (Wyd. Bodoł OMUA, Filadelfia).

TARAS BULBA-BOROVETS (otaman). *Armija bez derzawy. Stawa i tragedia ukrajinskocho powstanskocho ruchu*. *Spohady*. Str. 327 i 1 nlb. (Wyd. Towarzystwo „Wołyn”, Winnipeg Kanada, 1981).

Zinowiew (Aleksandr). *Moj dom — moja czużbina*. Str. 120 i 5 nlb. (Wyd. L'Age d'Homme, Lozana 1982).

## Humor krajowy

### PYTANIA I ODPOWIEDZI:

- Jakim cudem zamach stanu w Polsce udał się?
- Ponieważ wiedzieli o nim tylko cztery osoby: I Sekretarz, Premier, Minister Obrony Narodowej i... generał Kulikow.
- ◆
- Jaki jest związek między wprowadzeniem stanu wojennego a „Solidarnością”?
- Radziecki...
- ◆
- Jak obecnie wyglądają Polacy?
- Jak kartofle: część w mundurach, część tłuczona.
- ◆
- Dlaczego władza strzela do robotników?
- Bo celem władzy socjalistycznej jest robotnik.
- ◆
- Jakich sankcji ze strony Zachodu obawia się Związek Sowiecki najbardziej?
- Tego, że przestaną przysyłać części zamienne do Breżniewa.
- ◆
- Czym zaczyna się dzień na Kremlu?
- Reanimacją...
- ◆
- Co będzie po stanie wojennym?
- Wolność na kartki.

Patrol zatrzymuje samochód meblowy, każe otworzyć i widząc w środku broń krzyczy: — To mają być meble?!

— Jaki pokój, takie meble — odpowiedział kierowca.

### SŁOWNIK TV:

- 3 Polaków — nielegalne zebranie
- 5 Polaków — nielegalny wiec
- 10 milionów Polaków — garstka ekstremistów.

## NEKROLOG

W dniu 13 grudnia 1981 roku zmarła zadziobana przez WRON-ę gospodarka polska. Od tej pory, wobec nieprzejednanej postawy prezydenta Reagana, jesteśmy zmuszeni przyjąć biedne sieroty — WRON-ę i PZPR na nasze wyłącznie utrzymanie. Pograżone w głębokim smutku

kraje RWPG

◆  
Szczyt bezczelności: Weisnąć milicjantowi złotówkę i skorzystać z automatu...

◆  
Związkowi Sowieckiemu przybyły dwa stany: Afganistan i stan wojenny w Polsce.

◆  
Westchnienie zrezygnowanego: Edziu wróć! Pomożemy!

Zebrała Zofia HERTZ

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

8-7-82

*Gazeta Krakowska* podaje, że w Kołobrzegu władze zarządziły, że każdy kto dostarczy do handlu 300 kapsli po butelkach z wodą sodową ma prawo do zakupu w sklepie uspołecznionym pary... majtek. Przed sklepami są długie kolejki.

4-8-82

Sąd warszawskiego Okręgu Wojskowego w Krakowie skazał Stanisława Handzlika wiceprzewodniczącego komisji robotniczej hutników NSZZ „Solidarność” w Hucie im. Lenina na cztery lata więzienia oraz utratę praw publicznych na okres dwóch lat. Wyrok jest prawomocny. ■ Radę Główną Episkopatu Polski tworzą: Ksiądz Prymas jako Przewodniczący, kardynał Franciszek Macharski jako wiceprzewodniczący, arcybiskup Jerzy Stroba, arcybiskup Henryk Gulbinowicz, arcybiskup Bronisław Dąbrowski, bp Józef Rozwadowski, bp Lech Kaczmarek, bp Ignacy Tokarczuk, bp Bolesław Pylak.

11-8-82

Główny Urząd Ceł PRL podaje o masowych próbach szmugłu, mianowicie: nadal wywozi się do Bułgarii kremy i kapy, a do Rumunii — złoto.

13-8-82

Zmarł w Warszawie Adam Ważyk wybitny poeta, eseista i tłumacz.

15-8-82

Od grudnia 1981 do końca lipca 1982 odwołano w PRL 12 wojewodów, 43 wicewojewodów i 25 prezydentów miast. ■ Od sierpnia br wszystkie instytucje charytatywne w PRL zwolniono z opłat pocztowych związanych z doręczaniem paczek zagranicznych. ■ Wicepremier Mieczysław Rakowski zgłosił po czterech miesiącach akces do Stronnictwa Demokratycznego PRL. Jednocześnie ustąpił ze stanowiska redaktora naczelnego tygodnika *Polityka*. Nowym naczelnym redaktorem pisma został Jan Bijak. Planuje się powołanie rady redakcyjnej tygodnika, która będzie określała koncepcje pisma, jego program i profil oraz pełniła funkcje doradcze wobec redakcji.

18-8-82

Kazimiera Iłakowiczówna obchodziła 90-tą rocznicę urodzin i 70-lecie pracy twórczej.

19-8-82

*Słowo Powszechne* podaje, że przeciętny koszt pogrzebu „skromnego, ale nie biednego” wynosi 51 tysięcy złotych. Są to koszty faktyczne. Ale zakłady pogrzebowe twierdzą, że koszty pogrzebu mogą się zmieścić w sumie 9 tysięcy złotych. Dziennikarz nie mógł sprawdzić, czy ten cennik odpowiada rzeczywistości.

20-8-82

Radio Warszawa przeprowadziło wywiad z majorem Wiesławem Górnickim, doradcą premiera, który na zapytanie, czy audycje zagraniczne są zagłuszane oświadczył: „Najpierw wyjaśnijmy sprawę, że władze polskie nie prowadzą zagłuszania żadnych zagranicznych rozgłośni. Pomijając już wszystkie inne względy jest to rzecz energetycznie dość kosztowna”.

24-8-82

*Trybuna Ludu* podaje, że na dzień 30 lipca br. przeprowadzono postępowania sądowe w 115 sprawach karnych przeciwko 289 osobom, w tej liczbie 218 osób zajmowało kierownicze stanowiska. Wśród osób osądzonych znajduje się m.in. 1 minister, 2 wiceministrów, 6 wojewodów, 5 wicewojewodów, 7 sekretarzy KW PZPR, 2 kierowników wydziału KW PZPR, 3 sekretarzy KM i KD PZPR, 12 prezydentów miast i naczelników gmin, 28 dyrektorów przedsiębiorstw, 8 dyrektorów wydziałów Urzędów Wojewódzkich.

26-8-82

Zmarł w Warszawie w wieku 38 lat poeta, dramaturg i felietonista Adam Kreczmar. ■ W Warszawie zmarła w wieku 46 lat piosenkarka Anna German.

13-9-82

Sąd Wojskowy w Warszawie zażądał kary 10 lat więzienia dla Leszka Moczulskiego, przewodniczącego KPN.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

30-6-82

Zmarł w Brazylii kpt. Stefan Czaplinski, były oficer 2-go Korpusu oraz b. współpracownik tygodnika *Lud*. ■ *HRI Human Rights Internet Reporter* podaje w numerze z czerwca-sierpnia 1982 (za biuletynem Wysokiego Komisarza dla spraw uchodźców w Genewie): W Europie ocenia się na 47 tysięcy ilość polskich „poszukiwaczy azylu”, większość z nich w Austrii (30 tysięcy) i w RFN (11 tysięcy). W Austrii około 5 tysięcy Polaków wyraziło chęć osiedlenia się w tym kraju. Prócz „poszukiwaczy azylu” ocenia się na 90 tysięcy ilość Polaków, którzy w Europie poprosili o pozwolenie na pobyt, lub o przedłużenie wizy turystycznej. Pewna ilość Polaków — głównie marynarzy — dotarła również do Ameryki Łacińskiej, Azji, Afryki i na Bliski Wschód, prosząc tam o azyl. Po 13 grudnia 1981 szereg rządów europejskich postanowiło, że prośby o azyl rozpatrywane będą zgodnie z istniejącymi procedurami odnośnie statusu uchodźcy. Ci proszący którzy nie są uznawani za uchodźców w myśl Konwencji z roku 1951 i Protokołu z roku 1967 uzyskują jednak zezwolenie na czasową kontynuację swego pobytu w danych krajach. Inne rządy wołały uregulować pobyt Polaków na swych terytoriach i sprawę statusu uchodźczego odłożyć na później. Potrzeba przyjęcia z pomocą była szczególnie ostra w Austrii, gdzie rząd wydał na polskich „poszukiwaczy azylu” w roku 1981 ponad 50 milionów dolarów. Wobec tego poważnego ciężaru finansowego Wysoki Komisarz przyznał władzom austriackim 2 miliony dolarów z funduszu specjalnego. Wysoki Komisarz zwrócił się też 30 grudnia 1981 do 24 rządów z apelem o zgodę na osiedlenie. Na apel odpowiedziały dotychczas następujące kraje: Australia (1000), Islandia (25), Luxemburg (75), Holandia (100), Nowa Zelandia (100), Szwajcaria (1000). Prócz tego Australia, Kanada i Stany Zjednoczone opracowały programy osiedleńcze dla uchodźców ze Wschodniej Europy. Ocenia się następująco liczbę polskich uchodźców, którzy będą mogli skorzystać z tych kwot w roku 1982: 4.500 w Australii, 3.500 w Kanadzie, 5.500 w USA. (Cyfry dotyczą uchodźców z Austrii).

17-8-82

Zmarł we Francji w wieku 85 lat pułkownik August Gustaw Tysowski Legionista, wieloletni prezes Komisji Rewizyjnej Federacji Światowej SPK, działacz Polskiego Funduszu Humanitarnego we Francji.

8-9-82

Zmarł w Londynie w wieku 81 lat Kazimierz Sowiński, żołnierz AK i 2-go Korpusu, wieloletni prezes Związku Pisarzy, wybitny poeta, prozaik i krytyk.

16-9-82

Ukazująca się w Paryżu *Russkaja Mysl* przystępuje w najbliższej przyszłości do wydawania kwartalnika pt. *Obozrieniye*. Pismo będzie poświęcone zagadnieniom historii, kultury i nauki Rosji i Związku Sowieckiego. Redaktorem pisma będzie znany historyk, pracujący w Stanach Zjednoczonych Aleksandr Niekrycz. ■ W okresie od 1980 do chwili obecnej do Stanów Zjednoczonych przybyło około 40 tysięcy Polaków z zamiarem osiedlenia się tam na stałe.

29-9-82

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się odczyt prof. Mieczysława Gogacza pt. „Spojrzenie na filozofię powojenną w Polsce”. Prof. Gogacz wykladał w Akademii Teologicznej w Warszawie i jest specjalistą w zakresie problematyki filozofii średniowiecznej. ■ Do końca sierpnia zezwolenie na działalność w Polsce zdobyło 280 firm polonijnych, stara się dalsze 140. Firmy te zatrudniają już 6.405 osób, od początku roku uzyskały obroty rzędu 6 mld zł, z czego blisko 4 mld przypada na produkcję rynkową. Firmy polonijne zajmują się przetwórstwem ryb, produkcją brojlerów, glazury, obuwia i mydła. Jedna z firm będzie sprowadzać z Zachodu używane maszyny rolnicze, remontować je i sprzedawać zapewniając dostawę części zamiennych. Inne firmy interesują się wykorzystaniem surowca tartaczanego, odpadów hutniczych i kooperacją w produkcji farb i lakierów. Charakterystyczną cechą nowo organizowanych firm jest większe niż dotychczas zaangażowanie kapitałowe i zainteresowanie eksportem.

## KRONIKA AUSTRALIJSKA I NOWOZELADZKA

Na zaproszenie Australijskiego Uniwersytetu Narodowego w Kanberze przybył w czerwcu, na wygłoszenie serii odczytów, głównie w australijskich ośrodkach uniwersyteckich, prof. Leszek Kołakowski. W czasie swej wizyty w Australii, prof. Kołakowski udzielił wywiadu polskiej sekcji radia australijskiego oraz *Tygodnikowi Polskiemu*, wydawanemu w Melbourne. ■ Premier Australii Malcolm Fraser przyjął patronat australijskiego Komitetu Solidarności z Narodem Polskim, w skład którego wchodzi wybitni przedstawiciele wielu dziedzin życia australijskiego, a którego prezesem jest senator D. J. Hamer. ■ Wydawane w Sydney, pismo w języku francuskim *Le Courrier Australien*, z okazji 90-tej rocznicy nieprzerwanego ukazywania się tej publikacji, w specjalnym jubileuszowym numerze, wspomina obszerne o założycielu tego pisma Polaku Karolu Wróblewskim, urodzonym w Grodnie w roku 1855 (syn Feliksa, herbu Jastrzębiec, i Zofii Jelskiej). ■ Kurs polonistyki na Monash University w Melbourne prowadzony jest obecnie w ramach studium języków słowiańskich, które powstało w miejsce zniesionego wydziału języka rosyjskiego. Wprawdzie kurs polonistyki jest jednoroczny, ale stanowi pełnoprawny przedmiot uniwersytecki i jest wstępem do dalszych studiów slawistyki porównawczej. Absolwenci mogą ubiegać się o wyższe stopnie naukowe do doktoratu włącznie. Wykładają prof. J. Marwan i A. Gawroński. ■ W Australii wychodzą — o zasięgu ogólnoaustralijskim — dwa polskie tygodniki: *Tygodnik Polski* (Melbourne) i *Wiadomości Polskie* (Sydney), oraz miesięcznik *Przegląd Katolicki* (Sydney)

Polskiej Misji Katolickiej w Australii i Nowej Zelandii. ■ W związku z zakończeniem australijskiego roku finansowego 1981/82 (zamykającym się 30 czerwca), Spółdzielnia Domu Polskiego im. T. Kościuszki w Melbourne poinformowała, jako wydawca, o stanie finansowym *Tygodnika Polskiego*. W wymienionym roku finansowym obroty *Tygodnika Polskiego* zbliżyły się do sumy stu tysięcy dolarów. Nakład nadal wzrastał, jednak przy dużym wzroście kosztów produkcji i ekspedycji dochód przyniósł tylko \$3.000. *Tygodnik Polski* jest chyba jedynym polskim pismem emigracyjnym, które udziela zniżki prenumeratom-emerytom; wartość tej zniżki w okresie rocznym wynosi obecnie około \$6.000. W ramach swoich świadczeń społecznych wydawnictwo to przesyła bezpłatnie egzemplarze pisma nowoprzybyłym polskim uchodźcom, przebywającym w hostelach. *Tygodnik Polski* wraz ze Spółdzielnią Domu Polskiego im. T. Kościuszki przydziela corocznie stypendia w wysokości \$600 osobom spośród miejscowej polskiej młodzieży, które dodatkowo studiują język polski. ■ Spośród blisko 150-tysięcznej australijskiej Polonii najlepiej zorganizowany ośrodek polonijny znajduje się w stolicy Tasmanii Hobart. Ośrodek ten, powstały głównie z byłych żołnierzy polskiej Dywizji Karpackiej (b. obrońców Tobruku), liczy zaledwie ponad tysiąc osób, jednak procent Polaków zrzeszonych w tamtejszym Związku Polaków, jest najwyższy w całej Australii. Kasa Kredytowa Związku Polaków w Hobart liczy około 600 członków, a w depozytach przekroczyła milion dolarów i jest największą z trzech istniejących w Australii polskich kas kredytowych. ■ W celu zachowania dla przyszłych pokoleń Australijczyków archiwalnych materiałów dotyczących życia grup etnicznych w Australii, sydneyjski uniwersytet założył pierwsze w tym kraju archiwum spraw etnicznych. Zadaniem jego jest kolekcjonowanie wszelkiej dokumentacji, dotyczącej zarówno poszczególnych imigrantów jak i organizacji etnicznych. ■ Ważnymi wydarzeniami i to zarówno dla grup etnicznych jak i przyszłości Australii były konsultacyjne forum, urządzone we wszystkich stolicach stanowych w czerwcu i lipcu bież. roku przez federalne ministerstwo imigracji i spraw etnicznych. Tematami forum były: znaczenie wielokulturowości dla rozwoju Australii oraz jakie powinno mieć znaczenie nadanie obywatelstwa i kto powinien być uprawniony do jego uzyskania. Sprawy te były głównie przedstawiane i omawiane przez inicjatora i pioniera wielokulturowości w Australii prof. Jerzego Zubrzyckiego, b. przewodniczącego Australijskiej Rady dla Spraw Etnicznych, profesora-założyciela pierwszej w Australii katedry socjologii na Australijskim Uniwersytecie Narodowym w Kanberze. ■ Federacja Polskich Organizacji w Wiktorii wydała specjalnie dla nowo przybyłych polskich uchodźców i imigrantów broszurę pt. „Informator”. Publikacja ta zawiera dokładne i przejrzyste informacje z najrozmaitszych dziedzin życia codziennego, jak np. poszukiwanie pracy, tłumaczenia dokumentów, uznanie kwalifikacji, sprawozdanie rodzin, zakupy, pożyczki itp.; podane są tam również wiadomości o Polonii w stanie Wiktorii, do którego napływ polskich uchodźców i nowych imigrantów jest największy. Poradnik został opracowany głównie przez o. Wiesława Słowika, bardzo zasłużonego i popularnego wśród miejscowej Polonii polskiego jezuitę. ■ Stowarzyszenie Polaków w Auckland (Nowa Zelandia) podjęło decyzję ufundowania tablicy ku czci ofiar Katynia. W stolicy Nowej Zelandii Wellingtonie taka tablica już istnieje. ■ Na ostatnim walnym zebraniu zarządu krajowego Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Nowej Zelandii, ponownie został wybrany prezesem Ludwik Kowalczyk, bardzo aktywny działacz Polonii nowozelandzkiej.

Jerzy GROTKWAŚNIEWSKI

## Listy do Redakcji

Paryż, 2 września 1982.

Szanowny Panie Redaktorze,

Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule „Wywiad z Janem Kułajem” (*Kultura* nr 7/418, 1982, str. 89) jest błąd, który uważam za zasadniczy. W pierwszych słowach tego artykułu Jan Kułaj przedstawiony jest jako przewodniczący „Solidarności wiejskiej”. Błędem jest „Solidarność wiejska”. Jest powszechnie znane, że Jan Kułaj jest przewodniczącym ogólnokrajowego komitetu założycielskiego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych „Solidarność”. Na funkcję tę został wybrany wiosną 1981 roku na zjeździe w Poznaniu, jednoczącym ruch niezależnych związków zawodowych na terenie wsi polskiej. W okresie bezpośrednio poprzedzającym ogłoszenie wojny w ruchu NSZZ RI „Solidarność” wzięły górę tendencje odśrodkowe i praktycznie związek ten rozpadł się na kilka ugrupowań, w tym między innymi „Solidarność wiejską”.

Łączę wyrazy szacunku,

Ryszard DASZKIEWICZ

Washington, D.C., 17 sierpnia 1982.

Drogi Panie Redaktorze!

Przeczytałem pracę Mariana Brandysa pt. „Z dwóch stron drzwi” w *Kulturze* nr 7/8 z lipca-sierpnia 1982 z najwyższym zainteresowaniem i podziwem dla jego talentu pisarskiego i erudycji. Wykroił on z obrazu Matejki postać Rejtana i ją ożywił. Natomiast mam poważne zastrzeżenia do pozycji, jaką zajął Brandys pisząc o przejściach Jerzego Zawieyskiego i porównując go z Rejtanem.

Tę pozycję określiłbym jako czysto peerelowską, to jest przyjęcie że Polska Rzeczpospolita Ludowa jest w procesie rozwojowym narodu polskiego zjawiskiem naturalnym i normalnym. W związku z tym zajęcie przez Zawieyskiego stanowiska w Radzie Państwa ocenia Brandys jako wydarzenie pozytywne i jego osobisty sukces. W konsekwencji Brandys w sposób bardzo sugestywny atakuje tylko takie naruszenia tego normalnego życia PRL-u jak brutalna akcja milicji i Ormo wobec młodzieży akademickiej i wynosi pod niebiosa poświęcone temu wystąpienie Zawieyskiego w Sejmie.

Taki stosunek Brandysa do PRL fałszuje rzeczywistość, która mówi że PRL jest w życiu narodu polskiego zjawiskiem anormalnym i narzuconym przez siły obce.

Z tego założenia wychodziło Polskie Stronnictwo Ludowe, podejmując w roku 1945 walkę w kraju i w Sejmie o to, „by Polska była Polską”.

która kosztowała to stronnictwo 128-miu lokalnych przywódców zamordowanych przez bezpiekę i około stu tysięcy aresztowanych w okresie przedwyborczym. Lista zabitych została ogłoszona w mojej książce „W Imieniu Kremla”, str. 374, oraz po uzupełnieniu w *Zeszytach Historycznych* nr 6, str. 8.

Toteż np. na zajęcie przez Zawieyskiego stanowiska w Radzie Państwa można spojrzeć także z innej strony, a mianowicie że jego wejście w skład elitarnego ciała reżymowego było odstępstwem i niedopuszczalnym kompromisem.

Przedstawienie przez Brandysa bohaterskiego według niego wystąpienia Zawieyskiego w Sejmie 10 (czy też 11) kwietnia 1968 budzi uczucie niesmaku przede wszystkim dlatego, że w płaczącym przemówieniu Zawieyskiego roi się od płaskich pochlebstw pod adresem Gomułki, którego Zawieyski nazywa „wielkiego formatu Polakiem, któremu naród ufa”, „człowiekiem historii”, „postacią dramatyczną z poczuciem odpowiedzialności nie tylko za partię, ale za cały naród polski” i tym podobne palenie kadzideł.

Poza tym Brandys dramatyzuje hałas i przerywania na sali Sejmu, jakby to było czymś niezwykłym. Sejm wybrany 19 stycznia 1947 był widowścią znacznie gorszą scen. Mam nadzieję, że wśród czytelników mego listu znajdują się tacy, a m.in. Marian Brandys, którzy byli na galerii Sejmu w roku 1947 w czasie paru przemówień Stanisława Mikołajczyka, przerywanych wrzaskiem, okrzykami i śmiechem, a może nawet w czasie mego przemówienia jako posła PSL z miasta Warszawy w dniu 21 lutego 1947 w sprawie amnestii, w którym domagałem się, atakując ostro rząd, zwolnienia z więzień wszystkich żołnierzy AK i w ogóle członków wojennego podziemia. Sala sejmowa była bez przerwy. Wycie to przeplatały takie okrzyki jak „prowokator!”, „precz!”, „odebrać mu głos!”. W łóż dyplomatycznej siedziba ambasador Lebediew i pilnie mi się przypatrywał. Posiedzenie Sejmu nadawano przez radio. Gdy marszałek Kowalski udzielił mi głosu, przerwano nadawanie. Przywrócono je dopiero, gdy zaczął mówić wicemarszałek Zambrowski, który napiętnował moje przemówienie jako „niebywałą prowokację jakiej Sejm stał się świadkiem”.

W pracy Brandysa najbardziej jednak razi porównanie Zawieyskiego z Rejtanem. Oczywiście bicie studentów przez milicję i Ormo było aktem kryminalnym, ale porównanie przemówienia Zawieyskiego w tej sprawie z czynem Rejtana protestującego przeciw rozbiorowi Polski dowodzi, że autor, Brandys, zatracił poczucie właściwych proporcji.

Sciskam mocno dłoń Pana,

Stefan KORBOŃSKI

Paryż, 15 września 1982.

Do Redakcji *Kultury*

W moim artykule „Polska: kilka uwag” (*Kultura* nr 9/420) niestety nie pisałem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa podanie wiadomości o śmierci Tadeusza Mazowieckiego. Tymczasem RWE zachowało w tym wypadku trzeźwy krytycyzm, co — w porównaniu z większością zachodnich środków przekazu — dodatnio je wyróżnia.

W RWE istnieje zasada: „Pomyśl nim powiesz, nie powtarzaj zanim nie sprawdzisz”. Pozostaje mi tylko dokonać trawestacji tej reguły: „nie pisz zanim nie sprawdzisz” i zastosować ją do siebie.

Tomasz MIANOWICZ

3 września 1982.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

W „Kronice litewskiej” (*Kultura*, nr 7-8, 1982) zamieszczono następującą wiadomość: „Komitet Helsinki [na Litwie] został praktycznie rozbity. Dwaj jego członkowie są uwięzieni, sędziwa Łukauskaitė-Poškienė zmarła śmiercią naturalną, ks. Laurinavičius został zamordowany — rzekomo zginął w wypadku drogowym. E. Finkelšteinas, chociaż wyszedł z komitetu, wciąż jest nękany”.

Nie wiem, jakie jest pochodzenie tej wiadomości, wiem natomiast na pewno, że przynajmniej część jej nie jest prawdą. Znana dysydemtka litewska Ona Łukauskaitė-Poškienė żyje i działa.

Chciałbym tu powiedzieć kilka słów o tej wspaniałej kobiecie, którą czasem między sobą nazywaliśmy „litewską Nadzieżdą Mandelsztam” (zresztą znała śp. Nadzieždę i nawet przyjaźniła się z nią). Pochodzi z rodziny o przekonaniach lewicowych; ojciec jej był wybitnym prawnikiem. Sama też brała udział w ruchu lewicowym za czasów niepodległej Litwy. Należała do grupy literackiej wstawionej nazwiskami Kazysa Boruty i Salomei Neris. Niejeden uczestnik tej grupy później niestety przyczynił się do sowytyzacji swojego kraju. Ona Łukauskaitė-Poškienė — tak samo jak jej wieloletni przyjaciel Kazys Boruta — poszła inną drogą. Trafiła do Gułagu, o czym później napisała kilkanaście świetnych opowiadań krążących w litewskim samizdacie. Postać jej symbolizuje najlepsze tradycje przedwojennej lewicy litewskiej. Byliśmy dumni, kiedy wstąpiła do litewskiej grupy Helsinki, co uczyniła z wielką godnością i naturalnością.

Na Litwie i gdzie indziej mówią, że człowiek, o śmierci którego podano fałszywą wiadomość, żyje potem długo i szczęśliwie. A więc niech Pan Bóg ma ją w Swej opiece!

Co do innych wiadomości o litewskiej grupie Helsinki — w zasadzie niestety są prawdziwe. Niełatwo powiedzieć, czy grupa została praktycznie rozbita, lecz wykluczać tego nie można. W więzieniu znajduje się więcej niż dwóch członków grupy (przynajmniej pięciu). Ks. Laurinavičius zginął pod kołami samochodu w Wilnie jesienią zeszłego roku. Podziemna prasa litewska uważa ten wypadek za morderstwo popełnione przez KGB. Sądzę, że ma ku temu dostateczne dowody.

E. Finkelšteinas wyszedł z grupy z powodów, których nie mogę tu podać (ale ręczę, że w najmniejszym stopniu nie przynoszą mu ujmę — raczej przeciwnie). Jest prawdą, że wciąż jest nękany.

Na Litwie istnieje Komitet obrony praw wierzących, zorganizowany w duchu grupy Helsinki, bardzo czynny i chyba w dużym stopniu stanowiący jej dalszy ciąg. Ale niewykluczone, że grupa jako taka też istnieje, tyle że zmieniła formy działalności.

Tomas VENČLOVA

Berlin, 5 maja 1982.

Szanowny Panie Redaktorze,

Lasy płoną, a mnie się zachciało uratować parę różyczek. I wobec tego proszę moich Kolegów po piórze o nieużywanie następujących trzech słów:

1. Naziści. Normalnie uformowana polska gęba wymawia to z wykrzywieniem, a właściwie nie wie, jak to ma wymawiać. Jeszcze w szkole mówiłem „hitlerowcy”, język mi się nie plątał i każdy wiedział o kogo chodzi.

2. Nachalny. To rusycyzm, który źle się czuje w mowie polskiej. Po polsku mówi się, zależnie od kontekstu: natrętny, bezczelny, arogancki.

3. Nieudacznik. Mamy na to bardzo dobre polskie słowo „niewydarzenie”, więc po co ta pożyczka z rosyjskiego? Z kolei na to, co Rosjanie nazywają *nieudacza* pożyczylimy sobie dawno już temu od Włochów wyrażenie „fiasko”, co w polskim jest dobrze osadzone.

Nie jestem purystą językowym i wiem, że bez słów obcego pochodzenia obejść się żaden język współczesny nie może. Ale słuchu nie należy tracić.

Pozdrawiam najmiej,

Witold WIRPSZA

Monachium, 18 lipca 1982.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

O tym, że to ja „wygrzyłem” Kajetana Czarkowskiego-Golejewskiego z posady szefa *Polish Research and Evaluation* mówiono i szeptano w RFE dość powszechnie. Pomny potęgi „opinii publicznej”, nie usiłowałem prostować czy zaprzeczać, podobnie jak pogodziłem się z wyssaną z pulchego paluszka pewnej damy wersją, jakobym był przedwojennym dwójkarzem. Taki, wiadomo, idzie po trupach.

Do tych ramek pasuje jak ulał list p. Barbary Palestrowej (*Kultura* nr 7/418-8/419). Wynikałoby z niego, że na skutek moich intryg Czarkowski, „człowiek starszy, z żoną i małym dzieckiem”, znalazł się na bruku, „bez żadnego ubezpieczenia ani emerytury”, a jego stanowisko „zajął nie kto inny, jak właśnie” ja.

W moich wspomnieniach nie ukrywałem, że Czarkowski „nie miał ze mną łatwego życia”, przemilczałem natomiast, że było i odwrotnie, a już odnośnie „braku lojalności”, jaki mi p. Palestrowa przypisuje, przemilczałem też że, zanim zacząłem „załatwiać różne sprawy urzędowe po cichu, poza plecami” mego szefa, on już w grudniu 1952 dopuścił się grubej nie-łojalności wobec mnie, swego zastępcy. Owego *faux pas* wołę nie ujawniać. (Gotów jednak jestem odpowiedzieć na ewentualne pytania listem prywatnym).

Pani Palestrowa przecenia moje możliwości; sama przyznaje, że siedem lat trwało zanim dopiąłem swego, „zasiadając przy biurku swego byłego szefa”. Przepraszam, a kto miał zasiąść przy tym biurku po dymisji Czarkowskiego? Nie wiem, kto wprowadza w błąd czytelników, ja swoim „elaboratem” czy p. Palestrowa swym listem. Bo chyba wie, tak jak ja i szereg innych osób, że przyczyną dymisji Czarkowskiego były poważne zaniedbania służbowe, wyliczone w piśmie szefa Rozgłośni Polskiej do dyrektora RFE z marca 1959. Z listu p. Palestrowej wyczytać by można, że Czarkowski już wtedy pożegnał się z RFE. Otóż nie, przeszedł bowiem do innego działu (*Public Relations*), gdzie pracował do końca 1961 roku; szefem *research'u* był przez osiem (nie siedem) lat, w sumie więc przepracował w RFE prawie jedenaście lat.

Wolałbym pominąć „krzywdzące insynuacje”, ale p. Palestrowa ciągnie mnie za język, więc wyjaśnię. Moje wątpliwości odnośnie doktoratu prawa nasunęły mi się po rozmowie, jaka miała miejsce wkrótce po moim rozpoczęciu pracy w RFE. Na tle lektury *Trybuny Ludu* Czarkowski wraz z p. Zofią Zwolińską wydziwiali się na temat m.in. rzekomego nowotworu w formie przymiotnika „normatywny”.

— Czy pan słyszał takie określenie? — spytał mnie Czarkowski.

— Dottore, pan przecież studiował prawo na uniwersytecie lwowskim, czy nie?

— Oczywiście.



- A kto był wtedy wykładawcą teorii prawa?  
 — Stefko.  
 — No przecież Stefko jest ojcem *normatywnej* teorii prawa.  
 Czarkowski nie dał się zbić z tropu: Ach, panie Kazimierzu, kto by  
 takie drobiazgi pamiętał?!

Więc spytam p. Palestrową, co by pomyślała o doktorze nauk muzycznych, który by nie wiedział co to jest kontrapunkt?

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Kazimierz ZAMORSKI

Frankfurt/M., 2 września 1982.

Pozwalam sobie przypomnieć, że Międzynarodowe Towarzystwo Praw Człowieka zgodnie z porozumieniem podpisanym w jesieni 1981 przez Lecha Wałęsę jako Przewodniczącą Komisji Krajowej NSZZ Solidarność, prowadzi zakrojoną na dość szeroką skalę akcję pomocy Polsce i Solidarności.

W szczególności po 13 grudnia akcja ta przyjęła m.in. formę pomocy internowanym i ich rodzinom, jak również aresztowanym i skazanym.

Dlatego jest rzeczą niezmiernie ważną, aby wszelkie (tak ogólne jak i indywidualne) *informacje na ten temat były przysyłane do Towarzystwa.*

Te ośrodki, które mają kontakt z Krajem powinny możliwie szeroko rozpowszechniać informacje, zaś dane o uwiezionych powinny koniecznie zawierać również dane o najbliższej rodzinie (*adres*, a także o ile możliwości wiek, płeć) ponieważ tylko wtedy możliwa jest skuteczna pomoc materialna na szerszą skalę.

Prof. Dr Andrzej ZIĘBA  
 Ausschuss POLEN

DALSZY CIĄG WPŁAT ze str. 2-giej)

### WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z Albuquerque, N.M. (USA) — gotówką \$ 15,00	F. 105,00
Irena i Tadeusz Morawscy, Brooklyn, N.Y. (USA) — na Fundusz Biura Koordynacyjnego NSZZ Solidarność za granicą z siedzibą w Brukseli — \$ 25,00	F. 175,00
Polish Canadian Action Group, Toronto (Kanada) (nadesłał sekretarz Andrzej Piekarski)	F. 487,80

### WPŁATY NA NIEZALEŻNY ZWIĄZEK STUDENTÓW (NZS)

Na apel „Konfederacji 76” USA — na Studencki Ruch Oporu: T. Wieniawa-Dziewanowski, Newark — \$ 50,00 i W. Evans, Edison — \$ 30,00 — razem \$ 80,00	F. 560,00
Polish Independent Students Association w New Yorku — dla NSZ w Polsce — \$ 5.000,00 gotówką	F. 35.00,00
Polish Independent Students Association w New Yorku — kwotę zebraną wśród uczestników kursu języka angielskiego na NZS w Polsce	F. 840,00

## Dokumenty

### W sprawie „Tez...”

Eminencjo, nade wszystko proszę mi wybaczyć szczerze i bezpośrednio tego listu, a także jego formę graficzną. Pierwsze i drugie wynika z gwałtownej potrzeby serca i powagi sytuacji, trzecie z warunków i braku możliwości osoby internowanej.

Eminencjo, nie chcę mówić jako polityk, czy tym bardziej politykier. Mówię zupełnie osobiście, a także jako członek Kościoła i członek społeczeństwa polskiego. Na czele naszego państwa stoją zbrodniarze. Społeczeństwo wybaczyło im wiele poprzednich zbrodni. Popełnili teraz świeżę i popełniają ją nadal. Postawa miłosierdzia, postawa wybaczenia jest nakazem chrześcijańskim, ale wymaga ona ekspiacji od strony winnej ciężkim zbrodniom. Najpierw rzecz trzeba nazwać po imieniu — tak aby każdy zraniony wiedział, że Kościół zna jego ranę, choć nie zna jego nazwiska i jednostkowego losu; potem winny musi uznać swoją zbrodnię, dopiero potem można podjąć próbę pojednania. Inaczej nie ma ratunku dla dusz ludzkich. Nie będzie ocalenia przed rozrastającą się i niszczącą nienawiścią. Nie podniesiemy się z moralnego upadku znowu przez pokolenia. Samo trwanie, samo przetrwanie nie jest jeszcze wartością, ważne jest, jak się przetrwa. Kościół, którego czuję się członkiem, wyznaje tę zasadę. Na tym opiera się w Polsce jego autorytet moralny — także i wobec niewierzących. W nauce Chrystusa pojęcie wybaczenia i pojednania występuje w ścisłej zależności od pojęcia kary i skruchy. Nie ma wybaczenia bez ekspiacji zbrodniarza, który się do winy przyznaje. „Tezy Prymasowskiej Rady Społecznej” w istocie rzeczy usprawiedliwiają zbrodnie: wprowadzenie stanu wojennego, masowe łapanki, bezprawne i drakońskie wyroki sądowe, śmierć zadaną robotnikom broniącym nie kopalni i hut, tylko duszy i świadomości społeczeństwa polskiego obudzonej tak niedawno i zaledwie przez ubiegły rok raczkującej. Zadano — i zadaje się nadal krzywdy niewymierne, których nigdy żaden najbardziej praworządny sąd nie postawi na wokandzie. Pozostaną na zawsze anonimowe, choć są niepoliticzne. Tylko i jedynie Kościół może i powinien otworcie je ukazać, osądzić i napiętnować winnych. Upokorzenie i udręki psychiczne, łamanie sumień i kręgosłupów moralnych, wydanie ludzi na łup strachu, nienawiści i podejrliwości, zdeptanie godności, nic, nie w zamian, nawet chleba. Dzieci miesiącami bez swych aresztowanych czy internowanych synów i córek a czasem bez nich umierający, matki ukrywających się, rozdzielone małżeństwa. Podsuwano do podpisu tzw. lojalki internowanej matce jako warunek wyjazdu na pogrzeb syna. Byłam świadkiem tego, jak byłam świadkiem niezliczonych łajdackich zamachów na dusze zranionych, samotnych, oderwanych od

rodziny kobiet. Ich wszystkich — nas wszystkich — oczy i serca zwrócone są w stronę Kościoła. Czemu ten Kościół nie krzyknie wielkim głosem na tych przekupniów handlujących duszą ludzką? Jak może zamiast tego proponować, aby storturowane, zdradzone społeczeństwo przyznało się do niegrzeczności, do niestosownego zachowania się i okazało zrozumienie dla zdenerwowanych nim oprawców? Wszelkie darowane wówczas ewentualne łaski byłyby tylko przywróceniem części święcie należnych nam praw — nie wiadomo, na jak długo, nie wiadomo, za jaką cenę, nie wiadomo, przede wszystkim — czy naprawdę. Jestem człowiekiem raczej minimalnie dotkniętym przez tę obłąkaną wojnę choć nie mogę przewidzieć jak potoczą się moje losy, dokąd i na jak długo powiezie mnie następna „więziarnia” w transporcie. Moi rodzice nie żyją — i od chwili porwania mnie z domu z 12/13 grudnia 1981 roku cieszę się z tego. Moi najbliżsi — internowani i nie — jakoś trwają. Choć przez cały okres internowania nie uściśnięłam nikogo z nich — choć po sześć czy siedem tygodni nie mam od nich znaku życia, jak oni ode mnie — oszczędzone mi zostało wiele potworności doświadczanych przez wielu. Choćby bicie, choćby konflikt sumienia. Być może nawet z tego czasu obłądki, izolacji, uderzeń, upokorzeń i sztykan wyniosę cenne dla pisarza przemyślenia, obserwacje, przeżycia. Ale widziałam i widzę, jak cierpią inni, jak się niektórzy łamią i deformują, jak zdrowi stają się chorzy, jak chorym ujmuje się cynicznie resztkę sił. Mogę sobie też wyobrazić rodziny górników i stoczniovców, którym już nikt nie wróci ojców i braci: to moi bracia. Mogę sobie wyobrazić młodzież, która nigdy już w nic nie uwierzy: to moje dzieci. Kto ma prawo mówić w imieniu wszystkich tych ofiar o próbie pojednania? Nie mogę uwierzyć aby Kościół chciał to uczynić. Nie mogę uwierzyć, że nie nazwawszy czarnego czarnym, a białego białym, mógłby nawoływać do rozpoczęcia zabójczego duchowo procesu fałszywego pojednania się pełnej pychy zbrodniarzy z jego pokornymi i krwawiącymi jeszcze — i na długo — ofiarami. Nie wierzę, aby Kościół chciał stanąć po stronie kłamstwa — użyty do tego przez polityków.

Z nadzieją i głębokim przywiązaniem,

Anka KOWALSKA

24 kwietnia 1982 roku,

Ośrodek Odosobnienia Internowanych w Darłówku.

## SPROSTOWANIE

Na skutek niedopatrzania we wrześniowej *Kulturze* został zniekształcony tytuł artykułu Socjusza. Tytuł powinien brzmieć „TRZY wymiary polskich spraw” a nie „Tezy i wymiary polskich spraw”. Ponadto w tymże artykule na str. 9-tej, wiersz 5-ty od góry winno być „podstawowej WIEDZY politycznej” a nie „władzy”. Przepraszamy Czytelników i Autora.

REDAKCJA

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Commission Paritaire N° 60789.  
Dépôt légal: 4<sup>e</sup> trimestre 1982.

Imprimé en France

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria. 0181 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
ARGENTYNA: « Liberia Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, Tel. 212-2013 .....	SA. 4,50	SA. 26,00	SA 48,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönle-terngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23 .....	F.B. 225,00	F.B. 1200,00	F.B. 2350,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do admini- stracji « Kultury » .....	US 5,00	US 28,00	US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księ- garniach polskich w Paryżu .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissing- en, Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176 .....	Fl h 12,00	Fl h 60,00	Fl h 110,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5, Tel. (514) 465-2362; B. Kra- suski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man R2V 2P2, Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115; J. Korwin Lopuszczanski, 90 Hillard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St W Toronto 145 Ont. Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastkowiec », 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7 .....	Can. 6,00 DM 12,00	Can. 35,00 DM 60,00	Can. 60,00 DM 110,00
NIEMCY: St Mikicuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ...	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74 1211 Genève 7, Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 3s Stockholm, Tel (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6 U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009, Tel 475-8886; Ada Dziewa- nowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211 T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145 Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17-th St. N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich. 48234; POLONIA Bookstore, 2886 Mil- waukee Avenue, Chicago, Il 60618, Tel. (312) 489-2554 Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store 5347 Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede- Slavic Books, 2233 El Camino Real Palo Alto Cal., 94306 Tel. (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia „Nowego Dzi- ennika”, 21 West 38-th Str., New York, N.Y., 10018, Tel. (212) 354-0492 .....	US 5,00	US 28,00	US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Ken- way Rd., London, S.W.5 ORD, Tel (01) 370 2210 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241 .....	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.260; półroczna — F.135.  
Przesyłka pojedynczego numeru — F.3,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 358 — ZESZYTY HISTORYCZNE

# ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Zawiera m.in. opracowania: M. Piłki — *Deformacje w wykładzie historii w podręcznikach dla szkół średnich*; Grażyny Pomian — *Reżym — Dziennikarze — Solidarność*; B. Baczeki — *Pisać listy z Hameryki*; T. Gorczańskiego — *Najnowsze dzieje Opolszczyzny*; St. Korbońskiego — *Polskie Państwo Podziemne*; W. Chudego — *W sowieckim więzieniu w Brześciu n/Bugiem*; W. Wąsowicz i Ł. Sochy — *Z archiwum Bolesława Bieruta*; J. Lewandowskiego — *Memoriał Józefa Gieysztor*; J. Ciechanowskiego — *Zeszyt ewidencyjny gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego oraz Działy: KSIĄŻKI, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

F. 50,00.

TOM 359 — MAREK TARNIEWSKI

# PŁONIE KOMITET

(grudzień 1970 - czerwiec 1976)

z odniesieniami do ostatnich wydarzeń w Polsce

Str. 200.

F. 65,00.

Na przełomie września i października ukazą się dalsze  
wznowienia foto-offsetowe „Dzieł Zebranych”

WITOLDA GOMBROWICZA

FERDYDURKE, str. 296 — F. 55,00,

PORNOGRAFIA — F. 40,00,

WSPOMNIENIA POLSKIE — WĘDRÓWKI PO  
ARGENTYNIĘ — F. 50,00.